

Robert Sheckley

Łowca/Ofiara

Hunter/Victim

Przekład Piotr Taranczewski

Moim dzieciom

Zasady łowów

Łowy otwarte są dla wszystkich, którzy ukończyli osiemnasty rok życia, bez względu na rasę, wyznanie i płeć.

Po przyłączeniu się, należy wziąć udział w dziesięciu Łowach, pięć razy jako Ofiara, pięć razy jako Łowca.

Łowcy otrzymują imię, nazwisko, adres i zdjęcie Ofiary. Ofiara zostaje tylko zawiadomiona, że jest ścigana przez Łowcę.

Każde zabójstwo musi być dokonane osobiście przez Łowcę lub Ofiarę.

Za zabicie niewłaściwej osoby grożą surowe kary.

Ten, kto wyjdzie cało z dziesięciu Łowów, otrzyma niemal nieograniczone prawa: finansowe, polityczne i seksualne.

Część pierwsza

Łowca

Rozdział 1

Frank Blackwell i jego żona Claire spędzili większą część dnia swojej paryskiej wycieczki w pokoju hotelowym, na jednej z nie kończących się kłótni, po której żadne nie pamiętało dokładnie jej powodu, ale oboje trwali w przeświadczeniu o własnej słuszości.

Od dłuższego czasu nie odzywali się do siebie ani słowem. Blackwell co chwilę potrzasał głową, jakby komentował dla niewidzialnej widowni przedziwną nieustępliwość kobiet, Claire natomiast patrzyła nieruchomo szeroko otwartymi oczami w stylu bohaterek wszech czasów i epok.

Za zasłoniętymi oknami Paryż dusił siew demoralizującym samozadowoleniu i oparach z diesli.

— A co powiesz o wczorajszym zdarzeniu w metrze? — powiedziała Claire, nagle przypominając sobie, o co złościła się na Franka.

— Metro? Co z metrem? — zapytał Blackwell.

— Ta dziewczyna, której ustąpiłeś miejsca. Dziwka w czarnych rajstopach, z wielkimi cyckami, od których nie mogłeś oderwać oczu. Ta dziewczyna.

— Ach, ta — przypomniał sobie Blackwell. — A co w tym złego, że ustąpiłem jej miejsca?

— Metro nie było nawet zatłoczone! — krzyknęła Claire. — Mogła usiąść gdziekolwiek w tym cholernym wagonie!

— Po prostu wydawało mi się, że nie zdawała sobie z tego sprawy — odparł Blackwell. — Wydała mi się bardzo naiwna.

— Naiwna! Och ty sukinsynu!

Claire patrzyła na niego z obrzydzeniem. Odwzajemnił się jej nic nie rozumiejącym spojrzeniem.

Zabawne, lecz żadne z nich nie lubiło się kłócić. Obydwoje wiedzieli, że najgorszą rzeczą w ich związku była umiejętność nieustannego ranienia się nawzajem.

Jak wiele innych par mieli kilka nieprzyjemnych tematów, z których każdy nieuchronnie prowokował następny.

Mimo to kochali się do szaleństwa.

Blackwell był mężczyzną średniego wzrostu, choć mógł uchodzić za wysokiego, miał proste, szarobrązowe włosy z początkami łysiny i nosił okulary w stalowej oprawce, za którymi błyszczały łagodne, piwne oczy inteligentnego krótkowidza.

Claire ładna, przysadzista blondynka, przypominająca jedną z kelnerek z Greenwich Village,

gustowała w akwarelach Turnera i zagranicznych filmach bez dubbingu. Czula, kochająca kobieta z klasą, którą okazała teraz, mówiąc nieoczekiwanie:

— Och, Frank, to naprawdę głupie, nie sądzisz? Co byś powiedział, gdybyśmy powstrzymali się od kłótni i zeszli na dół coś zjeść?

Ich wycieczka do Paryża nie zaliczała się do udanych.

Na samym początku, przez pierwsze trzy dni, bez przerwy padał deszcz.

Na domiar wszystkiego żołądek Claire nie zniósł zbyt bogatej, urozmaiconej kuchni. To zepsuło im czwarty i piąty dzień.

Potem ktoś ukradł Frankowi z kieszeni kurtki czeki podróżne, najprawdopodobniej podczas przepychania się przez tłum między Montparnasse a St. Germain. Na szczęście zapisał ich numery, choć i tak musiał zmarnować większą część dnia na zdobycie nowych czeków. Teraz Claire nosiła pieniądze i paszporty w małej skórzanej torebce, której nigdy nie wypuszczała z rąk.

Hotelik „Le Cygne”, w którym się zatrzymali, znajdował się parę ulic od Notre Dame. Urządzony w typowo francuski, lekko zaniedbany i chaotyczny sposób, miał w sobie mnóstwo uroku. Wchodziło się do niego przez mały hol, oświetlony piętnastowatowymi żarówkami. Tuż obok wejścia miała własne mieszkanie ubrana na czarno, ociężała konsjerżka. Zawsze trzymała otwarte drzwi, żeby móc obserwować przechodzących gości i plotkować o nich z sąsiadami lub policją. Po sprawdzeniu tożsamości wydawała klucz, przymocowany za pomocą mosiężnej skuwki do dużej gumowej piłki, która, z powodu rozmiarów, przypominała gościowi o oddaniu go przed wyjściem do miasta. Z kluczem w dłoni skręcało się w lewo krętymi, stromymi schodami prowadzącymi do pokoju gdzieś na piątym piętrze. Po przejściu przez dziwnie nachyloną podłogę i otwarciu oszklonych drzwi, już nic nie przeszkadzało w podziwianiu widoku rozciągającego się nad dachami Paryża. I ten właśnie niepowtarzalny moment, którego nie można było przeżyć w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, nadawał wszystkiemu sens.

Frank i Claire zeszli po chybotliwych schodach i oddali klucze madame. Frank już wcześniej zapłacił rachunek. Ich walizki stały bezpiecznie zamknięte w przechowalni do chwili, gdy zostaną załadowane do taksówki i pojedą na lotnisko. Zostało trochę czasu na lunch i ostatniego drinka w małej restauracyjce tuż za rogiem.

Ich ulubiona restauracja „Le Select” zajmowała jedną stronę wybrukowanego placu, otoczonego kilkupiętrowymi budynkami. Była to oaza spokoju, z dala od ruchu i zgiełku miasta. Znajdowało się tu około tuzina stolików, w większości zajętych przez turystów, którzy dowiedzieli się o uroku tego miejsca. Kierownik sali w czarnym smokingu, z małym wypomadowanym wąsikiem, od razu znalazł dla nich stolik. Po lampce białego wina, odpowiadającego skromnej cenie, zamówili sałatkę, stek, frytki i pasztet, ukochany przysmak Francuzów. Nieskazitelnej scenerii dopełniał akordeonista w koszuli w paski, taki miejscowy fenomen francuskiej muzyki popularnej, który spacerował i grał, zawodząc coś w tonacji minorowej.

Frank Blackwell poczuł spokój przenikający duszę; jak gdyby znalazł się w innym, nieco

zamierzchnym i lepszym świecie.

Dotknął ręki Claire.

— Kochanie — powiedział. — Przepraszam. Nie jestem całkowicie pewien, co zrobiłem źle, ale przykro mi, że cię zraniłem.

Ciągle pozostał czuły na jej uśmiech.

— Ja też przepraszam — odparła. — Czasem nie wiem, co się ze mną dzieje.

Z ulicy za brukowanym placem usłyszeli muzykę. Dźwięk gitar, mandolin i śpiewających głosów robił się coraz donośniejszy. Po chwili czworo muzyków weszło na dziedziniec kawiarni. Mieli na sobie średniowieczne kostiumy z rajstopami, bufiastymi spodniami i długimi pelerynami. Śpiewali coś, co Blackwell wziął za starą balladę. Wszyscy młodzi, brodaci, o ziemistych cerach, niezbyt muzycyjni.

— Co to za jedni? — zapytała Claire.

— Prawdopodobnie studenci — odparł Blackwell, przypominając sobie poprzednie wizyty w stolicy świata. — Śpiewają w kawiarniach, a ludzie dają im drobne.

— W jakim języku śpiewają?

Blackwell nie potrafił na to odpowiedzieć. Nie był to angielski, francuski ani niemiecki. Wiedział, że w Paryżu przebywało sporo południowoamerykańskich studentów, ale piosenki nie śpiewano też po hiszpańsku.

Kiedy śpiew ucichł, Frank zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu drobnych. W tym momencie jeden z rzekomych studentów odrzucił pelerynę do tyłu i odsłonił mały automatyczny karabin zawieszony na piersi.

Blackwell tylko zdążył zwrócić uwagę Claire: — Zobacz, on ma broń!

A wtedy reszta studentów odrzuciła peleryny, odpięła karabiny i zaczęła ostrzeliwać kawiarnię.

Frank złapał Claire za rękę i wciągnął pod stół. Grad pocisków obsypał dziedziniec, kule odbijały się rykoszetem od szarocznego bruku i dziurawiły ciemnożółte ściany otaczających plac budynków. Wśród gości, którzy rzucili się w poszukiwaniu schronienia, rozległy się okrzyki oburzenia i przerażenia. Ciała padały jak liście podczas jesiennej burzy. Akordeonista dał nura w kierunku wyjścia, ledwie uchodząc przed gradem pocisków ścigających go jak stalowe szerszenie spłodzone w fabryce amunicji. Porzucony akordeon, pocięty przez pociski, wydał z siebie długi, drżący, piskliwy ton.

Przykucnięty za przewróconym stołem Blackwell poczuł, jak dłoń Claire została gwałtownie wyrwana z jego uścisku. Rozejrzał się, trzęsąc się z gniewu i strachu. Ujrzał ją leżącą półtora metra dalej, dosłownie rozerwaną na pół. Górna część ciała, w ładnej kurtce od Bloomingdale'a, została

oderwana od dolnej. Przez chwilę widział pięć kolistych plam krwi w miejscach, gdzie została postrzelona. Zaraz jednak plamy zaczęły się robić coraz większe i zaszły jedna na drugą.

Dziedziniec był siny od dymu. Prawdopodobnie zabito ośmioro innych ludzi. Studenci, czy kimkolwiek naprawdę byli, zniknęli. Należeli do bałkańskiej grupy terrorystycznej, domagającej się wolności dla Montenegro. Do przedstawienia swoich racji wybrali „Le Select” w mylnym przekonaniu, że posilał się tam jugosłowiański ambasador z żoną. Dwa dni później schwytała ich francuska policja w Cagnes-sur-Mer nad Morzem Śródziemnym, gdzie próbowali dostać się na statek odpływający do Afryki. W wyniku strzelaniny cała czwórka zginęła.

O tym Blackwell dowiedział się później. Teraz po prostu stał, jakimś cudem nie tknięty podczas tej jatki, z torebką Claire w rękach.

Przyjechała policja i zebrała zeznania, fotografowie zrobili zdjęcia, a reporterzy zachowali dla potomnych banalne oburzenie tych, którzy przeżyli. Każde ciało zamknięto w osobnym, do tego celu przeznaczonym, worku i wywieziono karawanem. Oczywiście zabrano także ciało Claire.

Człowiek z ambasady amerykańskiej złożył wyrazy ubolewania i dał Frankowi swoją wizytówkę. Zapewnił, że Frank będzie mógł wszystko załatwić i bez kłopotu przewieźć szczątki Claire.

W końcu wszyscy odjechali, z wyjątkiem Blackwella, który nie miał dokąd pójść i właściwie nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Kelner, który przeżył, zapytał Franka, czy chce drinka.

Chciał, lecz nie wiedział, co zamówić. Kelner zasugerował najlepszego szampana, bo niecodziennie twoje życie zostaje zrujnowane, żona zamordowana, a bieg przeznaczenia zmieniony na zawsze.

Kiedy kelner odszedł, Frank spróbował otworzyć torbę Claire. Był tam jego paszport i czeki podróżne razem z biletami na samolot.

Torba nie chciała się otworzyć. Dwa z urwanych palców Claire wciąż były mocno zaciśnięte wokół zatrasku.

Rozejrzał się dookoła. Nikt go nie widział.

Pociągnął za palce najpierw delikatnie, potem nieco silniej. Nagle martwe palce rozluźniły uścisk i spadły na bruk.

Kelner wracał właśnie z jego drinkiem.

Frank znalazł chusteczkę, owinął w nią palce i schował do kieszeni. Zaczął płakać.

Kelner położył mu rękę na ramieniu.

— Odwagi — powiedział.

— Ktoś za to zapłaci — odparł Blackwell zduszonym głosem. Tak zawsze mówią Ofiary.

Rozdział 2

Frank Blackwell wyjechał z Paryża z prochami żony, w prostej, metalowej urnie. Na lotnisku De Gaulle'a ludzie z ochrony nie chcieli go przepuścić, dopóki nie pokazał zaświadczenia z prefektury policji, potwierdzającego, że urna zawiera tylko szczątki jednej ofiary, a nie środki do wymordowania następnych osób.

Doleciał na Newark International, gdzie musiał czekać trzy godziny na autobus do South Lake. Podróż autobusem zajęła mu kolejne trzy godziny. Przez cały czas bezmyślnie gapił się przez okno na krajobraz New Jersey.

W sklepie żelaznym, który jednocześnie spełniał rolę miejskiego dworca autobusowego, czekali na niego rodzice Claire. Pana Niestroma, małego, schludnego człowieczka, nigdy nie rozstającego się z bambusową laską, Frank po raz pierwszy zobaczył w garniturze i z zaczerwienionymi oczami. Pani Niestrom, potężna kobieta, z lekko zarysowanym wąsem, zaczęła płakać, gdy tylko spostrzegła Franka.

— Kto to zrobił, Frank? — zapytał Niestrom, kiedy znaleźli się w samochodzie.

— Czwooro młodych ludzi. Montenegryjscy terroryści.

— Tak mówili w wiadomościach — rzekł Niestrom — ale przeoczyłem, kiedy tłumaczyli, co to jest, to przekłete Montenegro.

— To państwo — odparł Blackwell — albo raczej to było państwo. Nie jestem pewny.

— Jedno z tych państw czarnuchów?

— Nie, to jest na Bałkanach, między Albanią a Jugosławią. To znaczy, jeśli w ogóle kiedyś istniało jako niepodległe państwo.

— Wydaje mi się, że nazwa wskazuje na Afrykę.

— Cóż, to naturalna pomyłka — odpowiedział Blackwell. Nie potrafił porozumieć się z ojcem Claire, u którego smutek łączył się z bigoterią. Ale, jak mawiała Claire, wybierasz sobie żonę, a nie teściów.

— Przynajmniej zabili tych bękartów — odezwał się znów Niestrom — prawda, Frank?

— Tak, to prawda.

— Właściwie szkoda, że to zrobili. Wiesz czemu, Frank?

— Nie, panie Niestrom. Niech pan mi powie, dlaczego? — zapytał Frank, mając nadzieję, że robi

to ostatni raz w życiu.

— Bo chciałbym dorwać ich sam.

Claire opowiadała mu kiedyś, jak stary ją bił w dzieciństwie. Pani Niestrom stała i trzymała jej okulary, a ojciec okładał paskiem za to, że była niedobra, cokolwiek to miało znaczyć. „Nie uwierzyłbyś, że taki chudy człowiek może mieć tyle siły” — śmiała się.

— Moje dziecko! — zanosila się od płaczu pani Niestrom. Wieczorna kolacja upłynęła w przygnębiającym nastroju. Frank zatrzymał się w motelu na skraju miasta, więc mógł wziąć udział w specjalnym nabożeństwie za Claire, odprawianym w kościele luterańskim, do którego i tak od dawna już nie należała.

Miał do niej cichą pretensję, że dała się zabić i zostawiła go z obowiązkiem wyprawienia pogrzebu, radzenia sobie z jej rodzicami i myślenia, co dalej zrobić ze swoim życiem. Pretensję o to, że nie stało się odwrotnie.

Co nie znaczy, że nie cieszył się, że przeżył.

Tylko tak, po prostu.

Rozdział 3

Po nabożeństwie Blackwell wynajął samochód w miejscowej agencji „Wypożycz wraka” i skierował się z powrotem do Nowego Jorku. Kiedy skręcił już na drogę sto jeden, przypomniał sobie o „Minska Tavern”, zaraz przy autostradzie, między sklepem meblowym Ethana Allena a Mobil Flying A. Często chodzili tam z Claire. Postanowił więc wstąpić na drinka, za stare dobre czasy.

Minska nic się nie zmienił. Postawny mężczyzna owłosiony do uszu, a wyżej łysy, o wylupiastych oczach, ogromnych wąsach, brzuchu w kształcie kuli do kręgli i bladej cerze typowej dla ludzi polskiego pochodzenia. Podczas chodzenia kołysał się jak kaczor Donald i z powodu raczej zabawnego wyglądu ludzie w South Lake nie traktowali go zbyt poważnie, czasem wręcz pogardliwie, aż do wieczoru, kiedy on i Tommy Trambelli, znany jako Tommy Kłopot, zagrali w otwarte karty.

Stało się to dwa lata temu. Tommy Kłopot, magazynier u Seara, odległego osiem kilometrów od Netcong, przy drodze sto dwudziestej trzeciej „tego właśnie wieczoru był z siebie zadowolony, ponieważ wygrał doroczny konkurs w siłowaniu się na rękę, zorganizowany z okazji Dnia Garibaldiego w Saddle River. Zaczął więc podśmiewać się z Miński, naśladować jego chód, przedrzeźniać słowiańską wymowę.

Minska tylko uśmiechał się i dalej polerował szklanki.

Gdy się mieszka w New Jersey, trzeba przyzwycząić się do hałaśliwych magazynierów.

Później Tommy zaczął naśmiewać się z kiełbasy, którą klienci delectowali się w barze. Minska zawsze podawał ją pociętą na kawałki, z powtykanymi wykałaczkami, udekorowaną czerwonym ufryzowanym celofanem. Wtedy już Minska nieco poczerwieniał, ale puścił to mimo uszu.

Tommy nie dawał za wygraną i w końcu zapytał go, kiedy jego przodkowie zeszli z drzew, przed czy po drugiej wojnie światowej? Na to Minska westchnął, wytarł wielkie czerwone łapska w fartuch i odezwał się łagodnym, z lekka podniesionym głosem:

— W porządku Tommy, dość już powiedziałaś, zamknij teraz gębę, nim ci ją rozwałę.

Tommy, choć odrobinę wyższy wzrostem od przeciętnego mężczyzny, wyglądał na niższego, ponieważ był umięśniony jak jakiś cholerny niedźwiedź. Poza tym podnosił ciężary, zdobył czarny pas w walkach karate, a w szkole średniej cieszył się sławą świętego łapacza.

— Słuchaj Minska — powiedział — gdybyś grzecznie poprosił, może dałbym ci spokój, ale nie możesz mi rozkazywać, rozumiesz chłopie?

— A ja właśnie rozkazuję ci — odparł Minska — wynieść się z mojej tawerny i nie wracać, dopóki nie nauczysz się trzymać języka za zębami.

Tommy odłożył swojego Millera High Life, wygładził koszulkę z Bruce'em Springsteenem i zapytał:

— Zmusisz mnie?

— Tak — rzekł Minska — właśnie to zamierzam zrobić.

Zdjął fartuch i wyszedł zza baru. Wszyscy odsunęli się, żeby zrobić im więcej miejsca. Nieco niestosownie, z szafy grającej dochodziły dźwięki „Begin the Beguine” Cole’a Portera — wspaniały, złoty przebój.

Tommy, tańcząc na palcach, zaczął zadawać proste, szybkie ciosy. Był dość dobry w wadze średniej w poprawczaku i mógłby zająć wysoko jako zawodowiec, gdyby nie miał problemów z mafią. Ale to nie należy do tej historii.

Minska stał na płaskich stopach, z ramionami zwisającymi po bokach. Tommy uderzył go mocno w czoło. Minska przyjął cios, po czym zrobił krok naprzód, przygniatając ciężko nogę Tommy’ego ogromnym, żółtym butem. Tommy wydusił z siebie coś pomiędzy krzykiem a chrząknięciem i zgiął się, a wtedy Minska grzmotnął go splecionymi dłońmi w kark. I to był koniec walki.

Niektórzy zastanawiali się potem, gdzie Minska mógł się tego nauczyć. Krążyła nawet plotka, że był niegdyś zapaśnikiem sumo w kwartecie japońskim w Warszawie, ale każdy wiedział, że profesjonalne zapasy zostały przez komunistów zakazane. Dopiero Joe Duggan, kierowca osiemnastokątowej ciężarówki w firmie Exxon, wszystko wyjaśnił. W starym numerze magazynu „Żołnierz Fortuny” widział nazwisko i zdjęcie Miński jako najemnika miesiąca.

Co więc robił teraz w South Lake, prowadząc tawernę? Nikt nie wiedział i nikt nie pytał.

Blackwell, wiedziony chęcią napicia się alkoholu, rzadko spotykaną u tak wstrzeźliwego człowieka, wypił drugiego podwójnego burbona, powstrzymał się od wymiotów i zamówił następnego. Minska przyniósł butelkę, lecz nie nalał.

— Posłuchaj Frank — powiedział trochę szorstkim głosem, z ledwo wyczuwalnym polskim akcentem — to nie moja sprawa, ale picie ci nie pomaga.

— Bo też nie powinno — odparł Blackwell.

— Przykro mi z powodu Claire. Chciałbym wyrazić szczere ubolewanie, Frank.

— Dziękuję, Minska.

Przez chwilę obaj mężczyźni stali obok siebie. Promienie popołudniowego słońca, zmieszane z odpadami przemysłowymi New Jersey i sprawiające przez to wrażenie lodowatych, nappełniły mahoniowe wnętrza baru złotym światłem, mieniącym się od radioaktywnego pyłu.

— To prawda, że byłeś najemnikiem? — zapytał Blackwell.

— Tak — odpowiedział Minska — to prawda.

— Jak to było?

— Z tego, co robiłem, sporo mi się podobało. Jednak po pewnym czasie usprawiedliwienie tego wszystkiego stało się zbyt trudne. Musieliśmy zabić zbyt wielu ludzi, którzy po prostu stali w niewłaściwym miejscu. Zdecydowałem się więc na założenie interesu w New Jersey i pielęgnowanie polskiego akcentu.

— Powiedz — rzekł Blackwell — co mam zrobić, żeby zostać najemnikiem?

— Dlaczego chcesz to zrobić, Frank?

— Czasami zdarzenia sprzysięgają się przeciwko tobie i tworzą w uczuciach taki zamęt, że można go uciszyć tylko przez pozbawienie kogoś życia. Chcę kogoś zabić.

Minska położył ciężką, słowiańską dłoń na ramieniu Blackwella.

— Wierz mi, Frank, istnieje lepszy sposób.

— Jaki sposób?

Wtedy do baru weszło dwoje grubych klientów, a po chwili jeszcze trzeci, tym razem chudy.

Minska pchnął bloczek papieru i kawałek ołówka w stronę Blackwella.

— Napisz tu swój numer. Frank. Ktoś się z tobą skontaktuje.

Rozdział 4

Łowcy skontaktowali się z Frankiem Blackwellem pewnego deszczowego, listopadowego wieczoru. Nowojorczycy leniwie wyczekiwali Święta Dziękczynienia i nadchodzącego świątecznego szaleństwa. Zbliżał się sezon radości i z tego powodu mieszkańcy pięciu okręgów oddawali się picciu alkoholu, zażywaniu narkotyków i popełnianiu samobójstw. Robili cokolwiek, żeby uciec od konieczności udawania, że ich żałosne życie ma w sobie coś atrakcyjnego.

W apartamencie przy Greenwich Avenue Frank zjadał pieczone bimbosy Stouffera i żałował, że nie ma z nim Claire, która przyrządziłaby mu swoją specjalność — befszyk z kluseczkami z lanego ciasta. Zawsze tęskni się za takimi małymi rzeczami, jak śmiechy w łazience lub łyzy w sypialni, i tymi wyjątkowymi, jak wypad do chińskiej dzielnicy raz do roku, tylko dla hecy.

Frank właśnie rozmyślał o tym wszystkim, kiedy rozległ się sygnał domofonu. Popatrzył nań podejrzliwie. W Nowym Jorku ludzie nie dzwonią do twoich drzwi o dziewiątej wieczorem, jeśli wcześniej nie uprzedzili cię telefonicznie o wizycie, żebyś nie najadł się strachu.

Nacisnął guzik

— Kto tam?

— Doręczyciel pizzy.

Blackwell nie przypominał sobie, żeby zamawiał pizzę.

— Jaka to pizza? — zapytał.

— Z podwójnym serem i pepperoni.

Blackwell zmarszczył brwi. Niedawno popełniona przez „doręczycieli pizzy” seria morderstw nadawała temu niegdyś popularnemu zamówieniu złowieszcze brzmienie.

— Proszę odejść. Nie zamawiałem żadnej pizzy.

— Jest pan pewien?

— Jestem prawie pewien i to mi wystarczy.

— Prawdę mówiąc, wcale nie jestem doręczycielem pizzy, to był żart. Mam dla pana ważną wiadomość dotyczącą oferty, której nie można ponawiać.

— Proszę przysłać mi list — odparł Blackwell i wrócił do przerwane go posiłku.

Minęło pół godziny. Frank skończył deser — błyskawiczne bułeczki Bordena nadziewane marmoladą: w sumie czysta chemia. Włożył plastikowe, niezniszczalne pojemniki do kosza na

śmieci, skąd miały powędrować do miejsca ich ostatecznego przeznaczenia, czyli góry śmieci na Staten Island. Teraz był gotów do spędzenia wieczoru przed telewizorem.

Kiedy tylko usadowił się na zapadającej się kanapie, usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z małej sypialni. Nie umiał jednoznacznie stwierdzić, co to było, ale mogło brzmieć jak odgłos metalowego pręta wyłamującego zamek w żelaznej kratce okna w sypialni.

Blackwell podskoczył i, ogarnięty paniką, rozejrzał się za jakąś bronią. Znalazł nóż kuchenny z plastikowym uchwytem i patentowanym ostrzem — musiał wystarczyć. Żałował teraz, że nie kupił domowego zestawu granatów obronnych, które widział niedawno na wyprzedaży w butiku kontrrebeliantów. Cicho przeszedł przez stosy gazet, które Claire co miesiąc gromadziła w ich sypialni.

Z cienia wyszedł jakiś człowiek.

— Witam — powiedział wesoło — nazywam się Simmons. Minska powiada, że interesuje pana zabijanie ludzi.

Wszedł do salonu, ocierając się o Blackwella, i usiadł. Po chwili wahania Blackwell odłożył nóż na biurko i poszedł za nim.

— Jak pan się tu dostał? — zapytał Frank.

Simmons uniósł parę przyrządów w kształcie dzwonu wyposażonego w paski, sprzączki i zawory zwalniające ciśnienie. Były to człapacze, rodzaj przyssawek zaprojektowanych z myślą o porowatych powierzchniach większości nowojorskich budynków.

— Doprawdy, dziecinna sztuczka — stwierdził Simmons — ale przydatna do przyciągania uwagi potencjalnych klientów.

Simmons mógł mieć około czterdziestki, był mężczyzną drobnej budowy, nosił okulary bez oprawki, miał poszarzałe i niegustownie przycięte blond włosy, mały mięsisty nos i bezbarwne brwi. Wyglądał na mięczaka w znoszonym, źle skrojonym garniturze. Należał do ludzi, którzy za wszelką cenę starają się sprawiać wrażenie nieobecnych. Wyglądał zupełnie nieszkodliwie, co utwierdziło Blackwella w przekonaniu, że jest bardzo niebezpieczny.

— Po pierwsze — rzekł Simmons — proszę pozwolić mi wyrazić ogromny żal z powodu tragicznej śmierci pańskiej żony.

— Jeśli zajmuje się pan werbowaniem najemników — odparł Blackwell — to posługujecie się bardzo skomplikowanymi metodami.

— Och, nie mam z nimi nic wspólnego — zaprzeczył Simmons — pracuję dla całkiem innej organizacji. To bardziej niebezpieczne niż praca najemników, ale i bardziej satysfakcjonujące. Jeśli, proszę wybaczyć określenie, wie pan, o co biega.

— Trochę jaśniej — poprosił Blackwell.

— Ludzie, dla których pracuję, panie Blackwell, polują na największe, najzłośliwsze i najgorsze zwierzę. Na człowieka. Przysłali mnie Łowcy.

Blackwell słyszał o Łowach, któż by zresztą o nich nie słyszał? Była to organizacja tajna, raczej irracjonalna, ale przez to pociągająca; ostatnimi czasy wszechobecna w nagłówkach gazet i czołówkach wiadomości. Łowy organizowano w miastach całego kraju, często pod nosem policji, która wydawała się bezradna lub niechętna, żeby coś z tym zrobić. Coraz bardziej popularne wśród Amerykanów, według krążących plotek Łowy miały wkrótce stać się legalne, co nie pozbawione było sensu wobec ostatniej ustawy Kongresu o normalizacji samobójstwa. Dopuszczała ona odebranie sobie życia, jeśli tylko działało się to we własnym domu i nie naruszało praw obywatelskich innych ludzi.

— No, nie wiem — zastanawiał się Blackwell — pomysł wyjścia i zabicia obcej osoby jest na swój sposób pociągający, ale co to ma wspólnego z Claire?

— Całkiem sporo — rzekł Simmons. — Zazwyczaj podstawą Łowów jest losowa selekcja wśród ochotników. Obecnie jednak, z powodu zachwiania równowagi pomiędzy Łowcami a Ofiarami, w ramach usług świadczonych dla społeczeństwa, poszerzyliśmy nasz program o eliminację zamachowców, terrorystów i profesjonalnych zabójców, którzy mają przyjaciół na wysokich stołkach. Tacy ludzie są odpowiedzialni za śmierć pańskiej żony.

— Ale ludzie, którzy zabili Claire, nie żyją.

— To tylko ci, którzy pociągnęli za spust. Za ich plecami stoi jeszcze grupa ludzi, średniej i wyższej klasy mocodawcy, wydających rozkazy w sprawach politycznych i ekonomicznych.

— Chce pan powiedzieć, że mógłbym dopaść ludzi odpowiedzialnych za tamtą paryską masakrę?

— Nie tych samych, ale takich, którzy zajmują się identyczną robotą. Łowy nie uwzględniają osobistej zemsty.

Blackwell pomyślał chwilę i uznał pomysł za pociągający. Naprawdę chciał kogoś zabić. To mogłoby być satysfakcjonujące, zabić kogoś odpowiedzialnego za śmierć Claire. Bez wątplenia istniała możliwość, że sam zostanie zabity, ale w tak wczesnym stadium całej sprawy pesymizm nie miał sensu.

— Dobra — powiedział — interesuje mnie to. Chciałbym usłyszeć więcej.

— Świetnie — rzekł Simmons. — Proszę przyjść na jedno z naszych tajnych spotkań. Zobacz pan, jak to wszystko wygląda i wtedy dopiero zadecyduje, dobrze?

— W porządku — zgodził się Blackwell. — Dokąd mam przyjść?

— Tego nie mogę powiedzieć — uśmiechnął się Simmons — rozumie pan, tajemnica. Zadzwońmy do pana za dzień lub dwa i umówimy się na spotkanie.

— Dobrze — odrzekł — macie chyba mój numer do biura?

— Oczywiście. — Simmons uściskał dłoń Blackwella. — Było mi miło.

Frank odprowadził gościa do drzwi wyjściowych i odsunął zasuwę. Simmons zniknął w ciemności. Przygoda rozpoczęła się.

Rozdział 5

Tej brzemiennej w skutki jesieni Frank Blackwell pracował jako niezależny redaktor dla „Elsinore Press”, niewielkiego wydawcy, którego biura mieściły się na Dwudziestej Trzeciej ulicy, obok Siódmej Alei. Simmons zadzwonił do niego dwa dni później i podał adres na Sześćdziesiątej ulicy, przy Dziewiątej Alei. Blackwell zgodził się przyjechać tam o ósmej.

Dojechał metrem do Columbus Circle, a ponieważ było wcześnie, zatrzymał się w barze „Cajun” na rogu Pięćdziesiątej Ósmej i Broadwayu, gdzie zamówił kawę, kanapkę, sałatkę z krewetkami, ryżem i szynką oraz frytki. Następnie udał się pod wskazany adres.

Był to wielki, nowy budynek mieszkalny. Podczas gdy Blackwell zastanawiał się, co robić, z zaparkowanego w pobliżu samochodu wysiadł wysoki brunet z długimi bokobrodami w stroju szofera.

— Pan Blackwell?

— Tak?

— Jestem szoferem. Przesłał mnie pan Simmons. Proszę wsiąść do samochodu.

— Simmons powiedział, żebym przyszedł tutaj. — Frank wskazał budynek.

— Ach, to tylko pierwszy krok. Bezpieczeństwo, rozumie pan. Mam pana dowieźć na miejsce.

— Na miejsce? Dokąd?

— Tam, gdzie oczekuje pana Simmons i pozostali.

Blackwell zaczął się lekko irytować

— Czy ta cała mistyfikacja jest naprawdę konieczna?

Szofer uśmiechnął się przepaszająco:

— No cóż, w końcu jesteśmy organizacją tajną.

— No dobrze — zgodził się Blackwell i usadowił się na wygodnym, tylnym siedzeniu cadillaca.
— Dokąd jedziemy?

— Jersey — poinformował szofer, wysuwając szyję z wykrochmalonego, białego kołnierzyka w kształcie cylindra.

— Jezu — westchnął Blackwell.

Limuzyna ześlizgnęła się z krawężnika ze znaczną prędkością i szofer rozpoczął serię manewrów, mających doprowadzić ich do tunelu Lincolna.

W pierwszych dniach sierpnia tysiąc osiemset dwudziestego siódmego roku John Farley Todd, siostrzeniec niedawno zmarłego Thomasa Jeffersona, włączył się po Appalachach, co w tamtych czasach było dość popularną rozrywką. Podróż rozpoczął w Monticello, w stanie Nowy Jork, skąd, mając tylko łaskę i plecak, skierował się na południe. Wszedł na grzbiet góry Kittatiny, która ciągnie się aż do uskoku wodnego Delaware, i szedł dalej przez wzgórza nad miastem Franklin.

W pewnym momencie natknął się na uskoki między dwoma pofałdowanymi wzgórzami. Miejsce, gdzie spotykały się dwie masy skalne, obfitowało w widoczną tylko z dołu roślinność. Todd, zapalony geolog amator i młody popularny prawnik z Camden, znalazł wąską szczelinę prowadzącą w głąb ziemi. Zanotował to odkrycie w dzienniku, po czym porównał je z opisem Coleridge'a: „głęboka, romantyczna rozpadlina biegnąca przez zielone wzgórze pod cedrowym przykryciem”, chociaż on napotkał porastające ją sosny i dęby. Ten dziennik jest teraz najcenniejszą pamiątką archiwum Łowów.

Kiedy Todd zaczął schodzić w dół, przyjazne promyki słońca robiły się coraz bledsze, aż doszedł do miejsca, które opisał jako: „cyklopowe zasępienie tych ogromnych głębi”.

Znalazł się wreszcie w olbrzymiej grocie, głęboko pod powierzchnią ziemi. Jej ściany oświetlały luminescencyjne porosty, dające „migoczące, zielononiebieskawe światło nie rzucające cienia”.

Rozglądając się trwożliwie dookoła, Todd przypomniał sobie słowa swego znakomitego wuja, Thomasa Jeffersona, wypowiedziane tydzień przed śmiercią, czwartego lipca tysiąc osiemset dwudziestego roku: „Ten kraj, mój chłopcze, jest teraz w dobrym stanie i wydaje się dość przyzwoitym miejscem, by w nim się osiedlić. Jednak błogosławieństwo dobrego rządu to delikatny kwiat, często deptany w pogoni za zyskiem. Być może nadejdzie dzień, w którym ludzie dobrej woli będą potrzebować schronienia, żeby obmyślać plany przeciwko niesprawiedliwości i tyranii z zewnątrz lub też wewnętrznej diabelskiej obłudzie. Gdybyś kiedy napotkał takie właśnie schronienie, zabezpiecz je na wszelkie sposoby na wypadek, gdy potrzeba da o sobie znać”.

O dokładne znaczenie słów Jeffersona, a nawet ich trafność, toczono gwałtowne spory. Pewne jest, że Todd zakupił tę połąć ziemi, gdzie kryło się wejście do sekretnej groty.

Jego potomek, Edward Todd Jackson, liberalny, niezależny, bogaty łowca grubej zwierzyny, oddał to miejsce w dzierżawę najlepszej organizacji, jaką znał, czyli Korporacji Łowców.

O tym wszystkim Frank Blackwell dowiedział się znacznie później. Na razie jechał limuzyną przez przedmieścia New Jersey o bliżej nieokreślonym statusie, następnie przez wiejskie okolice, jeszcze mniej interesujące niż przedmieścia, a przez ostatnie kilka kilometrów wyboistą polną drogą, prowadzącą do czegoś, co wyglądało jak wejście do szybu opuszczonej kopalni.

Kilku poważnie wyglądających mężczyzn wyszło z pobliskiej chaty wartownika i chwilę szeptało

naradzali się z szoferem. Długo przyglądali się Blackwellowi, po czym jeden z nich dał mu plastikowy identyfikator z napisem: GOŚĆ — WIARYGODNOŚĆ NIEZNANA, ze szpilką po drugiej stronie, służącą do przypięcia identyfikatora do marynarki.

— Będzie to panu potrzebne, tam na dole — poinformował mężczyzna.

— Jesteście skrupulatni — rzekł Blackwell, tylko po to, żeby coś powiedzieć.

— Musimy — odparł wartownik, jak zwykle, gdy gość komentował jego poczynania.

Poprowadził Blackwella do wnętrza szybu ze starą francuską windą z otwartymi drucianymi drzwiami i konstrukcją w stylu art deco.

— Nie wiem, który guzik nacisnąć — powiedział Blackwell po wejściu do środka, starając się nadać głosowi bez troskie brzmienie.

— Proszę się nie martwić — odparł wartownik — zrobię to za pana. Te proste słowa okazały się złowieszcze, gdy winda runęła w dół, w głąb ziemi.

Rozdział 6

Winda zatrzymała się płynnie, drzwi automatycznie otwały się. Blackwell wszedł do ogromnego sklepionego pomieszczenia, wydrążonego w granitowej skale. Dyskretne światło, ukryte w naturalnych zagłębieniach skalnych, nadawało temu miejscu wygląd planu filmowego „Tarzan odnajduje zaginione miasto Ophir”.

Na wprost, za biurkiem ze szkła i chromowanego metalu, siedziała niezwykle piękna recepcjonistka. Omiotła Blackwella chłodnym, pełnym wyniosłości spojrzeniem, naturalnym dla pracowników biurowych tajnych organizacji podziemnych. Wzięła przepustkę pod światło, sprawdziła znaki wodne, zadzwoniła do kogoś i przeprowadziła krótką rozmowę.

— Może pan wejść — powiedziała i skierowała Blackwella przez jakieś drzwi do korytarza ze starymi rycinami Currier & Ives na boazerii.

Na końcu korytarza stał uzbrojony wartownik, który także sprawdził przepustkę, zanim przepuścił go do kolejnego korytarza.

Tam aż roiło się od sekretarek biegających w kółko, z rękami pełnymi papierów, zajętych rozmowami o romansach, jak również od pracowników kierownictwa, za którymi podążali asystenci administracyjni, popijający czarną kawę lub pochłonięci rozmowami przez telefony komórkowe.

Na końcu przejścia wartownik w zielonym mundurze ze złoceniami podbił przepustkę Blackwella i skierował go do drzwi z napisem: NIE WCHODZIĆ! Drzwi otwały się i zamknęły po jego wejściu do środka. W przeciwległym końcu pokoju, za orzechowym biurkiem siedział Simmons w bladożółtym garniturze z wełnianą kamizelką.

— Ach, Blackwell, mam nadzieję, że miał pan przyjemną podróż? — Obszedł biurko i serdecznie uścisnął mu dłoń. — To trochę męczące mieć główną kwaterę tak daleko od Nowego Jorku, ale nie mogliśmy znaleźć odpowiedniej grotty pod Manhattanem. Proszę usiąść. Drinka? Wytrawne martini, skórka, bez oliwki. Beefeater. Dobrze pamiętam, prawda? — Mrugnął okiem po zbójceku. — Moneypenny! — zawołał i w drzwiach pojawiła się recepcjonistka. — Dwa martini, w tym jedno specjalne dla naszego przyjaciela Jamesa Bonda.

— On nazywa się Blackwell — odpowiedziała recepcjonistka tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że już to kiedyś przerabiała.

— Wielkie nieba, oczywiście! — przypomniał sobie Simmons i przyłożył palce do czoła. — To tylko chwilowe zaćmienie. Jasne, że pan nazywa się Blackwell, zupełnie nie wiem, o czym myślałem.

— To skutek ciągłego fantazjowania — rzekła recepcjonistka. — Już to panu mówiłam.

— Tak, Doris. Wracaj teraz do swego biurka.

Doris zacisnęła usta i wyszła. Blackwell i Simmons stali przez jakiś czas, wpatrując się w zasuwające się za nią drzwi.

— Zachwycająca, prawda? — powiedział Simmons. — Młodość ma swoje prawa. Zdaje się, że robię z siebie idiotę, ale nieważne. Pozwalam jej myśleć, że jestem trochę stuknięty. Mam nadzieję, że nikomu pan nie powie.

— Nigdy — obiecał Blackwell.

— Więc proszę tędy, oprowadzę pana.

Wprowadził Blackwella do dużego pomieszczenia, w którym grupa kobiet i mężczyzn siedziała przed rzędami komputerów.

— To jest, jak widać, sala komputerowa, serce operacji. Lucy, mogę cię przeprosić?

Młoda kobieta, do której się zwrócił, miała rudobrązowe loki i wesołą twarz bez śladu makijażu. Posłusznie zwolniła miejsce przy konsoli, gdzie usiadł Simmons. Jego grube palce tańczyły na klawiaturze, co jakiś czas odrywając się, żeby złapać mysz i rozwinąć jakieś menu, po czym pojawiały się przeróżne obrazy. Rzecz jasna wszystkie maszyny w pokoju były marki Macintosh, ponieważ kilka lat temu właśnie ta firma zdominowała rynek komputerowy.

— To nasza gorąca linia informacyjna. Coraz więcej ludzi, którzy nie chcą lub nie mogą przyłączyć się do Łowów, czuje się moralnie zobowiązanych do dostarczania nam informacji o prawdopodobnych kandydatach. A tutaj mamy, uaktualnianą co godzinę, główną listę wszystkich prowadzonych właśnie Łowów. Tu natomiast są bazy danych, według których układamy listy Ofiar Przymusowych. One interesują pana najbardziej, zawierają bowiem nazwiska ludzi ze szwadronów śmierci.

— Właśnie te — potwierdził Blackwell.

— Nie ma z tym problemu, wiemy o nich wszystko. Możemy włamać się do każdego systemu, dostać się do tajnych danych, zarówno rządowych, jak i policyjnych. Posiadamy nawet własną listę pięćdziesięciu najgorszych przypadków, ułożoną według danych ogólnoswiatowych, a nasze pojęcia zła zostały zdefiniowane przez dyplomowanych semantyków współpracujących z najlepszymi programistami.

— Zadajecie sobie sporo trudu — zauważył Blackwell.

— Och, to ogrom pracy, naprawdę ogrom. Pewnego dnia zamierzamy zalegalizować naszą organizację, stać się instytucją znaną i szanowaną na całym świecie. Jesteśmy pionierami nowego porządku. — Przez chwilę Simmons w swej surowej szlachetności przypominał wyidealizowany portret Marksa, Lenina i Engelsa pozdrawiających z chmur wiwatujących marynarzy z „Potiomkina”. — Ale to plany na przyszłość. W tej chwili najważniejsze jest to, czy może pan poświęcić się Łowom i zabić jednego z członków profesjonalnej klasy morderców?

— Tak — zgodził się Blackwell — ale proszę powiedzieć, tylko do mojej wiadomości, czy taka klasa naprawdę istnieje?

— Oczywiście. Nasi socjologowie udowodnili, że od początku cywilizacji, w każdym pokoleniu istnieli ludzie łączący w sobie upodobanie do wypełniania rozkazów ze skłonnością do przemocy. Tacy ludzie dążą do znalezienia się w sytuacji, w której mogliby zabić drugiego człowieka. Są oni użyteczni dla swoich władców, bo zrobią wszystko, nieważne jak by to było podłe, w zamian za zapewnienie, że na dłuższą metę odbywa się to w słusznej sprawie. Niewiele trzeba, żeby usatysfakcjonować ich intelektualnie, a wielu z nich to ochotnicy do oddziałów specjalnych. Wszystko byłoby w porządku, gdyby takie typy ograniczały się do zabijania siebie nawzajem, ale tak nie jest. My, Łowcy, chociaż oddani jesteśmy czystym ideałom Łowów, rozumiemy nasz społeczny obowiązek. Właśnie na kogoś takiego będzie pan polować, panie Blackwell, jeśli zechce pan zostać z nami.

— Co muszę zrobić, żeby się do was przyłączyć?

— Jest kilka wymogów. Na okres Łowów trzeba porzucić regularny tryb życia, w czym możemy panu pomóc. Kiedy jednak już pan zacznie, musi doprowadzić Łowy do końca.

— Co dzieje się z tymi, którzy odchodzą, nie dokończywszy Łowów?

— Zwykle miewają okropne wypadki — odparł Simmons. — Lepiej mieć pewność już od początku. Jeśli zdecyduje się pan przyłączyć, wyszkolimy pana jak najlepiej do tego rodzaju zadania. Przydzielimy panu Obserwatora, który pomoże w przygotowaniu operacji. Udzielimy wszelkiej pomocy, z wyjątkiem samej likwidacji Ofiary.

— Zastanawia mnie jedna rzecz — rzekł Blackwell. — Kto zostaje Łowcą?

Simmons uśmiechnął się.

— Prawdziwy Łowca jest osobą staroświecką, pragnącą powrotu świata preferującego indywidualizm. To sportowiec, który chce grać w najbardziej niebezpieczną z gier. Egzystencjalista odnajdujący się w natychmiastowej gotowości. Dziecko wymachujące szabelką. Człowiek podążający za ideą, której czas właśnie nadszedł. Oto kim jest Łowca, panie Blackwell.

— Czy także ktoś, kto chce wyrównać rachunki?

— Tak, panie Blackwell.

— Wchodzę w to.

Rozdział 7

Blackwell wyszedł. Miał wrócić do Nowego Jorku, żeby zniknąć na tak długo, jak będzie tego wymagało przygotowanie się do likwidacji Ofiary.

Tymczasem Simmons nacisnął przycisk w ścianie, która, po odsunięciu się, odsłoniła ukrytą windę. Wszedł do środka i zjechał na niższy poziom.

Przeszedł przez krótki korytarz wykuty w litej skale. Nad drzwiami migotała żarówka. Simmons zdjął buty i bezszelestnie wszedł do małego, oświetlonego świeczką pomieszczenia, ubogiego jak cela mnicha.

W przeciwległym końcu pokoju, twarzą do ściany, na kwadratowej, czarnej poduszce siedział stary człowiek z podwiniętymi nogami, jak podczas medytacji zen. Miał na sobie jedynie zgrzebną opończę. Wydawał się wątły, może nawet chory, tylko ramiona nadawały mu wygląd człowieka nieugiętego.

Nie odwracając głowy, starzec odezwał się:

— Dzień dobry, Simmons.

— Skąd wiedziałeś, że to ja? — Simmons widział tę sztuczkę już wcześniej, ale lubił nakłaniać Mistrza Łowów do folgowania tym kilku słabościom, które mu jeszcze pozostały.

Mistrz zachichotał.

— Chodzisz bardzo cicho, Simmons, prawie cię nie słychać, lecz nawet brak dźwięku może być słyszalny, gdy umysł jest wyciszony.

— A jeśli ten brak dźwięku nie byłby słyszalny?

— Poznałbym cię po zapachu.

— A gdybym pozbył się i tego, owijając się w gigantyczną reklamówkę?

— Wówczas zdradziłaby cię twoja aura.

— A gdybym nie miał aury?

— To, czego nie ma, także pozostawia ślad.

Simmons uśmiechnął się smutno. Mistrz Łowów zawsze przewyższał go w wynajdywaniu trafnych odpowiedzi.

— Przeszedłem zawiadomić, że zaciągnąłem nowego Łowcę, tego, o którym rozmawialiśmy.

— Blackwella. Świetnie.

— Coś mnie jednak martwi — rzekł Simmons.

— Doprawdy?

— Według twoich rozkazów, ukryłem przed nim nasz prawdziwy cel, dla którego wciągnęliśmy go na listę Łowców.

— Przeciwnieństwo prawdy także jest prawdziwe — zauważył Mistrz Łowów. Podniósł się jednym płynnym ruchem, wyblakła brązowa opończa zawirowała wokół niego jak żywa. Drżące światło świec łagodziło inteligentne, lecz zdeterminowane rysy twarzy. Potrafił czasem być irytujący, o czym Simmons wiedział chyba najlepiej. Był jednak główną inspiracją filozofii Łowów, Tomaszem z Akwinu, Rabinem Akiba morderstwa, świętym Franciszkiem chaosu.

— Herbaty? — zapytał Mistrz i nie czekając na odpowiedź podszedł do małego, żelaznego piecyka, gdzie rozgrzebał tłący się węgiel drzewny. Pochylony wachlował przez chwilę płomień, przywrócił je do życia, po czym dołożył kilka patyków. Kiedy ogień zapłonął, zawiesił na żelaznej konstrukcji stary, miedziany czajnik.

— Może Mistrz zechce mi tym razem wyjaśnić — odezwał się Simmons — dlaczego to było takie ważne, żeby właśnie ten człowiek znalazł się w gronie Łowców.

— Jego znaczenie jest pozycyjne. Posiada cechy niezbędne do rozwoju wydarzeń. Podam ci przykład. W szachach wszystkie piony mają jednakową wartość, prawda?

— Hai! — powiedział Simmons.

— Tylko pozornie. Jeden pion może bowiem zdemaskować atakującą królową, ruch innego, odsłonić cofającego się króla.

— Więc Blackwell stanowi potencjał szczególnej sytuacji, w której nie mógłby wystąpić żaden inny Łowca?

— To prawda, ale tylko jako analogia. Któregokolwiek pionu użyjesz, stworzysz niepowtarzalny rezultat, będący częścią połączenia z przyszłością. Ruchy Blackwella, zamiast spowodować, uprzedzą reakcję drugiej strony.

— Ale czy to nie będzie dla niego niebezpieczne?

— Oczywiście. Jednakże i on musi, chcąc nie chcąc, przysłużyć się sprawie. Nadszedł czas, kiedy potrzebujemy właśnie jego. Ameryka przechodzi błyskawiczne zmiany. Prawo legalizujące wszelkie rodzaje narkotyków niedługo wejdzie w życie. Samobójstwo nie jest już łamaniem prawa. Wzrasta liczba okoliczności, w których morderstwo uchodzi bezkarnie. Nasi przyjaciele w Kongresie w ciągu roku rozpoczną proces legislacyjny, zmierzający do legalizacji Łowów. Jesteśmy już blisko zaistnienia na scenie publicznej. W tym stadium rozwoju musimy ryzykować w jednym punkcie, żeby nie ryzykować w innym.

Simmons przytaknął, jak zwykle zaskoczony doskonałym rozeznaniem sytuacji przez starca. Nie bez powodu Mistrz znany był jako kardynał Mazarin masakry.

— A jednak — zauważył — to może okazać się dla Blackwella za dużo.

Spojrzenie Mistrza było zarazem łagodne i nieustępliwe.

— Być może wyjdzie z tego cało. Zdarzały się już dziwaczniejsze przypadki.

Rozdział 8

Zniknięcie nie było dla Blackwella zbyt trudne. Po śmierci Claire, nikogo nie obchodziło, jak mu się powodziło. Dokończył ostatnią redagowaną przez siebie pozycję: „Europejski przewodnik dla fanów niezdrowej żywności”. Jego wydawca, Marcia Gottshalk, okazała w charakterystyczny dla siebie cichy sposób zadowolenie i poprosiła, żeby przyszedł za miesiąc, dwa lub później, a wtedy może coś dla niego znajdzie. Z pomocą Funduszu Zabezpieczeń Łowów, uregulował sześciomiesięczny czynsz z góry, zapakował małą walizkę i zgodnie z instrukcjami poleciał do Phoenix.

Na lotnisku odebrał go małomówny człowiek w płowym kapeluszu, poprowadził do zdezelowanego pikapa i zawiózł do Ośrodka Treningowego Łowów w Górach Przesądnych w pomocnej Arizonie. Przydzielono mu domek i miejsce w jadalni, wydano ubranie i sprzęt. Następnego dnia rozpoczęło się szkolenie.

Jego pierwszy instruktor nazywał się McNab i był czarny, choć mówił z wyraźnym, szkockim akcentem. Może tylko podpuszczał Blackwella, ponieważ trudno było cokolwiek powiedzieć o niektórych typach, prowadzących wykłady z działań zaczepnych oraz sztuk im pokrewnych.

— Widzisz, chłopcze — mawiał McNab — w zabijaniu nie chodzi o to, żeby podejść do kogoś nazywanego panem „Cel” i przyłożyć mu broń do ucha. Zapomnij też o długodystansowym ostrzale snajperskim. Wygląda to nieźle w kinie, ale w rzeczywistości niewygodnie taszczyć ze sobą strzelbę o dużej mocy z wyzerowanym zakresem. W ogóle nie ma o tym mowy, gdybyś musiał zrobić to za granicą. Wierz mi, znając wrażliwość celników na tym punkcie, nie chciałbyś zostać złapany z jedną z nich na granicy. Najlepiej zupełnie zapomnij o strzelbach. Do bezpośredniej konfrontacji użyjesz pistoletu lub jednej ze śmiertelnych zabawek skonstruowanych przez naszą Sekcję Rozwoju. Jeśli o mnie chodzi, żaden pistolet nie dorównuje lasce, że już nie wspomnę o parasolu.

McNab był ekspertem w walce parasolem.

— Zważ, że nie mówię tu o parasolu z ukrytym mieczem, ponieważ jest to zbyt ryzykowne w razie wpadki, zbyt wyspecjalizowane. Mówię o zwykłym parasolu z drewnianym lub bambusowym ostrzem, choć mamy też model wykonany ze stali chirurgicznej, z najlepszą w swoim rodzaju końcówką, która może być ostrzona. A jeśli rączka jest zaokrąglona i obciążona ołowiem, na obu końcach mamy śmiercionośną broń.

Mierzący metr osiemdziesiąt i czarny jak as pik McNab zademonstrował podstawowe ruchy: zmyłka, kiedy udajesz, że otwierasz parasol, atak na cel, pierwsza i druga riposta, powtórny atak wypełnioną rączką. Blackwell ćwiczył pilnie kilka razy dziennie, aż stał się wystarczająco sprawny, chociaż nigdy nie tak dobry jak McNab, który spędził całe życie w wilgotnym klimacie, zajmując się podnoszeniem swoich kwalifikacji.

Houston James, łysy człowiek — góra z rudą brodą, prowadził kurs posługiwania się standardową bronią krótką.

— Nie możesz pozwolić sobie na uzależnienie od jednego tylko rodzaju broni — przekonywał Blackwella. — Zwycięski zamachowiec musi umieć posługiwać się tym, co ma pod ręką. Nie mamy czasu nauczyć cię wszystkich subtelności strzelania z broni krótkiej. Dla naszych celów wystarczy, że będziesz potrafił posługiwać się każdym rodzajem broni w podstawowym zakresie, to znaczy umiał ją naładować, odbezpieczyć i wystrzelić. Łatwo jest zabić za jej pomocą, problem pojawia się tylko wtedy, jeśli nie wiesz, jak wprowadzić pocisk do komory, czy jest to automat, czy posiada mechanizm samonapinający, czy kurek ma być opuszczony czy też podniesiony. Do czasu, kiedy skończysz ten kurs, będziesz potrafił użyć każdego z pięćdziesięciu dwu powszechnie znanych pistoletów, strzelb i lekkich karabinów maszynowych.

Na zajęciach walki wręcz mały instruktor, wiecznie uśmiechnięty Gurkha z wioski tuż za Katmandu, nauczył ich tylko jednego.

— Ponieważ nie będziecie tu dość długo, żeby nauczyć się karate, aikido czy tybetańskiego mung-ho, przewyższającego zresztą wszystkie inne metody, powiem wam tylko jedno: w jaja panowie, w jaja!

Instruktor uważał jądra za idealny cel.

— Nigdy nie bijcie człowieka w szczękę, tak można jedynie pogruchotać sobie pięść. Nie przerzucajcie też nikogo przez ramię, bo moglibyście nadwerżyć plecy. Nic z tych rzeczy wam nie pomoże, dopóki naprawdę nie będziecie wiedzieć, jak to robić. Atakujcie jaja, panowie. Jeśli zaś przeciwnik okaże się kobietą, użyjcie tej samej techniki, zakładając, że ma jaja.

Na kursie o materiałach wybuchowych Blackwell dowiedział się co nieco o bombach i detonatorach; były to zaledwie podstawy najpotrzebniejszych informacji. Jego instruktor, niski, łysiejący człowiek z lekkim irlandzkim akcentem, mawiał:

— Nie ma czasu, żeby nauczyć cię jak robić własne bomby, a wielka szkoda. Jest to piękna sztuka, lecz nikt nie powinien tego próbować bez lat nauki pod okiem eksperta. Szansa, że wysadzisz się w powietrze, jest zbyt wielka. Mam więc zamiar pokazać ci jedynie, jak działają różne urządzenia wybuchowe, które możesz napotkać w czasie swoich podróży.

Żaden z jego nauczycieli nie miał dobrej opinii o broni. Jeden z nich powiedział:

— Broń nie uśmierca tak szybko i sprawnie, jak się tego od niej oczekuje. Prawdziwy problem tkwi w tym, że policja na całym świecie jest nastawiona na wykrywanie broni palnej, jej oznaczeń identyfikacyjnych, odnajdywanie śladów prochu na waszych dłoniach i tak dalej. Igracie z nimi,

używając broni.

— Jaki jest najlepszy sposób na zlikwidowanie Ofiary? Trucizny mają więcej minusów niż plusów, choć mamy kilka preparatów działających niezwykle szybko. Trzeba tylko trafić człowieka strzałką, ukłuć szpilką lub dmuchnąć mu w twarz proszkiem i już po nim. Albo po was, jeśli coś pójdzie nie tak, co zdarza się bardzo często.

— Miejcie oczy otwarte, trzymajcie się blisko Ofiary i czekajcie na sprzyjające okoliczności. Bądźcie zdeterminowani, czujni, a nade wszystko podstępni.

Rozdział 9

Sześć tygodni później do pokoju Blackwella przyszedł Simmons.

— Jak leci? — zapytał.

— Podoba mi się to — odparł Blackwell. — Może to jest niewłaściwe podejście, ale tak się czuję.

— Nie, to podejście jest właściwe. Nie wstydź się radości z zabijania ani w teorii, ani w praktyce. My, ludzie, mamy długą przeszłość jako łowcy i zabójcy. O wiele dłuższą niż cywilizowane istoty. Czy pogodziłeś się z tym, co masz zamiar zrobić?

— Myślę, że tak — odpowiedział Blackwell — ale chciałbym już się do tego zabrać. Trudno mi uwierzyć, że naprawdę mam zabić człowieka. Wiem, że mam to zrobić, ale ciągle nie mogę w to do końca uwierzyć.

— Większość z nas ma w sobie głęboko zakorzenioną awersję do zabijania osobników własnego gatunku — powiedział Simmons — chociaż ciągle to robimy. Jest to największa trudność, jakiej Łowca musi stawić czoło.

— Czy wszyscy Łowcy radzą sobie z tym?

— Niektórzy tak, inni nie. Niektórzy, pomimo najlepszych chęci, nie mogą zmusić się do działania, gdy nadchodzi ta chwila.

— Co się z nimi dzieje?

— Zwykle giną z ręki Ofiary.

— Wydaje mi się, że będę w stanie to zrobić — rzekł Blackwell.

— Będziesz miał po temu okazję. Wreszcie przygotowaliśmy dla ciebie cel. Mam tu jego dossier. Człowiek bogaty, dobrze chroniony. Masz, przeczytaj to. — Podał Blackwellowi wydruk komputerowy.

Alfonso Alberto Guzmán Torres urodził się w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku, w średniej wielkości miasteczku, na południe od Managua. Jego ojciec był armeńskim kupcem bez pozycji społecznej, za to z mnóstwem pieniędzy. Młody Alfonso otrzymał edukację w dobrych szkołach, a w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, w wieku szesnastu lat, wstąpił do Nikaraguańskiej Akademii Wojskowej. Ukończył ją w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim i zdecydował się na karierę w policji. Udał się do Peru, gdzie przez następne cztery lata studiował w

Państwowej Akademii Straży Cywilnej. Poznał tam wiele interesujących dziedzin, niedostępnych w kraju.

Po powrocie do Nikaragui wstąpił do sił policyjnych w Managua i został przydzielony do dowództwa Bezpieczeństwa Narodowego. Jego zdolności, zimna bezwzględność i polityczna lojalność zostały docenione, mianowano go komendantem wzorcowego więzienia w Managua, gdzie osiągnął stopień pułkownika. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ożenił się z doną Cateriną López, ze znanej rodziny mającej posiadłości w La Flor i El Castillo; jednej z czternastu rodzin liczących się w Nikaragui.

Kiedy Jego Ekscelencja prezydent Republiki Anastasio Somo — za został odsunięty od władzy w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, Guzmán i dona Caterina z trójką dzieci uciekli nikaraguańskim samolotem transportowym do Gwatemali.

Tam Guzmán wstąpił do FRENICA (Frente Revolucionario Nicaraguense), jednej z pierwszych grup kontra, ale wkrótce przeszedł do bardziej aktywnej FDN (Fuerza Democratica Nicaraguense), która stała się główną grupą kontra, otrzymującą wsparcie z USA. Brał udział w nieudanym Planie C, po czym został oddelegowany do FAD (Fuerzas Armadas Democratas), skąd trafił do FARAC (Fuerzas Armadas Anti-Comunistas). Zdolność do tolerowania bólu zadawanego innym, w połączeniu z talentem do posługiwania się bronią krótką i do konspiracji, czyniły z niego idealnego przywódcę szwadronu śmierci.

Wiedział, że jego praca była napiętnowana, ale znosił to jak mężczyzna. Wysyłanie do nieba komuchów lewicowych świń z indiańskich wiosek w Cordillera de Yolaina lub z pól kukurydzy wokół Bocay nie należało może do zajęć, które sam mógłby wybrać, lecz ktoś musiał to robić.

Guzmán został ranny w zasadzce FSLN koło Matagalpa. Jego zastępca, przyjaciel z dzieciństwa, Emilio Salvador Aranda, przewiózł go przez Rio Coco do Danii w Hondurasie, skąd CIA zapewniła mu transport lotniczy do szpitala w Miami.

Do Stanów zabrał ze sobą Emilia — przysługa za przysługę. Sprowadził także Tita, sierżanta z więzienia w Managua, olbrzymiego mężczyznę, całkiem pojętnego jak na kretyna. Nie wrócił już do Nikaragui, ponieważ FSLN wydała na niego wyrok śmierci, wyznaczyła cenę za jego głowę i rozgłosiła, że był sadystycznym przestępcą, a nie żołnierzem. Został więc w Miami, zdobył amerykańskie obywatelstwo bez problemów, mając dobrą kartotekę polityczną i kontakty w CIA, po czym na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku sprowadził do siebie żonę z dziećmi.

W Miami, z pomocą przyjaciół i rodzinnego majątku żony, przemyślnie zainwestowanego w terminową sprzedaż kawy na Kostaryce, udało mu się wejść w budowanie statków i handel morski.

Nigdy jednak nie porzucił starego zwyczaju zabijania ludzi. W Miami było mnóstwo Nikaraguańczyków z wielkimi, niewyparzonymi gębami, które należało uciszyć, najlepiej za pomocą szybko schnącego cementu. Guzmán z kilkoma chłopakami zajął się tymi ludźmi. Był także ważną osobistością w dostarczaniu broni różnym prawoskrzydłowym grupom w całej Ameryce Środkowej.

— Co mam robić? — zapytał Blackwell. — Jechać do Miami i przekonać się, czy mogę go załatwić?

Simmons potrząsnął głową.

— Guzmán jest zbyt dobrze przygotowany na coś takiego. Próbowano już tego, bez pomyślnych rezultatów. Będziemy musieli cię do niego zbliżyć.

— Może zapukałbym do jego drzwi i spróbował sprzedać mu encyklopedię?

— On nigdy nie otwiera drzwi — ma od tego ludzi. W południowym Miami ma ogromny dom, chroniony przez najnowocześniejszy system alarmowy na świecie, a w nim goryli, dobermany i płot pod napięciem. Nikt nie zbliża się do niego, chyba że został wcześniej zaproszony.

— Nigdy nie wychodzi?

— Pewnie, że wychodzi. Grywa w pelotę, chodzi do restauracji, czasem do klubu „Biscayne”. Robi to jednak bez żadnego schematu, bez uprzedniego planowania. Nikt nic nie wie, po prostu wzywa, goryli i wychodzi. Nic nie da się zaplanować przy tak przypadkowym rozkładzie dnia.

— Więc jak zbliżymy się do Guzmána?

— Nad tym właśnie pracujemy. Spory kłopot z takimi starymi twardzielami ze szwadronów śmierci. To zadziwiające, ilu oni mają przyjaciół i zwolenników pomimo to, co zrobili. Zwykle są też w dobrych stosunkach z miejscowym rządem i agencjami wspomagającymi prawo. No i na ogół hojnie obdarowują miejscowe organizacje dobroczynne.

— To trochę utrudnia — stwierdził Blackwell.

— Szczególnie w hrabstwie Dade, zdominowanym przez Miami. Mnóstwo ludzi na dużym kawałku ziemi: to jak wielkie, tropikalne slumsy. Poza kilkoma wieżowcami w centrum obok West Flagler i Biscayne, nie ma tam nic, tylko ciągnące się kilometrami jedno — lub dwupiętrowe budynki. Tuziny małych dzielnic od Homestead do North Miami Beach. Większość z tych dzielnic zamieszkują czarni albo Latynosi. Obcy, szczególnie biały, zbyt mocno wyróżnia się w tych rejonach od otoczenia, a ludzie na obszarze Większego Miami są niezwykle podejrzliwi. Jest tam duże bezrobocie i przestępczość; przemyt narkotyków, handel bronią, nielegalni imigranci. Mnóstwo trupów. Co kilka dni policja znajduje w rowie nawadniającym, ciągnącym się wzdłuż jakiejś drogi w hrabstwie, samochód ze zwłokami. Nim dowiozą je do kostnicy, dobierają się do nich kraby lądowe i nie można później nawet powiedzieć, jak denat umarł, nie mówiąc już o tym, kto go zabił.

— Wielka szkoda, że nie jestem Latynosem — westchnął Blackwell — to trochę ułatwiłoby sprawę.

— Wcale by nie pomogło — powiedział Simmons — chyba że pochodziłbyś z Miami. Nawet gdybyś był Latynosem, każdy rozpoznałby w tobie obcego już po otwarciu ust, przez co stałbyś się podwójnie podejrzany.

— Zaczyna to brzmieć dość zniechęcająco — rzekł Blackwell.

— Chciałem ci tylko przedstawić prawdziwy obraz sytuacji. Ale nie z takimi problemami już się borykaliśmy. Wystarczy, że zaczekamy, aż otworzy się „okno sposobności”.

— Cóż to takiego?

— To termin, którym określamy kilka godzin lub dni, kiedy Ofiara jest słabiej chroniona. Może to nastąpić dość szybko, więc najlepiej być przygotowanym. Wracaj teraz do treningu, ale bądź gotów. Od chwili, gdy już będziemy cię potrzebować, wydarzenia potoczą się szybko. Wyślę cię na specjalny kurs Tropikalnego Zamachu i Kamuflażu. Poznasz tam techniki, które przydadzą ci się w okolicach Miami. Da ci to także coś, czego będziesz potrzebował, żeby tak bardzo nie różnić się od otoczenia.

— To znaczy co?

— Naprawdę porządną opaleniznę.

Część druga

Ofiara

Rozdział 10

Podczas gdy Frank Blackwell odbywał specjalne szkolenie, setki kilometrów dalej wydarzenia układały się tak, żeby wystawić mu Ofiarę. Na skalistym grzbiecie, obok San Francisco de la Paz, siedziało dwóch rebelianckich wartowników, którzy pilnowali głównej drogi, wijącej się nad płaskim, pozbawionym drzew horyzontem, jak cienki, zakurzony, czarny wąż.

Za ich plecami, górując nad błotnistą Rio Telica, na trzech jasnobrązowych wzgórzach rozciągał się obóz rebeliancki, gdzie stacjonował Miguelito i jego Kobry. Cygański, niedbały wygląd nadawał obozowi pozory zlotu bezdomnych w centrum Port-au-Prince. Choć brakowało wielu udogodnień, obóz dobrze ulokowano, tuż za rzeką Nikaraguą, gdzie ludzie wciąż popierali lewicowy reżim, mimo że rządu tego nie tolerowały amerykańskie interesy. Był to błąd, za który Nikaraguańczycy ciągle musieli płacić.

Dwaj mężczyźni rozsiedli się wygodnie, koszule rozpięli do pasa, buty rozsznurowali na podobieństwo wszystkich wojsk partyzanckich na świecie, szczególnie zaś w tropikach. Tego dnia niebo było intensywnie niebieskie, a poczerwieniałe od spodu chmury nadpływały od Zatoki Meksykańskiej jak hiszpańskie galeony, przynosząc im życiodajne deszcze — spóźnione jak co roku.

Jednym z obserwatorów był niski, brodaty, popędliwy człowiek o imieniu Valeriano, niegdyś student na uniwersytecie w Silves, sto trzydzieści kilometrów w górę od Managua. Studiował literaturę elżbietańską, kiedy wojska kontra wdarły się do akademika i siłą wcielono go do armii wyzwolenia. Jego przyjaciel Panfilo, z którym dzielił pokój, zaręczony z siostrą Valeriana, także został wciągnięty na tę listę. Obaj siedzieli teraz na grzbiecie wzgórza jako obserwatorzy.

To wszystko zdarzyło się dwanaście lat temu. W tej chwili Panfilo stał w rozchełstanej koszuli, palił mexican delicado i leniwie obserwował swego przyjaciela Valeriana, który przez sponiewieraną lornetkę Zeiss 7 x 50 penetrował błyszczącą, czarną wstęgę drogi.

Kiedy usłyszeli za sobą szuranie stóp, czujnie odwrócili się, odbezpieczając AK-47. Ale był to tylko kucharz Jean-Claude, niski, tusty mężczyzna w białym fartuchu.

— Co słysząc w obozie? — zapytał Valeriano.

— Potworność, potworność — wymamrotał Jean-Claude. — Musiałem się stamtąd na chwilę wyrwać, żeby się opanować. — Usiadł na skale, ale wciąż trzęsły mu się ręce, więc natychmiast wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

— Spokojnie, przyjacielu — rzekł Panfilo — chyba za bardzo dajesz sobie w żyłę, jeśli wiesz, o czym mówię.

— Używam tego tylko po to, żeby być pobudzonym — odparł Jean-Claude — a poza tym każdy w obozie jest cały czas na prochach; Miguelito wciąż je rozdaje. Ale nie w tym rzecz, po prostu martwię się o świnię.

Dwójka wartowników, byli studenci uniwersytetu, spojrzęła na kucharza, jak gdyby postradał zmysły.

— Mówisz o kimś, kogo znamy? — zapytał Panfilo. Jean–Claude popatrzył na nich zdezorientowany.

— Mówię, rzecz jasna, o świni na ucztę.

Panfilo i Valeriano równocześnie uderzyli się dłońmi w czoło. Uczta! Oczywiście! To przecież dlatego musieli tu sterczeć i wypatrywać przybycia Ramóna de las Casas, reprezentanta FSLN(C) z Miami. Ucztę wydawano na jego cześć i Jean–Claude mówił zapewne o świni na tę właśnie okazję, *lechón asado*, podawanej dygnitarzom wszędzie, gdzie mówi się po hiszpańsku, nawet jeśli są wegetarianami.

— Ale co jest nie tak z tą świnią? — zapytał Valeriano. — Czyż nie jest to miła świnka?

Jean–Claude zacisnął zęby. Ci ludzie irytowali go, ale byli przynajmniej wykształceni, nawet jeśli nosili koszule rozpięte do pasa. Wykształceni nie we francuskim znaczeniu tego słowa, lecz wystarczająco jak na Latynosów.

— Świnka jest niezwykle miła, wybrałem ją osobiście. Rzecz w tym, że nasz gość się spóźnia. Mówiłem Miguelito, że się spóźni, bo delegaci zawsze się spóźniają. Powiedziałem mu, że nie powinniśmy wkładać świni na rożen, dopóki taksówka z San Francisco de la Paz nie ukaże się na horyzoncie. Ale jestem tylko kucharzem, a któż to słyszał, żeby komendant Bandera Negra przyjmował rozkazy od kucharza? Włóż ją teraz, powiada, bo on tu jest *comandante*, a ja tylko nędznym kuchcią, chociaż przyjechałem tu z Bordeaux, gdzie pracowałem w „Holiday Inn”, dopóty pewna przykra historia z jedenastolatką z Estonii nie zmusiła mnie do wyjazdu.

— Co zrobiłeś z tą świnią? — zapytał Valeriano.

Jean–Claude wzruszył ramionami.

— A co mogłem zrobić? Rozkaz to rozkaz: nadziałem ją na rożen.

— No więc, w czym problem? Pomiñałeś jakąś część przepisu?

Jean–Claude ściągnął usta z pogardą.

— Ja? Pominać część przepisu, który sam opracowałem i który w zeszłym miesiącu ukazał się w „Gourmet”? Nie, zupełnie rutynowo nadziałem świnię ziołami, przyprawami i kukurydzą, natarłem specjalnie przygotowaną mieszanką ziół, natłuściłem superdziewiczą oliwką oliwek z Sewilli i przekazałem obsługującemu rożen. Ci spisali się dobrze, obracając go dokładnie z taką prędkością, jaką nastawiłem im metronomem, nie zwalniając, dopóki świnka nie osiągnęła stanu, jaki powinno mieć *lechón asado*, czyli błyszczącą, ciemną skórkę, ociekającą pikantnym sosem, kruchą na zewnątrz i topniejącą w środku.

— Jest jakaś szansa, że zostanie i dla nas? — zapytał Panfilo.

— Wciąż nic nie rozumiecie — rzekł Jean-Claude. — Świnia jest doskonała właśnie teraz, pozostawiona na ogniu przez kolejne dziesięć minut przypali się, a delikatne mięso stwardnieje i będzie do niczego.

— No to ją zdejmij! — krzyknął Panfilo.

— Ale wtedy ochłodzi się przedwcześnie i musiałbym podać zimne mięso, pokryte białym, zgęstniałym tłuszczem.

— Dlaczego nie owiniesz jej w folię aluminiową? — zapytał Valeriano, uśmiechając się, ponieważ świnia nie była jego i nie został zaproszony na ucztę.

— Wiecie, że nie mają tu takich rzeczy — odparł kucharz. — Żałuję, że nie mogę wrócić do Tegucigalpa Hilton; gdyby nie te przykrości z niemiecką turystką i jej dzieckiem.

Valeriano, który właśnie obserwował drogę, podniósł władczo dłoń.

— Cisza! Właśnie nadjeżdża!

Chmura kurzu pojawiła się w najodleglejszym punkcie wijącej się jak czarny wąż drogi. Wkrótce zauważyli pędzący samochód. Był to plymouth w kolorze pustyni, taksówka z San Francisco de la Paz.

— Uczta uratowana! — krzyknął Jean-Claude i pobiegł w pośpiechu do obozu.

— Nie tylko uczta — zauważył Valeriano. — Teraz żołnierze dostaną dodatkowe działki peruwiańskiego błękitka, który obiecał im Miguelito, żeby radośnie wiwatowali, gdy przyjedzie las Casas.

— A bohater właśnie nadjeżdża. Chodź, weźmiemy naszą działkę.

Uśmiechnęli się do siebie, powoli racząc się narkotykiem. Potem wytarli nosy i poszli zgłosić się do raportu.

Plymouth z trudem pokonywał kamienistą drogę, pomarszczoną wyrąbanymi pniakami, wspiął się na wzgórze i z rozmachem wtoczył do obozu. Zebrani żołnierze, radośni i podnieceni, głośno wiwatowali, machając czapkami i wycierając nosy. Pięciosobowy zespół sprowadzony z Tabasco zaczął grać swawolne huapango.

Z tylnego siedzenia wysiadł Ramón de las Casas, współpracownik FSLN(C), grupy oddanej odzyskaniu ojczyzny Nikaragui, a także, tym razem z większym zdecydowaniem, przywróceniu polityki niedawno opłakiwanego Tacho Somoza i jego Guardia Nacional.

Casas miał na sobie dobrze skrojony garnitur i czarny, prosty krawat. Podłużna, kształtna twarz i faliste, siwe włosy nadawały mu równocześnie wygląd Bolívara i Świętego Marcina od Pól.

Miguelito, przywódca rebeliantów, słynny komendant Bandera Negra, wystąpił naprzód, by przywitać go potężnym *abrazo*. Był niechlujnym, opasłym mężczyzną z luką między zębami i spojrzeniem szaleńca. Niezależny reporter „New York Timesa” opisał go jako połączenie Eli Waliach i Huna Attili.

Udali się do namiotu Miguelita. Casas rozsiadł się wygodnie w płóciennym fotelu, podczas gdy gospodarz napełnił małe, ozdobne kubeczki szarobiałą *chicha*.

— Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca?

— Skąd. Ja zaś mam nadzieję, że otrzymałeś transport kobiet, które przysłałem ci w zeszłym miesiącu przez naszego agenta z Gwatemali.

— Zostały rozdane żołnierzom, którzy, podobnie jak ja, pragną wyrazić swoją wdzięczność.

— Podobały się?

— Są wyśmienite. Masz nienaganny gust, don Ramón... Miguelito zawiesił głos. Casas zapytał:

— Co z nimi nie tak? Nie dość tłuste, co? Wiem, wiem. Musisz jednak zrozumieć, jak trudno znaleźć porządnie odkarmione, chętne do podróży dziwki. Ciągłe powtarzam to naszemu agentowi w Panamie, Manchego de Quesadillo, ale on zawsze znajduje jakąś wymówkę.

Przez otwartą klapę namiotu widać było góry Sierra de Agalta, zabarwione na ciemny fiolet, z krawędziami jak gdyby wykończonymi złotem. Z nieba buchał natarczywy tropikalny żar. Pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na ziemię.

— Niech to szlag — zaklął Miguelito — wygląda na to, że deszcze w tym roku będą wcześniej. A my tkwimy tu w zszmaciałych namiotach, w zapomnianym przez Boga obozowisku, bez filmów lub przynajmniej tłustych dziwek, które mogłyby dotrzymać nam towarzystwa w nędzy i splendorze środkowoamerykańskich nocy! Dzięki Bogu, że przynajmniej dostawy świń są na bieżąco.

Z zewnątrz usłyszeli radosne, brzmiące z francuska wołanie:

— Świnia gotowa! Podano do stołu!

— Jeszcze słówko, zanim dołączymy do uroczystości — rzekł Miguelito. — Nie zapraszałem cię tu tylko z powodu uczyty, Ramón, choć oczywiście jest ona na twoją cześć. Prosiłem, żebyś przyjechał, by powiedzieć ci, że jesteśmy wreszcie gotowi.

Casas szybko wciągnął powietrze.

— Masz na myśli absolutną gotowość?

Miguelito mrugnął oczami w minimalnym geście potwierdzenia, jeszcze bardziej wymownym przez swoją oszczędność.

— Ilu masz ludzi?

— Udało mi się najać blisko cztery tysiące sezonowych żołnierzy z Flavian Estes. Należeli wcześniej do komendanta Gato Azula, który postanowił odejść z partyzantki i zająć się akwarelami w Fiesole, więc zebrałem wszystkich jego ludzi. Ceny były korzystne, ale i tak musiałem wydać moje rezerwy w CIA, a także to, co zdołaliśmy zaoszczędzić we wspólnej kasie oddziału z grabieży Tumbucú zeszłej jesieni.

— Cztery tysiące to nieźle — powiedział Casas — jednak...

— Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. Uzyskałem pewne poparcie od przywódców innych grup rebeliantów. Bezczyenne oczekiwanie wychodzi im już bokiem i zgodzili się zaatakować równocześnie ze mną. Ramón, tym razem może nam się udać!

— Miguelito, mówię to z podziwem, spisałeś się doskonale.

Miguelito uśmiechnął się.

— Teraz widzisz, dlaczego nazywano mnie El Exigente, zanim stałem się komendantem Bandera Negra. Ramón, teraz możemy zrobić wszystko! Przekroczę rzekę przy Dos Ojetes, otoczę Virgen Gorda Line, rozniosę w pył ten łajzowaty batalion w Dolces de Muerte i połączę się z Jorge Encendadora i jego Fioletowymi Gąsienicami za Morena de Churri.

— Wspaniale! — krzyknął Casas. — I co dalej?

— Przejdziemy wtedy do planu Honcho Azula, który, jeśli pamiętasz, omawialiśmy w zeszłym roku na zjeździe partyzantów na Jamajce, gdzie miałem przyjemność poznać twoją piękną przyjaciółkę i jej dziwnego małego braciszka. Następnie, zjednoczeni, rozproszymy się po to, żeby znów połączyć się przy Point Taco Enchilada i przypuścić ostateczny atak na Managua.

— To naprawdę genialne — rzekł Casas. — Naprawdę tak myślę, Miguelito. Nic dziwnego, że nazywają cię Napoleonem prowincji Bocachica.

— Potrzebuję tylko jednego.

— Wiem, tłustych dziwek.

— Tak, to rzeczywiście byłoby niezwykle przydatne. Ale miałem na myśli coś innego — broń.

Casasowi zrzęda mina.

— To zawsze jest najtrudniejsze, szczególnie w ilościach, jakich będziesz potrzebował.

— Przydałoby się także kilka dział przeciwlotniczych. Kilka czołgów też nie jest najgorszym pomysłem.

— Hej, spokojnie! Za chwilę poprosisz mnie o kompletne wyposażenie polowe i buty dla

wszystkich.

— Przydałoby się także kilka oddziałów medycznych, rozumiesz, ludzie oczekują tego od nas.

— Miguelito, wiesz jak bardzo chciałbym cię wyposażyć, lecz to nie zależy tylko ode mnie. Musi to przegłosować Rewolucyjna Rada Wolności Narodu na Wygnaniu. Ale organizacja nie dysponuje takimi pieniędzmi. — Casas dokonał szybkich obliczeń. — Mówi — i,, my tu co najmniej o dwudziestu milionach dolarów. To nie parę dolców, jeśli wybaczysz mi trochę amerykańizmów.

Na twarzy zdesperowanego Miguelita pojawił się grymas.

— Wiedziałem, że tak się to skończy. Brak efektywności, ot co.

— Miguelito — rzekł pojednawczo Casas — jesteśmy przyjaciółmi od tak dawna. To ja, Ramón, rozumiesz kochany? Powiedz teraz, czy twoi chłopcy chcą walczyć?

— Czy chcą? — zapytał Miguelito głosem twardym i stanowczym. — Są napaleni i żądni krwi, dzięki prochom. Szczęśliwie natknęliśmy się na grupę przemytników kokainy, wędrujących po górach w przebraniu ekipy fotograficznej z „National Geographic”. Skonfiskowałem im towar i od tamtej pory rozdaję go swoim ludziom. Ci chłopcy są gotowi. Zauważyłeś po drodze te ścięte drzewa? To ich robota, zgrzytających zębami i wymachujących bagnetami. Kończy nam się las, a ty pytasz, czy oni będą walczyć! Będą, Ramón, wystarczy, że zwiększę im dawkę prochów, żeby osiągnęli właściwy stan ducha, gdy nadejdzie czas. Ale atak musi rozpocząć się wkrótce, inaczej zabraknie mi towaru, a chłopcy albo rozsypią się, albo pozabijają się wzajemnie, najpewniej nie oszczędzając mnie ani dziwek.

— Posłuchaj — rzekł Ramón — gdybym tylko mógł dać ci to, czego potrzebujesz...

— Byłbyś wtedy następnym prezydentem! — krzyknął Miguelito. — Nie jestem politykiem. Wszystko, czego chcę, to dożywotnie stanowisko dowódcy sił zbrojnych.

— Cóż — odparł Casas — przyznaję, że brzmi to obiecująco.

— Dalej Ramón, zrobmy to albo dajmy sobie spokój i uciekajmy z tym, co mamy, do Hiszpanii. Mam już dość siedzenia na tych wzgórzach, próbując zabawić tysiące żołnierzy, nie mając do pomocy nawet tłustych dziwek.

Do namiotu wpadł Jean-Claude z rozwianymi włosami, wywracając oczami.

— Mój drogi — zwrócił się Miguelito do poruszonego kucharza — co się stało?

— Przepraszam, że przeszkadzam, komendancie — wykrztusił Jean-Claude, cedząc słowa jak japoński aktor w ważnej scenie — ale jeśli pan i pański gość natychmiast nie przyjdziecie na obiad, ja rezygnuję i przyłączam się do bandy kontra, która dba o jedzenie.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedział ze śmiechem Miguelito — zaraz zaatakujemy twoją świnię, co, Ramón?

— Tak, ale zaatakujemy nie tylko ją — odpowiedział Casas.

— Jesteś pewny? — spytał Miguelito.

Ich spojrzenia spotkały się niczym wzrok dwóch jastrzębi. Casas powoli skinął głową i objął Miguelita ramieniem.

— W porządku, przyjacielu — powiedział — zrobimy to.

Rozdział 11

I krotce po sytej uczcie, Ramón de la Casas opuścił obóz, nie zapominając pochwalić Jean-Claude'a, który wspomniał te słowa wdzięczności w przedmowie do swojej książki kucharskiej, zatytułowanej „Kuchnia Rebelianta”, wydanej kilka lat później.

Wysoki, przystojny przedstawiciel FSLN(C), kazał taksówkarzowi zawieźć się na lotnisko San Leandro w Tegucigalpa. Pasażerów było niewielu, za to mnóstwo żołnierzy z bagnetami na karabinach i parę indiańskich kobiet z dziećmi, owiniętych w jasnokolorowe koce i kulących się po kątach. Aż do rana Casas popijał kawę i koniak w poczekalni dla VIP — ów. O siódmej rano poleciał samolotem Pan Am do Gwatemali, gdzie przybył dosłownie na kilka minut przed rozpoczęciem cotygodniowego spotkania rady nadzorczej FSLN(C), czyli Wolnej Partii Republikańsko — Demokratycznej Nikaragui.

Delegaci spotkali się w apartamencie hotelu „Huespedes”, krzykliwym, hiszpańskim budynku w stylu neoplateresco z motywami Gaudiego. Wielu z nich było niskiego wzrostu, ubranych w ciemne garnitury, białe koszule i dyskretne krawaty. Wszyscy mieli wyczyszczone buty, niektórzy trzymali w rękach aktówki. Większość nosiła okulary.

Pod wolno obracającymi się skrzydłami wentylatora Casas, podwinąwszy rękawy koszuli, głosem szorstkim i poważnym przedstawiał sprawę zaoferowania Nikaragui pożyczki wystarczająco wysokiej, żeby sfinansować kupno broni dla oddziałów Miguelita. Jeden rzut kostką — zwycięzca bierze wszystko.

Odezwały się jednak głosy sprzeciwu.

— Co na to Stany Zjednoczone? — pytał Patricio Seguidiya, minister spraw zagranicznych na wygnaniu, mężczyzna o wodnistych oczach, z drewnianą nogą, który miał zwyczaj przewracania szklanek z wodą.

Seguidiya przypomniał, że siedemdziesiąt dziewięć procent Amerykanów było przeciwko aktywnemu wspieraniu jakichkolwiek rebelii, przy czym osiemdziesiąt siedem procent nie potrafiło odróżnić jednego państwa Ameryki Środkowej od drugiego, zaś osiemdziesiąt dwa procent w ogóle nie chciało o tym słyszeć.

— Nie przejmowałbym się nimi — powiedział Casas. — Dobrze wiedzą, że nasza partia jako jedyna jest gotowa podporządkować ekonomię tego kraju ich gigantycznym korporacjom; dadzą się przekonać.

— Ale skąd możemy mieć pewność, że tak właśnie pomyślą? — zapytał Seguidiya.

Podniósł się Garcilaso Vegas, szczupły, młody delegat z Choyotepe.

— Myślę, że w tej sprawie mogę wszystkich uspokoić — powiedział. — Jestem wtyczką CIA w

tej organizacji i upoważniono mnie do zapewnienia, że otrzymacie wsparcie, jeśli tylko stworzycie jakiś plan i rozpoczniecie tę wojnę.

Przeprowadzono głosowanie. Uzgodniono jednomyślnie, że de las Casas zwróci się do Korporacji Bahama, międzynarodowej instytucji finansującej nielegalny handel bronią, i poprosi o pożyczkę w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów — w końcu musiało zostać coś dla delegatów — oferując w zastaw wszelki dobytek państwa Nikaragua.

Rozdział 12

Korporacja Bahama powstała w wyniku reakcji na lata stresu, które przeżywała wypaczona cywilizacja, zbliżając się do końca tysiąclecia. Była to firma prywatna, do której należeli idealiści obojga płci, w większości naukowcy wysokiej rangi, próbujący w nielegalny sposób jak najlepiej przysłużyć się ludziom. Potrzeba powołania tego typu organizacji stawała się coraz bardziej nagląca, a naukowcy coraz wyraźniej dostrzegali zagrożenia dla ludzkości płynące z niefrasobliwego rozwoju przemysłu. Ci ludzie postrzegali, że jeśli nawet uniknęlibyśmy wojny atomowej, za kolejne pięćdziesiąt czy sto lat Ziemia nie będzie nadawała się dla nikogo, z wyjątkiem karaluchów i węgorków. Choć wizjonerzy proponowali opuszczenie Ziemi w wielkich statkach kosmicznych, byłoby już po wszystkim, zanim zostaną one zbudowane.

Wzrost zaludnienia i wszelkie formy zanieczyszczenia dowodziły, że zwierzę zwane człowiekiem zbrukało swoje własne gniazdo. Zniszczyło wszystko wokół siebie, wymordowało inne duże zwierzęta, zużyło liczące miliony lat zapasy świeżej wody, ropy, węgla i minerałów. Równowaga delikatnych ekosystemów została zachwiana, często w sposób nieodwracalny. Ziemia umierała w szybkim tempie, choć nie dostrzegało się tego na pierwszy rzut oka. Rządy świata trwoniły bezcenny czas na kłótnie i obronę swych doktryn ekonomicznych, religijnych i społecznych. Dochód wszystkich narodów marnowano na powiększanie, dozbrajanie i unowocześnianie sił zbrojnych. Ludzie zachowywali się jak mrówki-zabójcy, cały swój czas poświęcający na rozwijanie morderczych szczęk.

Coś musiało zostać zrobione, żeby zachować i utrzymać wielki, ząbwiący się układ globalnych ekosystemów, który podtrzymywał życie na Ziemi. Tylko zarządzanie Ziemią jako całością mogło uchronić tutejsze formy życia na dłużej niż wiek czy dwa.

Jednak cywilizacja dwudziestego wieku ślepo dążyła ku samozniszczeniu. Nic nie dało się zrobić oficjalnie, dopóki sytuacja nie uległaby znacznemu pogorszeniu. Lecz wtedy byłoby już za późno na zrobienie czegokolwiek.

Najwięksi myśliciele z przeróżnych dziedzin zrozumieli, że jeśli nasza planeta ma zostać uratowana, musi się to odbyć poza oficjalnymi kanałami.

Jednym słowem, nielegalnie.

W tym celu spotkali się zainteresowani ideą naukowcy. Najważniejszym problemem okazały się fundusze. Rozwiązania globalnych problemów można było podjąć się tylko wtedy, gdy miało się do dyspozycji ogromne ilości pieniędzy. Skąd jednak wziąć miliony, biliony, a może nawet tryliony dolarów? Ani rząd, ani sektor prywatny nie mogły dostarczyć choćby przybliżonej sumy.

W tym celu powstała Korporacja Bahama.

Jedynym przedsięwzięciem, zapewniającym szybki dopływ dużej ilości gotówki, była oczywiście przestępczość.

Naukowcy z goryczą zdali sobie z tego sprawę. Większość z nich nie oszukiwała nawet przy rocznych zeznaniach podatkowych, a ich kontakt z prawem ograniczał się do zwykłych mandatów za jazdę po pijanemu. Niemniej jednak stanęli na wysokości zadania i zaakceptowali potworną logikę, która sprawiła, że pełni ideałów prawomyślni obywatele zostali przestępcami.

Nie było to właściwe, lepsze jednak niż pozwolenie politykom na zanieczyszczenie lub wysadzenie Ziemi w powietrze, co wydawało się ich najbliższym zamierzeniem.

Tak powstała Korporacja Bahama złożona z naukowców wszystkich narodowości, zainteresowanych zachowaniem Ziemi jako miejsca dla wszystkich istot ludzkich, bez względu na kolor skóry, wyznanie, czy poglądy polityczne i ekonomiczne.

Zaczęto od udzielania pożyczek na najwyższych szczeblach, gdzie swoją pomoc zaoferowali przywódcy mafii i Tongu, dzieląc się wieloletnim doświadczeniem.

Wkrótce odkryto, że nie potrzebowali żadnej pomocy. Ludzie, którzy potrafili opanować fizykę kwantową, chromofratografię czy dyfuzję gleby metodą bombardowania kryształów, nie mieli kłopotów z opanowaniem sztuki robienia podejrzanych interesów, przynoszących znaczne dochody.

Jedna z grup badawczych pracowała nad idealnym z punktu widzenia użytkowników narkotykiem i wkrótce wykryto hybrydową marihuanę, od dwudziestu do czterdziestu razy silniejszą od dotychczasowej. Superkoka, jak ją nazwano, nie raniła nozdrzy. Jedna działka zachowywała aktywność przez wiele godzin. Co lepsze, dawała się wpleść w lekką tkaninę lub po zmieszaniu z żelem silikonowym zmieniała się w twardą pastę, którą rozprawadzało się na podwoziu samochodu i zdrapywało po przejechaniu granicy.

Te projekty dopiero czekały na realizację. Tymczasem głównym źródłem dochodów Korporacji było udzielanie pożyczek. I właśnie niedawno do biur w Outer Cay, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Nassau na Bahamach, dotarła nadzwyczaj interesująca propozycja.

W sali posiedzeń zasunięto okna, mimo to padające ukośnie promienie słońca uczyniły z bogato wyposażonego pomieszczenia lśniąca galerię mosiądzu i drewna orzechowego. Szumiąca cicho klimatyzacja zapewniała dostateczny chłód ubranym w firmowe bluzy uczestnikom zebrania.

Doktor Alois Dahl przywołał zgromadzonych do porządku. Wykształcony w Holandii, doktorat zrobił na Uniwersytecie w Utrecht. Dwa lata później dołączył do Centrum Przyspieszenia Linearnego na Uniwersytecie w Stanford. Po czterech kolejnych latach w Berkeley przeniósł się na Uniwersytet w Michigan, gdzie został przydzielony do grupy pracowników profesora fizyki Edwarda T. Flynna. Rok wcześniej Tajne Zgromadzenie Naukowców w Genewie wyznaczyło go do objęcia zwierzchnictwa nad Instytutem Badawczym Bahama, po niewyjaśnionej śmierci Hansa Castorpa. Dahl był wysokim blondynem o jasnej, piegowatej karnacji, która nigdy nie poddawała się opaleniznie.

— Głównym punktem porządku dziennego — rzekł Dahl — jest wniosek Ramóna de las Casas z FSLN(C) o przyznanie pożyczki w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów na zakup broni i obalenie obecnego rządu Nikaragui. Czy wszyscy obecni zapoznali się z ofertą?

Pięciu mężczyzn pokiwało głowami lub nagryzmoliło coś w notesach.

— Chętnie wysłucham waszych opinii — powiedział Dahl. Jako pierwszy zabrał głos Isao Yakitori z Narodowego Biura Pomiarów Geodezyjnych w Stanach Zjednoczonych, gdzie studiował interferometrię.

— Proponowana pożyczka jest wyjątkowo słabo zabezpieczona. Casas chce tych pieniędzy na kupno broni. Ale ci ludzie już wcześniej kupowali broń: czym mogą się teraz pochwalić? Ich propozycja, że spłacą dług w ciągu pięciu lat, nakładając pięćdziesięcioprocentowy podatek na ludność Nikaragui, brzmi nieźle, jednak nie możemy mieć pewności, że w ogóle dojdą do władzy.

— Myślę, że kolega wyolbrzymia trochę minusy całej sprawy — powiedział Eduardo Macidelli, profesor chemii i biochemii na Uniwersytecie Colorado w Boulder. — Ryzyko jest równie wielkie jak możliwy zysk; dwieście procent w ciągu pięciu lat to niemało.

— Jeśli dojdą do władzy — podkreślił Yakitori. Ponownie wtrącił się przewodniczący Dahl:

— Nie rozumiecie, że nasz zysk jest pewny bez względu na rozwój wydarzeń? Warunkiem umowy z FSLN(C) jest kupienie broni przez ich człowieka w Miami, Alfonsa Guzmána, u naszego dealera Yitzhaka Framijiana. Z chwilą, gdy Guzmán zapłaci Framijianowi za broń, my odzyskujemy nasze pieniądze i w efekcie handlujemy sami z sobą, zyskując pokaźny procent. Nie możemy stracić, nawet jeśli plan FSLN(C) się nie powiedzie.

— W interesach nie chodzi tylko o wyjście na swoje — zauważył Mark Clancy, profesor nadzwyczajny anatomii i zoologii na Uniwersytecie Illinois w Urbana. — A co z tym ich człowiekiem, Guzmánem? Można na nim polegać?

— W sprawach finansowych jest człowiekiem honoru, jak większość tych starych wyjadaczy ze szwadronów śmierci — rzekł Macidelli.

— Nie podoba mi się mieszanie się w politykę — powiedział Yakitori. — Politycy są nieprzewidywalni. Czy nie moglibyśmy po prostu dalej finansować działań terrorystów? Jak dotąd, nieźle na tym wychodziliśmy.

— Wydaje mi się, że zapominamy o czymś ważnym — rzekł Dahl. — Zysk z tej operacji nie jest tylko chwilowy. Wyobraźcie sobie prestiż, który osiągniemy w kołach międzynarodowych po obaleniu rządu! Musimy iść naprzód wraz ze zmieniającymi się warunkami; finansowanie terrorystów przestaje się już opłacać. Czas zająć się czymś nowym, jak choćby finansowaniem rewolucji. To przyszłość prywatnego kapitału. Mamy zresztą na ten temat ostatnią notkę Biura Spraw Wewnętrznych.

— Sądzę więc, że wszystko w porządku — powiedział Yakitori. — Mam tylko nadzieje, że ta

decyzja nie będzie cię potem prześladować.

— Ja również — dorzucił Macidelli z gorzkim uśmiechem.

Dahl uśmiechnął się, lecz poczuł oblewający go zimny pot. Przewodniczący Korporacji Bahama nie miał prawa popełniać zbyt wielu błędów. Nawet niewielka pomyłka mogła go drogo kosztować. Zwykle prowadziło to do natychmiastowej degradacji, a w Korporacji jedynym miejscem, gdzie mógł trafić przewodniczący zarządu, przyodziany wcześniej w betonowe wdzianko, była czarna otchłań oceanu. Biuro Spraw Wewnętrznych wciąż jeszcze nie wymyśliło, jak nielegalna organizacja powinna ustalać przekazywanie władzy.

Przeprowadzono głosowanie i jednomyślnie postanowiono przyznać FSLN(C) pożyczkę z ustalonymi zastrzeżeniami. Przewodniczący Dahl udał się do swojej kwatery.

Rozdział 13

Gdy tylko Alfonso Guzmán otrzymał zakodowany telegram, że suma dwudziestu milionów dolarów została zdeponowana na jego koncie w Panamie, sięgnął do cedrowego pudełka po cygaro Montecristo Special Select Nrl. Kiedy je zapalił, poczuł żal, że nie ma cygara na tyle drogiego, by nadawało się do uczczenia takiego osiągnięcia. Dwadzieścia milionów! Jasne, że większość pójdzie na opłacenie Framijiana i jeszcze około miliona dla różnych przyjaciół, polityków i handlowców. Mimo to wiedział, że z pewnością ta transakcja mu się opłaci. Nieźle jak na syna armeńskiego kupca.

Delektował się tą chwilą, jak tylko mógł najdłużej, siedząc wygodnie w skórzanym fotelu, w wielkim białym pomieszczeniu na drugim piętrze różowego, bezładnie zbudowanego domu w południowym Miami. Trzeba jednak było wziąć się do pracy. Wystukał numer telefonu.

— Pan Blake? Cieszę się, że pana zastałem. Mam ważną sprawę, niezwykle ważną sprawę.

Głos Blake’a zabrzmiał metalicznie:

— Dla kogo ważną, Alfonso?

— Dla nas obu, przyjacielu. Chodzi o spełnienie wielkiego marzenia, czego obaj pragniemy. Sen, w którym urzeczywistniają się aspiracje naszych wielkich narodów, a przy okazji przynoszący znaczny dochód wszystkim zainteresowanym.

— To wspaniale, Al. — Głos Blake’a wprost ociekał ironią. — Tylko po co dzwonicz właśnie do mnie? Nie prościej dać od razu ogłoszenie do „Miami Herald”?

— To bezpieczna linia — odparł Guzmán.

— Skąd wiesz, do cholery?

— Bo sam mi o tym powiedziałeś — odparł upokorzony Guzmán. Nienawidził Blake’a, przy którym zawsze czuł się jak mały, zasmarkany głuptas.

— A gdybym ci powiedział, że na środku Orange Bowl znajduje się garnek złota, też byś w to uwierzył?

— Przepraszam, Blake.

— Nie wiem, co za świństwo znowu paliłeś, bo wydajesz się jakiś dziwny. Masz mi naprawdę coś do powiedzenia, czy to kolejna z twoich fantazji pod tytułem „Lecimy do Rio”?

— To naprawdę ważne — rzekł Guzmán. Uwierz mi Blake.

— No dobra, posłucham, co masz do zaśpiewania. Spotkamy się wieczorem na Dania Jai Alai.

Bilet dla ciebie będzie w kasie.

— A czy nie moglibyśmy spotkać się tu, u mnie? — zapytał Guzmán. — Staram się zbyt często nie wychodzić, od czasu tego szalonego Kolumbijczyka z maczetą.

— Nie wciskaj mi tu swoich paranoi, Al — rzekł Blake. — Chcesz pogadać, przyjdź wieczorem na pelotę. Bez odbioru, kochany.

Blake rozłączył się.

Guzmán odłożył słuchawkę. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł czoło. Jeśli w ogóle czegoś chciał na gwiazdkę, to tylko głowy Blake'a na półmisku, z jabłkiem w ustach, posypanej parującą w środkowoamerykańskim stylu. Ale Blake'a nie mógł, nie miał prawa ?abić.

Choć zawsze dałoby się zaaranżować wypadek...

Nie, trzeba o tym zapomnieć.

A jednak...

Podniósł się. Po jednej rozmowie z Blake'em cała radość z dwóch i pół miliona zysku gdzieś zniknęła.

Przycisnął guzik interkomu.

— Tito!

Herrera czekał tuż obok, w recepcji. Przybiegł zaraz po wezwaniu.

Był to potężnej budowy Metys z San Juan del Norte, sierżant Guzmána z czasów, gdy ten prowadził wzorowe więzienie w Managua. Od rany po nożu pomarszczona, ciemna twarz Tita wydawała się jeszcze groźniejsza. Posiadał kolekcję zasuszonych uszu, uważaną w Miami za najlepszą pod względem różnorodności typów, kolorów i kształtu małżowin. W Panama City mieszkała stara matka Tita, której był szczerze oddany. Chociaż Guzmán ledwie zauważał w nim człowieka, wiedział jednak, że to jego najlepszy goryl.

— Idziemy dziś na Dania Jai Alai — poinformował Guzmán. — Bierzemy lamborghini.

— Zrobione, szefie — odparł Tito. Mówił niezłe po angielsku, gdyż większość czasu spędzał na oglądaniu filmów gangsterskich na wideo. Podeszedł do drzwi i zawahał się.

— O co chodzi?

— Wiem, że to nie mój interes, szefie, ale czy to na pewno dobry pomysł? Wiesz, o co mi chodzi?

— Wiem, wiem. Po prostu bądź ostrożny. Idź teraz po samochód.

Niemal miesiąc wcześniej Guzmán siedział na górze i oglądał na wideo „Casablanca”. Eksplozję usłyszał jako odległy łomot, który można było pomylić z trzęsieniem ziemi. Podłoga zakołysała się przez chwilę, a dwudziestosiedmocalowy telewizor zamigotał dwukrotnie, zanim nastąpiła elektroniczna samoregulacja.

Don Alfonso zatrzymał film, podszedł do małej drewnianej skrzynki, wyjął dziewięćmilimetrowego browninga i sprawdził magazynek. Zaczekał jeszcze moment, czy nie będzie kolejnego wybuchu, po czym zszedł na dół.

Pralnia przedstawiała okropny widok. Praczka, biedna stara Tia Teresa i tygodniowy zapas koszul rozrzucone były po ścianach jak surrealistyczny wzór graffiti. Nawet dla byłego komendanta wzorowego więzienia w Managua widok nie należał do zbyt przyjemnych.

W salonie znalazł żonę zwiniętą w kłębek w ataku hysterii.

Chwilę później przyszedł Juanito, dwudziestoczteroletni siostrzeniec Guzmána. Wybuch wyrwał go z drzemki, którą uciał sobie przy basenie po drugiej stronie domu.

— W porządku — uspokoił ich Guzmán. — Mieliśmy nieprzyjemny incydent, ale teraz weźmy się w garść. Juanito, najpierw zadzwoń do kostnicy Cielo de Corazón i każ im zabrać Teresę, a potem do Biura Zatrudnienia Trans — Caribbean i zdobądź mi nową praczkę. Wezwij też hydraulików, bo spryskiwacze puściły.

— Spryskiwacze? — zapytał Juanito z niepewnym uśmiechem.

— Bomba musiała uszkodzić rury i zepsuły się spryskiwacze do trawników. Sam zobacz, ozdoby od Gila & Eddy’ego, warte dziesiątki tysięcy dolarów, są zrujnowane. Numer znajdziesz w biurze.

Juanito poszedł zadzwonić do biura z sąsiedniego pokoju. Żona Guzmána, dona Caterina pozbierała się jakoś i roztrzęsiona wstała z krzesła.

— Musimy dać na mszę za duszę tej biedaczki — powiedziała. Don Guzmán, przypomniawszy sobie oglądany przed chwilą film, rzekł:

— Niech księżyca odmówią zwykłe modlitwy.

— Co? — spytała dona Caterina, wysoka, mizerna, blada kobieta o królewskim pochodzeniu. Wydawała się podobna do hiszpańskiej królowej Izabelli Katolickiej albo Juany Szalonej.

— Nic, nic, kochanie, to taki mały żart — odparł Guzmán. Nie mógł zupełnie ignorować żony, a przynajmniej nie otwarcie, ponieważ to jej majątek stanowił podstawę jego przedsięwzięć finansowych.

Bez wątpienia poradził sobie z tym w niezłym stylu, choć lekko nim to wstrząsnęło. Wciąż nie wiedział, kto podłożył ładunek i jak dostał się do pralni. Zbyt wielu ludzi chciałoby się go pozbyć. Podwoił więc środki bezpieczeństwa i wysłał Tita, aby zajął się kilkoma potencjalnymi podejrzanymi. Zaczął też sporo przebywać w domu.

A teraz ten cholerny Blake i jego pelota. Guzmán postanowił, że jeśli uda mu się i tym razem, już nigdy nie opuści domu. Będą musieli go zbombardować.

Rozdzi 14

Wiozący Guzmána Tito skręcił z autostrady na bulwar Dania Beach, a następnie na Dania Jai Alai Fronton, podłużny i oświetlony jak krążownik. Parkujący zajął się samochodem, a oni weszli do środka. Guzmán planował przyjechać wcześniej i zjeść w klubie obiad. Miał ochotę na *zuppa di cozze*, podawane w wazach małże duszone w oliwie z oliwek z dodatkiem czosnku, bazylii, pietruszki i krojonych pomidorów. Na to było już jednak za późno, więc od razu udał się na miejsce. Wszystko układało się pomyślnie, dopóki pracownik nie poprosił go o bilet, który Guzmán zapomniał odebrać z kasy. Został więc poproszony o opuszczenie miejsca.

Pracownik powinien się domyślić, że nie należy zadzierać z Alfonsem Guzmánem, nawet jeśli dopiero zaczynał pracę w tym zawodzie. Już sam sposób, w jaki się zachowywał, skłaniał do zastanowienia się, nie wspominając o Ticie stojącym dwa kroki dalej, niczym latynoski Golem. Gdy więc Guzmán odpiął aksamitną linkę z małego, mosiężnego haczyka i zajął jedno z zarezerwowanych z przodu miejsc, pracownik mógł zrozumieć, że miejsce to należało do niego i nie wszczynać awantury.

Guzmán roześmiał mu się w twarz, a gdy ten spytał, co go tak rozbawiło, odparł, że wyglądałby dość zabawnie z podwójnymi ustami. Zanim pracownik zdążył zastanowić się nad tym, co Guzmán miał na myśli, stanął nad nim dwumetrowy Tito, potężny i odpychający.

— Przeszkadza ci ten gość, szefie? — zapytał.

Rozmowę prowadzono ściszonymi głosami, niemal szeptem. Guzmán spokojny, ubrany w kurtkę z lamy, obok Tito z ramionami wypychającymi wiatrówkę i nieszczęsny pracownik, który niemal narobił w spodnie, gdy nagle zorientował się, że ma kłopoty. Jeszcze nie wiedział, że nie jest dość ważny, by umrzeć.

Strach to najlepszy komplement dla męskości i Guzmán poczuł zadowolenie.

— Po prostu zostaw nas — powiedział i zajął miejsce.

Przez moment siedział i przyglądał się grze. Znajdował się tuż obok najdłuższej, bo mającej ponad pięćdziesiąt trzy metry ściany boiska. Baskowie w czerwonych, plastikowych hełmach, białych spodniach, tenisówkach i koszulkach z numerami, zasalutowali cestami i gra się rozpoczęła.

W następnym rzędzie siedziało czterech Kubańczyków. Obstawiali po dwóch zwycięzców, a jeden z nich, brunet o monstrualnej sylwetce, okładał swego towarzysza zwiniętym programem, gdy tylko ich drużyna czyniła jakieś postępy. Jak na mecz poza sezonem, publiczność, głównie Anglosasi, stawiała się dość licznie. Wszyscy wykrzykiwali obstawione numery. Chociaż nazwiska graczy umieszczono w programie, pozostały obco brzmiącymi, baskijskimi dźwiękami: Gorricho, Urreta, Larrusca, Assis III, Chaz. Skandowanie numerów sprawiało znacznie mniej kłopotu. Żeby nie zanudzić się na śmierć, Guzmán postanowił obstawić trzech zwycięzców w następnej grze i właśnie wtedy na pustym miejscu obok niego usiadł Blake, niski człowiek, o wyraźnych rysach twarzy i

krótko przyciętych włosach lub raczej tym, co nich zostało. Ubrany był w jasnoszare spodnie z wełny czesankowej, podtrzymywane cienkim, brązowym paskiem ze skóry aligatora, bordowo-błękitną kurtkę i białe mokasyny z frędzlami.

Było zbyt gorąco, nawet na tak lekką kurtkę, ale Blake ukrywał pod nią broń, płaską trzydziestkę dwójkę. Niezbyt imponująca, lecz przydatna w sytuacjach jeden na jednego. Nosił ją w irchowej kaburze pod ramieniem.

Jego partner, potężny Angelo Coelli, o wzroście ponad metr osiemdziesiąt, miał szeroką, ponurą twarz. Nosił białą koszulę, swoją trzydziestkę dwójkę przypiął wewnątrz wysokiego buta.

— No i co słyhać stary? — zapytał Blake.

Coelli usiadł z tyłu, obok Tita i burknęli coś do siebie.

— Przyjacielu — rzekł Guzmán — dobrze cię widzieć.

— No pewnie, że dobrze — odparł Blake. Zerknął na tablicę wyników i zauważył, że piąta gra miała się ku końcowi.

— Kogo byś obstawił w szóstej? — zapytał.

Guzmán właściwie miał to gdzieś, był fanem Miami Dolphins, ale udał, że czyta program.

— Dwójka i piątka — stwierdził po chwili. — Goitterez jest w tym roku w świetnej formie, a Braca jest najlepszy w tej pozycji.

— Wygrają?

— Postawiłbym na tę dwójkę.

Blake odwrócił się.

— Angelo, postaw za mnie kilka dolców. Weź ze sobą Tita i zafunduj mu drinka.

Tito potrząsnął głową.

— Nigdzie się stąd nie ruszę.

Coelli spojrzał pytająco na Blake'a, który wzruszył tylko ramionami, więc poszedł obstawić zakład.

— No i jak, stary — pytał Blake. — Jak leci? Jak senora?

— Wyśmienicie — odparł Guzmán. Nie zapytał jednak o rodzinę Blake'a, nawet nie wiedział, czy on w ogóle ma rodzinę, bo czy karaluchy mają rodziny?

— Czemu to zawdzięczam zaszczyt spotkania się z tobą w tym przybytku sportu?

— Nasz wspólny projekt wreszcie zaczyna się krystalizować — powiedział Guzmán.

— Jeszcze raz po angielsku, OK?

— Miguelito jest już gotów.

— Który Miguelito? — spytał Blake. — Ten w El Yunque czy w San Francisco de la Paz?

— Ten w San Francisco, w Hondurasie. Nazywają go komendantem Bandera Negra.

— Tak, pamiętam. Był na zjeździe rebeliantów w zeszłym roku, prawda? Mały człowiek pełen wielkich idei?

— Miguelito połączył siły bojowników z trzech różnych grup. Ma teraz pięć tysięcy wyszkolonych ludzi i zapewnioną współpracę innych oddziałów. Wspiera go FSLN(C). Są gotowi w ciągu miesiąca pomaszerować na Santa Clara, zanim nadejdzie pora deszczowa.

Na boisku pojawiły się drużyny do szóstej rozgrywki. Wrócił Coelli i wręczył Blake'owi dwa bilety za pięć dolarów.

— Jakie mam szansę? — zapytał Blake.

— Trzy do jednego.

— Nie najlepiej, może jednak nasz Al coś wie. Powiadasz, że Miguelito jest już gotów? Bardzo dobrze, mam nadzieję, że informuje centralę na bieżąco.

— Oczywiście. Ale jest problem — powiedział Guzmán.

— Jak zwykle problemy — zauważył filozoficznie Blake.

— Broń. Amunicja.

— Jak zwykle te same problemy.

— Z całym szacunkiem, tym razem to coś innego. — Miguelito jest gotów walczyć i zwyciężyć. Tym razem, Blake, możemy zgarnąć wszystko, szczególnie gdy Angel de Goyo gromadzi wojska przy granicy z Gwatemalą.

Blake spojrzał z ożywieniem.

— Więc o tym także wiesz?

— Ja też mam swoje źródła.

— Czego potrzeba Miguelito?

— Karabinów i amunicji dla pięciu tysięcy żołnierzy.

Blake gwizdnął cicho.

— Amigo, mówimy tu o kupie dolarów.

Tłum zaczął wznosić okrzyki, na boisku pozostały już tylko dwie pary zawodników. Na jedną z nich postawił Blake. Teraz odwrócił się i z zainteresowaniem oglądał końcową rundę. Piłka uderzyła w tylną ścianę.

— Nieźle — ocenił Blake.

Przeciwnik odbił z trudnością. Gracz z przodu wykonał klasyczny atak na dwie ściany. Oponent prawie wpadł na siatkę, próbując uratować punkt, ale był bez szans.

— Wspaniale! — krzyknął Blake i podał Coellemu bilety. — Mógłbyś to dla mnie odebrać? Następnie zwrócił się do Guzmána: — Amigo, znasz się na pelocie!

— Znam się też na partyzantach. Miguelito to urodzony zwycięzca.

— I chce kupić broń za twoim pośrednictwem?

Guzmán skinął głową.

— To będzie sporo kosztowało.

— Pieniądze są, nie ma sprawy. Po prostu chciałem ustalić to z tobą wcześniej.

— No to słuchaj — rzekł Blake. — Zaczynaj przygotowania. Zadzwoń do Framijiana, on wszystko załatwi. Będziemy oczekiwali twego zwykłego wsparcia dla funduszków CIA przed ostateczną dostawą.

— Dzięki, Blake!

— Do diabła, wszystko dla sprawy.

Rozdział 15

Yitzhak Framijian, niski, ciemnowłosy, potężnie zbudowany Izraelita liczył sobie czterdzieści siedem lat. Wychował się w gospodarstwie rolnym w pobliżu Eilat i już od dzieciństwa tkwił po uszy w przemyśle broni. Jego ojciec dostarczał ją niedoświadczonym jeszcze siłom Irgun i Hagganah w czasach wyzwolenia. Kiedy zginął podczas ataku terrorystycznego w pobliżu strefy Gazy, Framijian przejął po nim interes.

Przez wiele lat zapotrzebowanie rozwijającego się narodu na broń z importu gwarantowało mu pokaźny dochód. W latach, które nastąpiły po wojnie sześciodniowej, potrzeby te znacznie zmalały. Izrael budował fabryki amunicji i rozwijał przemysł zbrojeniowy. Wkrótce stał się jednym z ważniejszych dostawców na świecie.

Gdy więc na przedmieściach Tel Awiwu i Hajfy pojawiły się nowe fabryki, zagroziły mu zupełną ruiną. Wtedy Framijian wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

Przekonał się, że człowiek mający kontakty w całej Afryce, Europie i na Bliskim Wschodzie, mógł nieźle się urządzać w Ameryce. Osiadł w Miami, odświeżył znajomości i prosperował przy milczącym przyzwoleniu takich agencji jak CIA, która dostarczała przez niego broń tym, którzy prawnie nie powinni jej otrzymać. Jego sukcesy zwróciły uwagę Korporacji Bahama. Co prawda Framijian wolał działać na własną rękę, ale otrzymał ofertę nie do odrzucenia wraz z groźbą, której nie mógł zlekceważyć. Zarabiał u nich nieźle i wciąż potrafił łączyć interesy z przyjemnością; wiedział jednak, że kiedyś przyjdzie pora, by wydorosnąć.

Broni sprzedawanej przez niego używano do represjonowania mieszkańców Haiti, Dominikany, Chile, Argentyny i wielu innych państw. To on dostarczał uzbrojenia podczas nieudanej operacji przeciwko Castro w Zatoce Świń. Jego bronią posługiwali się PLO przeciwko narodowcom izraelskim. Nigdy nie dało się przewidzieć, gdzie dany transport ostatecznie wyląduje. Podobnie jak pieniądze, broń krążyła wszędzie. Zdawał sobie sprawę, że nie ponosił odpowiedzialności za to, jak zostanie użyta. To tak, jakby winić właściciela sklepu obuwniczego w Monachium w latach trzydziestych za to, że ktoś skopał starego Żyda na śmierć butami kupionymi właśnie u niego.

Guzmán skontaktował się z nim w pewien piątek. Framijian nie był przesadnie gorliwym wyznawcą tradycji żydowskich, spożywał właśnie czarnego kraba dostarczonego z Louisiana Wong, najnowszej chińskiej restauracji w Coconut Grove, i oglądał w telewizji „Friday Night at the Movies”.

Tych dwóch robiło już interesy od lat. Po wymianie uprzejmości, Guzmán wspomniał, że za około dwa tygodnie obsługuje bankiet i chciał, żeby Framijian dostarczył owoce.

Przykrywką dla prawdziwych interesów Framijiana była firma zajmująca się importem i eksportem owoców, co ułatwiało rozmowę o uzbrojeniu bez używania nazw.

— Ile będzie gości?

— Około pięciu tysięcy.

Framijian cicho gwizdnął ze zdumienia. Zanosiło się na największe dotychczas zamówienie.

— Aż tylu? — zapytał. — To będzie bardzo drogo kosztowało.

— Wiem o tym. Ja tylko zapewniam obsługę, a mój klient chce towaru o najwyższej jakości.

Oznaczało to sprzęt nowy, nie stare zapasy z Wietnamu.

— Przypuszczam, że chcesz po jednym jabłku dla każdego? — zapytał Framijian. Jabłko oznaczało karabin M-16 lub podobny.

— Tak i trochę ekstra, gdyby ktoś zgłodniał. Powiedzmy sześć tysięcy jabłek.

— OK — odrzekł Framijian. — Z pewnością chcesz też winogrono? Pojedyncze winogrono oznaczało dwieście pocisków odpowiedniej amunicji.

— Pięć winogron do każdego jabłka. Milion dwieście tysięcy pocisków.

— I po dwa owoce granatu dla każdego. Dwanaście tysięcy granatów ręcznych.

— W porządku, panie Guzmán. To duże zamówienie, ale nie ma problemu. To byłoby... — szybko policzył w pamięci — około dwudziestu dolarów na głowę.

Mówiąc o pieniądzu, zwykle pomijali kilka zer, co w tym przypadku dawało około dwóch tysięcy dolarów na uzbrojenie jednego żołnierza, w sumie dwanaście milionów.

— Ta kwota jest do przyjęcia — rzekł Guzmán. — Kiedy możesz zorganizować dostawę?

— Potrzebuję dwóch dni, Guzmán. Zadzwoń pojutrze wieczorem.

Rozdział 16

Podczas gdy Guzmán rozmawiał z Framijianem, jego siostrzeniec o zmierzwionych włosach siedział w swoim pokoju po drugiej stronie różowego pałacu i podsłuchiwał rozmowę wuja przez pluskwę w telefonie. Pluskwę podłączono do magnetofonu Sony o wysokiej jakości, używanego przez Juanita wyłącznie w tym celu. Nagrywał rozmowy Guzmána od kilku miesięcy, choć jak dotąd nie zdobył nic ciekawego. Wuj Alfonso był bardzo ostrożnym człowiekiem. Tym razem jednak działo się coś ważnego, a ta informacja mogła okazać się cenna dla pewnych ludzi.

Nielojalność Juanita miała swoje uzasadnienie. Pod tymi gładkimi policzkami i prostodusznymi oczami kryły się wszystkie problemy człowieka z pozycją, lecz bez pieniędzy.

Ktoś mógłby pomyśleć, że życie siostrzeńca najbogatszego Nikaraguańczyka w South Miami jest łatwe i przyjemne. Ktoś mógłby też sądzić, że to cudowne umawiać się z Thalią Suarez, Miss Nastolatek i Królową Latino z South Dade o jędrnych piersiach i tyłeczku. Nie skończyła jeszcze szkoły średniej, a już miała za sobą epizod w „Miami Vice”, w odcinku, gdzie Sonny wciela się w księcia Inca, by rozpracować operację Mogambo, dzięki której okradano tych biedaków w Hialeah.

Pewnie, że to brzmiało dobrze „siostrzeniec grubej ryby”, jednak sama pozycja nie przynosiła pensji, a skąd miał wziąć pieniądze na wyjście gdzieś z dziewczyną i podtrzymywanie swojego statusu między rówieśnikami z Ósmej ulicy w Little Havana?

Nie chodziło też o to, że Juanito nie pracował. Miał mnóstwo roboty, wszystko dla wuja Alfonsa. Guzmán zwykle przyjmował gości; kumple z Ameryki Środkowej i Południowej przesiadywali u niego całymi dniami. Albo ci jego kolesie, jak Pistol Petes z Gwardii Narodowej, którzy przychodzili dwa, trzy razy w tygodniu na obiad i parę kieliszków. Gościnności nie było końca, lecz nie brało się to znikąd. Ktoś w końcu musiał wydać polecenia w kuchni, zaparkować samochody, żeby zrobić więcej miejsca i zająć się innymi drobiazgami. Na pewno nie robił tego Emilio, doradca, któremu związki zawodowe pozwalały tylko na siedzenie w kącie z groźną miną. Żona Guzmána, dona Caterina, także nie miała zamiaru udawać gospodyni. Nie zajmowała się tak przyziemnymi sprawami, cały czas spędzając w towarzystwie księży i zakonnic. Tito też nie wchodził w grę. Był w końcu gorylem i znanym zabójcą, nie można więc było oczekiwać, że człowiek z największą w Miami, a może nawet na całej Florydzie kolekcją zasuszonych uszu, zadzwoni do firmy Bender i Synowie, żeby zamówić na piątą wieczorem pięć tuzinów *kasha varnishka*. Został więc Juanito, który musiał się tym wszystkim zająć. Okazał się wprost niezbędny.

Niestety, tylko on zdawał sobie z tego sprawą. Wuj Al traktował go jako przydatnego chłopaka i dawał mu co tydzień stówę, przez co uważał się za niezwykle hojnego. Sądził też, że wyświadcza mu wielką przysługę. Taki był los Juanita: zarządzanie drobnymi wydatkami, wypisywanie czeków dla dostawców jedzenia, obsługi garażu, ogrodników, kucharzy. W wieku dwudziestu pięciu lat nie miał żadnych szans na karierę, chyba że w charakterze podnózka wuja Alfonsa.

To dzięki Benderowi udało mu się przejrzeć na oczy. Siedem — dziesięcioczoletni, łysy jak

kula bilardowa właściciel firmy Bender i Synowie, chodził o dwóch laskach i mówił łamaną angielszczyzną. On jednak prowadził cały interes; synowie tylko przekazywali polecenia dalej.

Spotkał się z Juanito, kiedy ten sprawdzał u A & Z Winę Merchants przy Alton Road, czy nadeszło już wino dla wuja Alfonsa. Zaproponował mu drinka i poprosił o krótką rozmowę. Pojechali do baru Ruggiero obok supermarketu Jeffersona i Lincolna, gdzie Bender od razu przystąpił do rzeczy.

— To my zawsze dostarczaliśmy wam żywność — rzekł. — A teraz wciąż kupujecie u Vachensky'ego. To wolny kraj i nie mogę się wtrącać do twoich decyzji, ale chciałbym wiedzieć, czy jest jakiś powód waszego niezadowolenia z naszych usług?

Wiadomo było, że Al Guzmán wprost przepadał za żydowskimi potrawami, takiego konesera dostawca żywności mógł sobie jedynie wymarzyć. Co tydzień kilkaset dolarów wydawano na rumuńskie pastrami, kasha, kurczaki, fricassee, pickle i to wszystko tylko dla domowników, nie wspominając już o hucznych przyjęciach wydawanych co miesiąc.

— Nie sądzę, żeby istniał jakiś szczególny powód panie Bender — odparł Juanito. — Wy jesteście tam, w South Beach, a bracia Vachensky tu w Miami i mniej czasu zajmuje im dostarczenie nam towaru.

— Chodzi o szybkość? Mogę się o to postarać. Znacznie się to poprawiło, odkąd mamy nowe ciężarówki i paru nowych kierowców, którzy jeżdżą jak wariaci. Nasze jedzenie od dwudziestu siedmiu lat jest tej samej, najwyższej jakości. Nie chciałbym źle mówić o konkurencji, ale bracia Vachensky znani są ze sprzedaży towaru, który nie jest prawdziwie koszerny. Ich rabin jest zreformowany i nawet nie wierzy w *kasruth*. Może ty, Juanito, nie znasz się na tym, ale twój wuj, który jest prawdziwym koneserem kuchni żydowskiej, miałby tu coś do powiedzenia.

— Porozmawiam z nim o tym — zapewnił Juanito.

— Czy on w ogóle decyduje o wyborze dostawcy? — zapytał Bender.

— Nie, pozostawia to mnie.

— Posłuchaj więc: jesteś wyjątkowym klientem, a my chcemy wprowadzić nasze żydowskie specjały do środowisk żydowskich. Mam w związku z tym specjalną ofertę. Dziesięć procent zniżki na wszystkie towary, co ty na to?

— Brzmi nieźle — odparł Juanito bez widocznego entuzjazmu.

— Ta zniżka nie będzie uwidoczniła na rachunkach, które przesyłamy. Przychodziłbyś do głównego biura na Arthur Godfrey Road raz w tygodniu lub kiedy byłoby ci wygodnie i odbierał zwroty nadpłaty w gotówce.

— To rzeczywiście wygodne — powiedział Juanito. — Pokwitowania odnosiłbym wujowi.

Bender wzruszył ramionami.

— Po co? Zniżka jest przeznaczona dla ciebie. To tajna umowa między tobą a mną. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek dowiedział się, że dałem komuś zniżkę. Znasz Żydów, usłyszą, że dostał jeden i za chwilę chcą wszyscy. Nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet twój wuj. Bo i po co? To ty zajmujesz się zakupami i płaceniem rachunków. Tak, pieniądze będą dla ciebie, powiedzmy piętnaście procent od każdego zakupu. Obaj zachowamy dyskrecję i wszyscy będą zadowoleni.

— Wszyscy oprócz Vachenskich — zauważył Juanito.

— Vachensky zasłużyli sobie na to. Sprzedają trefne jedzenie gojom, którzy się na tym nie znają. Nie musisz się o nich martwić. Ale to przypomniało mi o czymś. Pozwól, że w dowód moich dobrych intencji przekażę ci zaliczkę, coś w rodzaju premii świadczącej o tym, że stary Bender nie rzuca słów na wiatr.

Włożył dwa szeleszczące banknoty studolarowe w dłoń Juanita, przykrył je własną dłonią i już było po sprawie.

Dzięki Benderowi Juanito przejrzał na oczy. Przekonał się, jak wielu ludzi chciało utrzymać się w interesie wuja Alfonsa. Jeszcze więcej było takich, którzy chcieli się doń dostać. Juanito nigdy nie musiał mówić niczego wprost, w najgorszym wypadku wystarczało powiedzieć:

— Myślałem o przeniesieniu moich zamówień gdzieś indziej. Wkrótce jego dochody znacznie się powiększyły.

Ciągle jednak okazywały się niewystarczające. To zabawne, jak każdy wzrost dochodów pociąga za sobą jeszcze większy wzrost wydatków. Musiał istnieć jakiś sposób, który pozwoliłby wykorzystać wuja Ala, kłopot polegał jedynie na znalezieniu go.

Nic więc dziwnego, że Juanito okazał zainteresowanie, gdy mały człowieczek postawił mu drinka w Cafe des Artes w South Beach i zaproponował duże pieniądze za informacje o wuju Alfonsie. On miał tylko zainstalować podsłuch, który otrzymał w komplecie z instrukcją po hiszpańsku i angielsku. Do tego dołączono też śliczny magnetofon Sony.

Działo się to dwa miesiące wcześniej, a Juanito, rzecz jasna, zgodził się. Dzwonił odtąd do małego człowieczka kilka razy, podając mało istotne informacje o zmianach zachodzących w domu. Człowiek przysyłał gotówkę w banknotach po sto dolarów pod adresem skrytki pocztowej Juanita w Coral Gables. Obiecał też znacznie większe pieniądze, jeśli dostanie coś, co go naprawdę zainteresuje.

Tę rozmowę telefoniczną na pewno chciał usłyszeć.

Tego wieczoru Juanito odwiedził jedno ze swoich ulubionych miejsc, Source in Coconut Grove. Z tyłu znajdowała się budka telefoniczna, skąd zamówił rozmowę na koszt abonenta z New Jersey i rozmawiał przez kilka minut.

Rozdział 17

Człowiek z pistoletem ubrany był w czarny strój komandosa. Twarz okalał mu kaptur ściągnięty wokół wełnianej czapki. W rękę trzymał niewielki automat Skoda, kaliber dwadzieścia dwa, śmiertelny przy małych odległościach, w tym momencie wycelowany prosto w brzuch Blackwella, który stał metr dalej i obserwował go, jak podskakiwał w czarnych tenisówkach.

— No, dalej dupku krzyknął człowiek — no, chodź.

— Nie jestem w nastroju — odparł Frank, odwracając się.

— Walcz ty sukinsynu — wrzasnął mężczyzna i zrobił krok naprzód.

Gdy tylko przeniósł ciężar ciała na lewą, wysuniętą stopę, Blackwell obrócił się błyskawicznie. Lewą dłoń mocno uderzył w nadgarstek napastnika, który próbował obrócić się i użyć pistoletu. Frank podążył za jego ruchem i unieruchomił lewą ręką prawy nadgarstek atakującego.

— W porządku — rzekł napastnik. — Wystarczy.

Blackwell rozluźnił uścisk.

— Dobre posunięcie — pochwalił go mężczyzna. — Bezpośrednie rozbicie wychodzi ci już zupełnie przyzwyczajenie. Grałeś kiedyś w baseball?

— Na ostatnim polu — odpowiedział Frank. — Nie byłem zbyt dobry.

— Jeszcze lepszy byłby koszykarz, ci dopiero potrafią błyskawicznie się obrócić. Ale poszło ci dobrze.

— A gdyby pistolet był naładowany? Gdybyś naprawdę chciał mnie zastrzelić?

— Ach, jasne, że nie miałbym z tym problemu — rzekł instruktor. — Pamiętaj jednak, że z góry znam każde twoje posunięcie, bo sam cię ich nauczyłem. Z innymi przeciwnikami możesz wykorzystać element zaskoczenia, przynajmniej taką mamy nadzieję. W porządku, pora, żebym przekazał cię Skelly'emu na ćwiczenia technik użycia szpiculca do lodu.

Znajdowali się na macie do ćwiczeń karate położonej na platformie w szczerym polu. Niedaleko znajdowały się niskie zabudowania rancza. Zewsząd otaczały ich zamglone szczyty górskie. Samotny myszołów szybował po niebie. Na lewo była trasa do ćwiczeń szybkiej jazdy, gdzie Blackwell opanował Skręt Przemysłownika i Zwrot Szabrownika, a niedawno zaliczył Rozbijanie Zapór. Dalej błyszczało sztuczne jezioro, na którym ćwiczą szybką jazdę hydroplanem i na nartach wodnych. Frank pomaszerował do stojącego za jeziorem Studia Broni Białej.

Z naprzeciwka, od strony centrali, nadszedł dżip i zatrzymał się obok. Za kierownicą siedział

Fritz, jeden z młodszych instruktorów walki parasolem.

— Wsiadaj. Simmons chce cię zobaczyć.

Simmons czekał w centrali, jak zwykle nienagannie ubrany. Miał na sobie bordową marynarkę i czarny, doskonale zawiązany wąski krawat. Obok niego siedział wielki mężczyzna o szorstkiej, bryłowatej, brzydkiej, choć łagodnej twarzy.

— Minska!

— Jak się masz, Frank?

— Co tu robisz?

Minska wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Kiedyś tu pracowałem.

— Mówiłeś, że nie miałeś z Łowcami nic wspólnego.

— Pewnie, że mówiłem. Kłamałem.

— No więc, co tu robisz?

— Po twoim wyjeździe dobrze się zastanowiłem. Sądziłem, że mógłbyś potrzebować porządnego wsparcia. Poza tym, szczerze mówiąc, zaczęło mi się trochę nudzić. Zgłosiłem się więc na ochotnika, żeby zostać twoim Obserwatorem. Oczywiście, jeśli wyrazisz na to zgodę.

— On jest najlepszy — rzekł Simmons.

— Nie musisz mi o tym mówić — odparł Blackwell. — Naprawdę chcę, żebyś był moim Obserwatorem, Minska.

— Świetnie, to już jest ustalone — powiedział Simmons. — Później będziecie mogli sobie pogratulować, a teraz przedstawię plan. Nie mamy wiele czasu. Musicie polecieć do Newark jutro rano o jedenastej.

— Skąd ten pośpiech? — zapytał Frank. — Od sześciu tygodni robię tu pompki i nagle dowiaduję się, że mam wyjeżdżać?

— Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o „oknie sposobności”? Właśnie zostało otwarte, choć zapewne nie na długo.

— A więc już czas — westchnął Blackwell.

Simmons skinął twierdząco głową.

— Wciąż zdecydowany?

— Czuję się nieco dziwnie — rzekł Frank — ale jeśli tylko znajdę się w jego pobliżu i po wszystkim będę miał szansę ucieczki, jestem zdecydowany.

— Chodźmy do pokoju odpraw. Pokażę ci mapy i wyjaśnię plan.

Część trzecia

Miami

Rozdział 18

Frank Blackwell wylądował na lotnisku międzynarodowym w Miami późnym popołudniem. Miał na sobie jasne spodnie, sportowe buty, koszulkę w paski i zawieszane na gumce okulary przeciwsłoneczne. Mógłby uchodzić za turystę, konika, poborcę podatkowego, terrorystę czy nawet handlować wolframem. Wtopił się w półmrok lotniska, w sztuczne oświetlenie, klimatyzowane powietrze i muzykę z syntezatora. Zjechał ruchomymi schodami na dolny poziom i odebrał bagaż. Podszedł do stoiska Hertza po samochód, który wcześniej zarezerwował w Newark International, biały kabriolet Chevrolet Cavalier z automatyczną skrzynią biegów. Schował walizki do bagażnika i z zacienionego, betonowego lotniska wyjechał na otwartą przestrzeń, w słońce południowej Florydy.

Miami było wilgotne i parne, niebo miało kolor niebieskiej emalii, puszyste chmury oblepiały dookoła cały horyzont. Frank pojechał szosą na wschód, do Biscayne, a następnie skręcił na południe. Na Trzydziestej Siódmej zjechał na parking hotelu „Turfrider”, nowego, pięciopiętrowego budynku ze szkła i aluminium w kształcie piramidy.

Do „Turfrider” prowadził podjazd, wzdłuż którego stali chłopcy hotelowi w błyszczących uniformach z cekinami i wysokimi kołnierzami w stylu Michaela Jacksona. Zachowywali się z uniżoną służalczością, kłaniali się i nagabywali każdego wysiadającego z samochodu, najczęściej z najnowszego modelu dowolnej marki. Uśmiechy i mamrotane powitania towarzyszyły gościom aż do głównego holu urządzonego we współczesnym meksykańskim stylu, przypominającym wnętrze katedry. Na samym środku, lekko przekrzywiona na piedestale, znajdowała się naturalnych rozmiarów replika azteckiego kalendarza zrobiona z kamienia i brązu. Jedną ze ścian zajmowało malowidło Davilosa, przedstawiające chłopów podczas tańca kapelusza. Tu i tam, jak gwiazdy rozrzucone po dywanie, stali elegancyści, uśmiechnięci goście palący cygara. Wszyscy poruszali się powoli, dostojnie, jak aktorzy w „Money with Taco Sauce”, musicalu wystawianym kiedyś na Broadwayu. Sceniczne oświetlenie nadawało temu miejscu wygląd „Zmierzchu bogów” nad południową granicą.

Pokój Blackwella miał duże szklane drzwi i balkon z widokiem na Zatokę Biscayne. Frank zaczął rozpakowywać się powoli, metodycznie. Wziął prysznic i przebrał się w świeże, jasnobrązowe spodnie, lekką koszulkę i białą, bawełnianą marynarkę. Zadzwoił do recepcji, ale nie było dla niego żadnych wiadomości. Samolot, którym leciał Minska (ze względów bezpieczeństwa podróżowali osobno), był prawdopodobnie opóźniony.

Poczuł rosnący głód i miał ochotę rozprostować nogi. Po wyjściu z hotelu z tyłu, po lewej stronie, zauważył kogoś, kto wyszedł zza palmy przy końcu podjazdu dokładnie w tym samym momencie, gdy on wchodził na chodnik.

Poszedł na pomoc w kierunku Ósmej ulicy. Sylwetki palm rysowały się na żółtym tle nierealnie wielkiego księżyca, zawieszzonego na aksamitnobłękitnym niebie. W Miami nawet niebo było chwytem reklamowym.

Skręcił w Ósmą ulicę, główną arterię latynoskiej części Miami. Nie potrafił stwierdzić na pewno, czy jest śledzony, mógł to jedynie podejrzewać. Wiedział, że będzie musiał się przyzwyczaić do tej niepewności, która wiązała się z nie znanym terytorium. Niepewność. Zbyt dużo ludzi, hałasu, kolorów i zamieszania na chodnikach.

Krok w krok za nim szedł jakiś mężczyzna. Mały, chudy człowiek o ciemnym kolorze skóry i kręconych włosach, ze srebrnym kolczykiem w lewym nozdrzu. Miał na sobie kowbojską koszulkę, kowbojskie buty i szeroki, skórzany pas nabijany srebrnymi *conchos* na całej długości. Szyję owinał czerwoną chustką przytrzymywaną srebrnym pierścieniem z turkusem. Trudno było nie zauważyć go w tłumie.

Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo do Blackwella i zapytał:

— Hej, szukasz rozrywki?

— Spadaj — odparł Frank.

— Człowieku, daj spokój. Jestem Eddy Lopez, ale mów mi Szybki Eddy, jak na filmie.

Blackwell wszedł do restauracji. Długie, wąskie wnętrze „La Floridita” oświetlał pojedynczy neon. Po jednej stronie znajdował się bar, a po drugiej rząd kabin. Typowa restauracja, w której zawsze można dostać pikantne mięso i czarną fasolę. Obok grilla piętrzył się stos *medianoches*, zapiekanych kanapek z szynką i serem, ulubionego przysmaku Kubańczyków. Usiadł w kabinie z tyłu, gdy podszedł Lopez i zajął miejsce naprzeciwko.

— Stary, lubisz kubańską kawę? — zapytał. — Najlepsza na świecie.

Zamówił dwie kawy.

— Jak ci się podoba Miami? Daj mi zaraz znać, gdybyś czegokolwiek potrzebował, dobra? Nie chcę wyrazić się zbyt dosłownie, ale jeśli potrzebujesz dziewczyny albo chłopca...

— Daj spokój — rzekł Blackwell.

Lopez nie wyglądał na speszonego.

— Biznesmeni to lubią i wolą, żeby ich najpierw zapytać.

— Spodziewam się, że zaraz zaoferujesz mi działkę.

— Jasne, stary. Najlepszy towar na świecie.

— Świetnie. Masz coś jeszcze?

— Co byś powiedział na mieszkanie własnościowe z prawem współużytkowania przy Marathon Shores? Całkowity wykup gwarantowany po trzech latach.

— No, Szybki Eddy, to już bardziej do ciebie podobne.

— To było wredne — odrzekł Lopez. — Pogadamy później.

Wstał pośpiesznie i wyszedł.

Eddy skręcił na zachód i zatrzymał się przy jednym z ostatnich modeli pontiaka, czekającego z włączonym silnikiem. Usiadł z tyłu i samochód ruszył. Blackwell obserwował go z oświetlonego neonami okna restauracji. To wszystko mogło znaczyć bardzo dużo albo nic. Tak to już jest z niepewnością — nigdy nic nie wiesz na pewno.

Po powrocie, w hotelu czekała na niego wiadomość. Bez podpisu, tylko adres.

Rozdział 19

Hotel „Nemo” znajdował się w południowej części Miami Beach. Zgniłozielony, otynkowany budynek z długą, drewnianą werandą, na której porozstawiano ławy zajmowane przez starców. Po trawie biegało kilka kurczaków należących prawdopodobnie do przylegającej do hotelu Nueva Buenavista. Z nieba lał się żar.

Właściciela nie było w pobliżu, ale jedna ze starszych pań siedzących na ganku, o zniszczonej twarzy częściowo osłoniętej słomkowym kapeluszem z napisem „Pamiątka z wysp Bahama”, ubrana w długą, przybrudzoną suknię, zapytała Franka, czy mogłaby w czymś pomóc.

— Pan Minska? Tak, przyjechał wczoraj. — Nie miała nic lepszego do roboty, jak obserwować ludzi i zapamiętywać ich wygląd na wypadek, gdyby policja potrzebowała informacji. — Duży, ciężki facet, niewiele włosów i duży nos, zgadza się? Jasna karnacja i piegi. Powinien uważać na słońce. Miał na sobie hawajską koszulę, czerwono — zieloną z czarną palmą na tle żółtego księżyca. Dostał pokój na drugim piętrze, numer dwadzieścia trzy. Taki miły, cichy człowiek. Jest pan może jego bratem?

— Tylko przyjacielem — odparł Blackwell.

— To by pasowało — powiedziała kobieta. — Nie jest pan zbyt podobny.

Blackwell wszedł po trzeszczących schodach na górę. Ze wszystkich ścian oświetlonego piętnastowatowymi żarówkami korytarza odchodziła farba — jak gdyby cały czas wystawione były na działanie słońca. Pastelowe barwy wprowadzały w tym miejscu beznadziejny nastrój, a dookoła unosił się zapach zupy grzybowej Campbella.

Zapukał do pokoju dwadzieścia trzy i Minska wpuścił go do środka. W niewielkim pokoju ledwo mieściło się łóżko i dwa biurka, jedno zajęte przez kuchenkę elektryczną. W rogu stała miniaturowa lodówka, po to chyba, żeby móc upić się do nieprzytomności schłodzonym winem. Śmierdziało kawą, burbonem i wodorostami.

— Miło cię widzieć — przywitał go Minska.

Co robisz w takim miejscu? — zapytał Blackwell.

— To hotel mojego wuja i nie muszę za nic płacić.

— To i tak za dużo, jak za pobyt tutaj.

— Może masz rację. Ale teraz chodźmy do baru Heliogabalusa na śniadanie.

— Mamy już popołudnie.

— Nie martw się, oni podają śniadanie przez cały dzień.

Pomarańczowe światło, kryjące się we wnękach sufitu, nadawało ciepły odblask ciemnej skórze tubylców liczących sobie przeciętnie sto dziesięć lat. Obłożone grubo kanapki podawała zmęczona już od urodzenia kelnerka.

Właściciel o imieniu Max albo Harry, rozparty wygodnie w wielkim fotelu obok kasy, w myślach porównywał dźwięk napływających do kasy pieniędzy z brzękiem tłuczonych naczyń dochodzącym z kuchni. Trochę to potrwało, zanim obsługa opanowała obsługę zmywarki. Za barem znajdowały się rzędy pokryw z nierdzewnej stali, pod którymi trzymano nadziewaną kapustę, żeberka wołowe, indyka w sosie własnym i flaczki. Najwięcej przygotowano flaczków, bo jest to najlepszy sposób na pozbycie się nieudanych potraw mięsnych.

Blackwell zamówił tost i ser śmietankowy, zaś Minska poprosił o trzy plasterki bekonu, smażone mięso, tosty i kawę.

— Posłuchaj Minska, skończmy z tymi wygłupami. Gdzie się, do cholery, podziewałeś?

— Skąd ten pośpiech, mały? Nie tak często bywamy w Miami, nie ma się co spieszyć.

— Myślałem, że mamy działać szybko. „Okno sposobności”.

— Mamy jednak kilka godzin na śniadanie i parę godzin na plażowanie.

— Co ze sprzętem?

— Mam w pokoju, na górze.

— Nie powinniśmy wszystkiego wypróbować?

— Nie ma czasu. Zaczynamy dziś wieczorem, to chyba wystarczająco szybko?

— Tak, to wystarczy — powiedział Frank i poczuł ucisk w żołądku.

Rozdział 20

Po pomocy pojechali taksówką na skrzyżowanie Sześćdziesiątej Siódmej z Indian Creek Road. Weszli do jednego z najbardziej charakterystycznych miejsc w Miami, „Norman’s Tavern”, cichego, skąpo oświetlonego baru ze stołami do gry w szachy na tyłach. Długi, zaciemniony bar i ryciny Daumiera na ścianach nie były niczym szczególnym. Miejsce to, od wielu jemu podobnych, odróżniała muzyka. Większość restauracji w Miami serwowała papkę dla pół-kretynów, używaną niewątpliwie do pacyfikacji tłumów przez ciągłe powtórzenia w stylu „Love ya, baby, yah, yah” i podobne teksty, które mogły być interesujące z punktu widzenia semiotyki, lecz nie miały żadnej wartości intelektualnej. Ciekawsze miejsca, z aspiracjami, jak „Coconut Grove”, desperacko lansowały sztuczną elegancję, grając jazz klasyczny lub dixieland. W modnych barach, odwiedzanych przez młodych ludzi, grano heavy metal i Poughkeepsie Violet. Jednak tylko u Normana można było posłuchać muzyki na cytrze i postępowego tureckiego jazzu w wykonaniu „Istanbul Five”.

Do „Norman’s Tavern” schodziło się najbardziej podejrzane towarzystwo na południowej Florydzie, wieśniacy z Key Largo i elegancy przemytnicy z Baker’s Haulover. Tawerna była miejscem właśnie dla nich. Nieważne, co robiłeś lub miałeś zamiar zrobić: nie należało robić tego u Normana. W razie bójki główny barman, Duża Kaśka, zwykle radził sobie z tym sam, a Norman siedział zgarbiony w kącie. Wyglądał jak artysta w czarnym golfie i rozciągniętych lewisach. Słyszał i wiedział o wszystkim, ale zachowywał to dla siebie.

Grzecznie przywitał Minskę, skinął głową Blackwellowi, wyraził wdzięczność, że przyszli do jego baru i postawił dwa piwa.

— Gość teraz już nas zna — rzekł Blackwell.

— Norman wie o wszystkim, co dzieje się w tym mieście — odpowiedział Minska — ale nie puszcza pary z gęby. Gdzie masz torbę?

Każdy z nich miał ze sobą długą, nylonową torbę zapinaną na suwak.

— Jest tu, pod nogami.

— W porządku, teraz słuchaj, co zrobimy...

Blackwell czuł się spokojnie w towarzystwie Miński. Później jednak, gdy cicho zanurzyli się w ciemne, tłuste wody Intracoastal Waterway, zaledwie trzy bloki od tawerny, pewność siebie gdzieś uleciała. Włożyli maski i przyrządy do oddychania, po czym zaczęli pokonywać ponadkilometrową odległość dzielącą ich od rury dopływowej tuż pod ogrodzeniem Framijiana, po drugiej stronie Indian Creek.

Rozdział 21

Frank płynął krótkimi, oszczędnymi ruchami rąk, ciągnąc za sobą wodoszczelną torbę, w którą zapakował broń, ubranie, papierosy, drobne i scyzoryk. Słonawa woda miała smak fusów z kawy. Przytłumiony ruch uliczny z pobliskiej Siedemdziesiątej Dziewiątej brzmiał jak odgłos gigantycznego, wibrującego owada.

Blackwell był dobrym pływakiem; trzymał się z tyłu, po prawej stronie Miński, który także pokonywał opór wody oszczędnymi ruchami rąk, z głową tuż pod powierzchnią. Czuć było skórę pomarańczy, aromat miasta i odór zdechłej mewy. Słodki zapach hiacyntów wodnych i opary benzyny tworzyły mieszankę tak wszechobecną, jakby wyśnioną przez samą naturę.

W tym miejscu pas wody nie przekraczał ośmiuset metrów szerokości. Frank próbował znaleźć jakiś punkt orientacyjny, co nie było łatwe z głową do połowy zanurzoną w wodzie. Mignęło mu tylko kilka świateł z domów na wybrzeżu. Dwadzieścia metrów dalej przepływał biały kuter śledzący mewy, stamtąd też dobiegała muzyka rockowa. Zanurzył się, aż łódź przepłynęła.

Woda była ciepła, a temperatura powietrza sięgała dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Frank poczuł upojenie zaangażowaniem się w niebezpieczne przedsięwzięcie bez dłuższego namysłu.

Wynurzyli się, gdy minęła ich motorówka z hałaśliwymi nastolatkami. Popłynęli dalej i wkrótce byli już po drugiej stronie, równoległe do tworzących przegrodę sztucznych wysp po stronie Miami. Blackwell z podziwem myślał o niezwykłym wyczuciu kierunku, jakie miał Minska: znajdowali się w płataninie kanałów tworzących Normandy Isles. Z wody wszystko wyglądało tak samo — mnóstwo kanałów, domy odcięte przegrodami i gęstymi zaroślami.

Raptem Minska zatrzymał się i dał znak Frankowi, żeby podpłynął bliżej.

— Co się dzieje? — zapytał Blackwell.

— Wszystko wygląda jednakowo — odparł Minska.

— To znaczy, że się zgubiliśmy?

— Nie, nie zgubiliśmy się. Jestem tylko trochę zdezorientowany. Naprawdę powinny być tu znaki, które można by rozpoznać z wody.

— Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, gdzie jesteśmy?

— Oczywiście, że wiem, ale niezbyt dokładnie.

— To co robimy?

— Musimy wyjść na brzeg i się rozejrzeć.

Normandy Isles, małe wysepki połączone drogami i mostami, były ciche i spokojne. Ulice świeciły pustkami, tu i ówdzie zza otaczających drzew połyskiwało światło. Wyglądało tu jak w niewielkiej delcie rzecznej, z odchodzącymi kolistymi kanałami, jak szprychy od piasty koła. W ciemnościach rozproszonych jedynie niepewnym światłem księżyca, wciąż zasłanianego chmurami, nie dało się odróżnić jednego kanału od drugiego.

Minska znalazł przejście między dwiema posiadłościami, gdzie nabrzeże pochylało się pod takim kątem, żeby dało się na nie wspiąć. Na parkingu stało kilka samochodów. Migające światło za ogromnymi oknami świadczyło o tym, że tutejsi ludzie oglądali jeszcze telewizję.

Wrzucili pletwy i maski do toreb i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu drogowskazu lub innego znaku. Ulica wiła się, skręcała i zwijała, latarnie spotykało się tu rzadko, nie wspominając już o drogowskazach.

Nagle zobaczyli idącego w ich kierunku mężczyznę niskiego wzrostu w szortach i błyszczącej w ciemnościach białej koszuli z krótkimi rękawami. Prowadził na smyczy psa. Poruszał się nieporadnie, jak mały kundelek. Na ich widok zawahał się. Ze sprzętem i w kombinezonach musieli wyglądać jak zwiadowcy przed inwazją Ludzi Ryb. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że mały człowiek nagle zapragnął znaleźć się zupełnie gdzie indziej, na przykład w barze w Nacogdoches, w stanie Texas. Na to było jednak za późno, bo dwóch dziwaków odzianych w czarną gumę podeszło już do niego, a jeden z nich zapytał:

— Przepraszam pana, jak nazywa się ta ulica?

Mężczyzna przeżył już niejedno, ale nie rozmowę z ludźmi w czarnych, ociekających wodą kombinezonach, którzy pytali o nazwę jego ulicy. Potem pewnie mieli zamiar go zabić, ale sam sobie był winien: nie powinien wychodzić z domu bez starej, dobrej czterdziestki piątki.

— Sea Grape — odpowiedział, oczekując najgorszego. Pies, wietrząc niebezpieczeństwo, kucał i skamlał.

— Aha — zastanowił się pytający. — Sea Grape, no jasne! W takim razie Flamingo Drive musi być dwie ulice na lewo.

— Zgadza się, to jeden blok za Dolphin Shores.

— Powinienem o tym wiedzieć. Dziękuję.

Dwójka mężczyzn w kombinezonach odeszła tam, skąd przyszła, do ślepego zaułka. Człowiek w szortach odwrócił się i poszedł do domu, ciągnięty przez psa. Nic dziwnego, gdy ociekający wodą szaleńcy w czarnych kombinezonach chodzą po ulicy i pytają o drogę, pora ukryć się, pozamykać drzwi, załadować czterdziestkę piątkę i pozwolić psu narobić na dywan.

Znaleźli się z powrotem w wodzie. Tym razem Minska bezbłędnie przeprowadził ich przez zakręt do kanału.

— To tutaj — powiedział.

Frank, zanurzony po kolana, zobaczył dochodzącą do samej wody posiadłość, chronioną przez wysokie na trzy metry ogrodzenie zakończone drutem kolczastym i najeżone czujnikami. Pośrodku umieszczono tabliczkę z napisem: „Ta posiadłość jest chroniona przez Midas Thunderbolt Protection Corporation. Uwaga! Wysokie napięcie”. Za płotem, oświetlony przez złowrogi księżyc, krył się wielki dom otoczony gęstymi krzewami jak apokaliptyczna, otynkowana bestia pasąca się na wysypisku.

— W porządku — rzekł Minska. — Teraz do rury. Nałożył maskę i zanurkował pod powierzchnię. Po chwili wynurzył się. — Musisz potrzymać mi latarkę.

Zanurzyli się razem. W silnym, białym strumieniu światła, około półtora metra pod powierzchnią widać było wielką, okrągłą kratę. Kiedy Frank trzymał latarkę, Minska otworzył torbę przywiązaną do talii i wydobył śrubokręt. Przez moment mocował się z kratą, lecz po chwili wypłynął na powierzchnię, dając znak Frankowi, żeby zrobił to samo.

— Co się stało? — zapytał Blackwell.

— Potrzebny mi philips.

— Myślałem, że wzięłeś wszystko, co trzeba.

— Skąd miałem wiedzieć, że przymocowali to śrubami Philipsa?

— Mam chyba taki w moim scyzoryku — rzekł Blackwell — ale jest w małym zestawie z narzędziami, w torbie wodoszczelnej.

— No więc daj mi ją.

Z pomocą towarzysza Frank otworzył torbę, do której natychmiast wlała się ciepła, lekko zalatująca śmieciami woda. Zgodnie z reklamą, torba po zamknięciu istotnie nie wypuściła z siebie ani kropli. Wydobył nóż i dał go Minsce, który otworzył kratę w ciągu kilku minut.

Teraz wystarczyło już tylko przecisnąć się przez metrowej średnicy rurę do suchego betonowego zbiornika, usytuowanego zaledwie metr od posiadłości Framijiana. Uzbrojeni weszli do domu pogrążonego w ciszy i ciemności, niczym latynoski sfinks.

Rozdział 22

Odkąd opuściła go Rosalie, jego amerykańska żona, zabierając ze sobą dwuletnią córeczkę Hannah, Framijian mieszkał sam na Venetian Isle, gdzie miał prawie pół hektara ziemi. Dom chronił płot z drutu kolczastego, wyposażony w najnowocześniejsze czujniki. Samo ogrodzenie kryło się za wysokim, zielonym żywopłotem. Obok domu, za wijącym się podjazdem, znajdował się basen. Wokół porozstawiano rzeźby.

Framijian był człowiekiem ostrożnym, lecz nigdy nie przejmował się zbytnio ochroną domu. Nie miał z nikim żadnych kłopotów. Nikt bowiem nie zawracał głowy handlarzowi bronią, chyba że był na niego bardzo zły, a Framijian starał się ze wszystkimi żyć w zgodzie.

Salon rozjaśniały wiszące ruchome ozdoby i kubistyczne obrazy. Jedną ze ścian zajmowały książki, wszystkie najlepsze tytuły w jednakowej oprawie. Na honorowym miejscu Harvard Classic i seria Sto Najwspanialszych Książek. Poranne słońce połyskiwało w ustawionych na kredensie karafkach z rżniętego szkła, wypełnionych rzadkimi gatunkami słodowej whisky. Piwnicę z winami umieszczono tuż za kuchnią. Przechowywał tam kolekcję win, która mogła zaopatrzyć małą restaurację.

Sam Framijian, niski, szczupły mężczyzna o okrągłej czasce i krótkich, kręconych, czarnych włosach, lekko przyprószonych siwizną, wszedł właśnie do salonu, pogwizdując pod nosem. Wstał dziś jak zwykle o wpół do jedenastej. Miał na sobie jedwabny, niebieski szlafrok i czarne, skórzane sandały. Na szyi nosił antyczną, rzymską złotą monetę na delikatnym, złotym łańcuchu. W tym sezonie nosili je wszyscy dealerzy, a Framijian zawsze podążał za modą.

Tego ranka salon wydał mu się jakiś dziwny, ale nie wiedział, o co chodzi. Niby wszystko wyglądało tak jak zawsze, a jednak jakoś inaczej. Porównał obecny widok pokoju z obrazem przechowywanym w pamięci. Układ przedmiotów w odniesieniu do ścian, podłogi, sufitu, a nawet to, jak słońce prześlizgujące się przez żaluzje oświetlało je w zależności od pory dnia.

Tak, to było to. Zmieniło się oświetlenie.

Wtedy zauważył nieznacznie podniesioną jedną z żaluzji, co wystarczyło, żeby wpuściła do środka nieobecny tu zwykle promyk słońca.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Zakładał, że ktoś czekał w pokoju i kimkolwiek był, nie mógł mieć dobrych zamiarów.

Przejście z nastroju zupełnego odprężenia do paniki nastąpiło szokująco szybko. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Od chwili, kiedy zauważył uniesioną żaluzję, nie minęła nawet sekunda, a już wiedział, że trzeba coś zrobić, żeby nie zdradzić się ze swoimi podejrzeniami. Zmusił się do wykonania kolejnego kroku w pokoju, który ze schronienia stał się nagle pułapką. Błyskawicznie zaplanował następne posunięcia. Obrócił się, jakby czegoś zapomniał, uderzył się ręką w czoło i uśmiechnął, jak gdyby odgrywał scenę... no tak, zapomniałem o... Skierował się do drzwi po magnum kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem, który trzymał w magazynku obok orzechowego stołu w

przedpokoju.

Nagle ujrzał stojącego naprzeciw wysokiego, uzbrojonego mężczyznę w czarnym kombinezonie. Skąd, do cholery, się tam wziął? Był z nim jeszcze jeden, także w kombinezonie. Poruszali się bezszelestnie po miękkim dywanie. Framijian skulił się, gdy jeden z nich wycelował w niego pistolet.

Otworzył usta, lecz nie potrafił wydusić ani słowa. Upadł na kolana. Człowiek przystawił mu lufę do skroni. Widać było palec zaciskający się na spuście, powoli podnoszący się kurek błękitnego, stalowego automatu. Łzy napłynęły mu do oczu, poczuł jak miękną mu kolana, skulił się i wlepił wzrok w pistolet.

— Na miłość boską, zaczekaj przynajmniej, aż odmówię *sh'ma*.

Mężczyzna nacisnął spust.

Komora okazała się pusta.

Framijianowi wydawało się, że podłoga zawirowała i przewróciła się.

Poczuł, że ktoś nim potrząsa.

— Nie mdlej — rzekł starszy, roślejszy mężczyzna. — Bądź przytomny, jeśli chcesz żyć.

— W porządku — powiedział Framijian, walcząc z pokusą ucieczki w błogą nieświadomości.

Głos napastnika zabrzmiał niezwykle poważnie:

— To tylko próba. — Włożył magazynek do automatu. — Następnym razem będzie krucho, kapujesz?

— Tak — odparł Framijian. Serce waliło mu, jakby zaraz miało wyrwać się z klatki piersiowej.

— Możesz wyjść z tego cało — mówił ten większy. — Musisz jednak zachować ostrożność, robić dokładnie to, co mówię, i nie próbować nas wykiwać. Rozumiesz?

Framijian zadrzał, otarł pot z twarzy i z widocznym wysiłkiem wziął się w garść. Trząsał się jeszcze, ale zmysł przetrwania już w nim zwyciężał. Odezwał się dopiero wtedy, gdy był pewny, że głos mu się nie załamie.

— Pozwólcie mi wstać. — Chwiejąc się, usiadł w jednym z dużych foteli.

— Ma ktoś papierosa? Na moim biurku jest chyba paczka. Starszy napastnik podał mu papierosy i zapalniczkę. Framijian zapalił. Teraz dopiero przypomniał sobie słowa *sh'ma*, lecz wszystko wskazywało na to, że nie będą już potrzebne.

— Dobra — powiedział — jestem realistą. Macie mnie, w porządku? Powiedzcie, czego chcecie,

a ja to zrobię. — Nie otrzymał odpowiedzi, więc mówił dalej: — Gdybyście chcieli mnie zabić, byłbym już martwy. Chcecie czegoś innego. Cokolwiek to ma być, dostaniecie. Sądzę, że jeśli rozegram to bardzo spokojnie, wyjdę z tej opresji cało. To znaczy, jeśli będę współpracował, mam szansę na przeżycie. Zawsze pozostaje ryzyko, ale do cholery z tym, nie mam innego wyjścia. Pasuje na razie?

— W porządku — odpowiedział rosły mężczyzna.

— To nie jest nic tak prostego jak napad, prawda?

— Słusznie — odparł młodszy.

— Ale jest coś, co mam zrobić?

— Znowu słusznie.

— No więc, co mogę dla was zrobić? — zapytał Framijian.

— Mój przyjaciel musi spotkać się z Alfonsem Guzmánem — poinformował starszy napastnik.

Framijian potrzebował chwili, żeby przyjąć to do wiadomości. Zorientował się, że ci dwaj wiedzą o sprzedaży broni. Istniał tylko jeden powód, dla którego mieliby spotkać się z Guzmánem.

— Mogę to zaaranżować — zgodził się, kiedy poczuł się trochę lepiej. Dzięki Bogu, zawsze był jakiś sposób. — Może przejdziemy do kuchni, napijemy się kawy i porozmawiamy?

Pół godziny później, z kubkiem parującej espresso, Framijian mówił:

— Dobrze, chcecie zdjąć Guzmána. Zrobimy tak. Pójdziecie tam jako moi wysłannicy. Uzgodnicie z nim czas i miejsce przekazania broni. Co wy na to?

— Nieźle — powiedział ten starszy. — Zupełnie nieźle.

— Przeanalizujmy więc wszystko od początku. Pozwólcie, że zaparzę jeszcze kawy. Mamy trochę do obgadania.

Framijian przystosowywał się niezwykle łatwo.

Rozdział 23

Guzmán zadzwonił punktualnie o dziewiątej tego samego wieczoru.

— Jak leci? — zapytał.

— Dobrze, dobrze — odparł Framijian. — Nie może być lepiej.

Lufa pistoletu wycelowana była dokładnie w jego lewe oko. Promyk światła oświetlił jej wnętrze, pocisk tkwił z tyłu. Framijian widział tylko część wnętrza lufy; czarnoniebieską, śliską drogę prosto do piekła. Drugi napastnik, młodszy i szczuplejszy, siedział na kanapie i czytał pierwszy tom „Dyskursów Epiktetusa”, wydany przez Loeb.

— Musimy się spotkać — rzekł Guzmán. — Ustalić szczegóły.

— Tak — odparł Framijian — to właśnie chciałem powiedzieć. Przyślę kogoś do ciebie.

— Co? — Guzmán nie lubił zmian, robił się wtedy podejrzliwy. — Czemu nie przyjdiesz sam?

W krótkim czasie, jaki upłynął od chwili, gdy Guzmán zadzwonił, Framijian próbował wymyślić jakiś powód. To nie było w porządku, że nie dali mu wystarczająco dużo czasu na przygotowanie wymówki, która miała uratować jego własną skórę.

Coś jednak wymyślił i to musiało wystarczyć.

— Jestem unieruchomiony na kilka dni. Słyszałeś o podagrze?

— Co to takiego?

— To choroba atakująca duży palec u nogi. — Gdyby miał więcej czasu, poszukałby jakiegoś hiszpańskiego terminu. Choć z drugiej strony mało prawdopodobne, żeby dowódca wzorowego więzienia w Managua znał to słowo. W tej pracy pewnie nigdy się na nie nie natknął.

— Tak, słyszałem o tym. — Guzmán istotnie należał do ludzi o nieograniczonych możliwościach.

— Zjawia się i znika. Dziedziczna. Teraz właśnie mnie złożyło. Wystarczy, że poleżę trochę ze stopą na poduszce, aż lekarstwa zaczną działać. Kwestia trzech dni, może tygodnia.

— Przykro mi to słyszeć — stwierdził Guzmán.

— Jestem do twojej dyspozycji przy telefonie w każdej chwili. Przyślę męża mojej siostry, Franka. Zaufany człowiek. Spodoba ci się.

— Skąd jest ten Frank? — zapytał Guzmán. — Nigdy o nim nie wspominałeś.

— Jasne, że nie, to Amerykanin, mąż mojej siostry Leah. Do tej pory doglądali interesów rodzinnych w Hajfie.

— Mówi po angielsku?

— Pewnie, przecież to Amerykanin.

— Ręczysz za niego?

— Własnym życiem. Sprowadziłem go, bo potrzebuję jego pomocy.

— W porządku, niech przyjdzie jutro na lunch.

Guzmán odwiesił słuchawkę. Framijian zrobił to samo, starając się nie zabrzączeć kajdankami, którymi przykuto go do rury z ciepłą wodą. Spojrzał na Minskę, który właśnie odłożył słuchawkę drugiego aparatu i powiedział:

— Dobrze się spisales. Tylko tak dalej, a wyjdiesz z tego cało.

— Mówiłem wam, że potrafię współpracować — odrzekł Framijian. — Może zdjęlibyście mi kajdanki?

— Zostawimy je, by oszczędzić ci pokusy.

— Może w takim razie coś byśmy zjedli? Przecież karmi się zakładników. I jak mam korzystać z toalety, no wiesz, to drugie...

— Omówimy te sprawy za chwilę — powiedział Minska. — Teraz muszę porozmawiać przez chwilę z partnerem. Nie masz nic przeciwko temu, że skorzystamy z jadalni?

— Czujcie się jak u siebie — odparł Framijian, machnąwszy niewyraźnie skutymi rękami.

— W porządku odezwał się Minska do Blackwella. — Umówiłeś się jutro na lunch ze swoją Ofiarą. Wiesz jak się tam dostać?

— Wynająłem samochód.

— Dobrze, teraz uważaj Frank. Wiem, że będzie to krótka znajomość, ale nieźle byłoby zdjąć Ofiarę zaraz po lunchu, żeby mieć to z głowy. Na przykład po kawie. No i po tym, jak dostaniesz czek za broń. Włóżysz go do koperty i wyślesz przy pierwszej, nadarzającej się okazji. Kopertę zaadresowano na numer skrytki w Morristown, New Jersey. Blackwell schował ją do kieszeni.

— Miałem cię zapytać — rzekł Frank — jak właściwie mam się do tego zabrać. Chodzi mi o to, że wyglądałoby nieco podejrzanie, gdybym wyciągnął broń i zastrzelił go na środku jego posesji.

Minska wyglądał na urażonego.

— Jestem twoim Obserwatorem! Nigdy nie pozwoliłbym ci użyć broni w takiej sytuacji. Najlepiej, żebyś w ogóle jej nie nosił. Przyda nam się tu jedna z nowych technik. Mówili ci o sztuczce z Mapą Zabójcy?

— Nie zdążyłem ukończyć kursu Technik Nowoczesnych — odrzekł Blackwell.

— Nieważne, to całkiem proste. Przypadkiem mam przy sobie prototypowy egzemplarz.

Poszperał chwilę w wodoszczelnej torbie i wyciągnął płaską kopertę owiniętą w nawoskowany papier. Włożył rękawiczki, otworzył kopertę i rozłożył mapę.

— Nie dotykaj jej. Z pozoru wygląda jak zwyczajna mapa Exxona Dade County, prawda? Nieprawda. Jedna z jej krawędzi jest ostra jak brzytwa. Podajesz ją Ofierze, zakładając oczywiście, że jeszcze niczego nie podejrzewa i pytasz, jak trafić tu czy tam. Powiedzmy, że chcesz trafić do Seaquarium. W chwili, kiedy bierze od ciebie mapę, leciutko ją pociągasz, krawędź prześlizguje się przez palce Ofiary i przecina je. Niewielkie skaleczenie, ludzie ciągle je miewają, mały powód do zmartwienia.

— O to jednak należy się martwić, tak?

— Jeszcze jak! Krawędź nasycona jest Cossacks Three, nową sowiecką trucizną uzyskiwaną z odchodów wszy. Pozoruje ona początek grypy z napadami melancholii. Zaczyna się po kilku godzinach, powinienes więc mieć mnóstwo czasu na wycofanie się bez większych trudności. No, o co chodzi?

— Właśnie sobie pomyślałem — rzekł Blackwell — że to trochę nieładnie zabijać człowieka zaraz po tym, jak się go poznało i zjadło z nim lunch.

— Nie przejmuj się manierami — jęknął Minska — to są Łowy.

— Wiem — odparł Blackwell. — Po prostu przyszła mi taka kretyńska myśl do głowy.

— Zrobimy tak: wyjdiesz po cichu frontowymi drzwiami, dojdiesz do Siedemdziesiątej Dziewiątej i weźmiesz taksówkę. Nikt nic nie zauważy, jest zbyt ciemno. Prześpij się, jutro twój wielki dzień. Pamiętaj, żeby zabić Guzmána po tym, gdy dostaniesz czek. Łowy potrzebują każdego źródła finansowania. Zadzwoń natychmiast po likwidacji. Postanowimy, co robić dalej.

W tym samym czasie Framijian przeżuwał batonik Fifth Avenue, znaleziony w górnej, lewej szufladzie biurka. Zachichotał pod nosem; ci porywacze myślą, że są tacy sprytni, ale nie zdają sobie sprawy z tego, że tuż za ścianką znajdowało się ukryte pomieszczenie. Mieścił się w nim mały, lecz o potężnej mocy przekaźnik radiowy. Nie wiedzieli, że Framijian powinien codziennie o północy nadać umówiony sygnał, a brak tego sygnału zdenerwuje niebezpiecznych ludzi w Outer Cay.

I wtedy może zrobić się naprawdę gorąco.

Rozdział 24

Maszt radiowy był najwyższą budowlą w Outer Cay. Połączony z napędzanymi elektrycznie antenami parabolicznymi, zamontowanymi na dachu głównego budynku, mógł ściągać sygnały z całego świata. Jego głównym zadaniem było odbieranie nocnych zgłoszeń od operatorów Korporacji Bahama na całej zachodniej półkuli. Sygnały zazwyczaj przesyłano w dwusekundowych seriach, niezrozumiałych dla kogoś, kto nie miał skomplikowanego sprzętu nagrywająco–dekodującego. Zgłoszenia potwierdzały, że operator znajdował się na miejscu i wszystko było w porządku. Brak zgłoszenia oznaczał poważne kłopoty. Należało wtedy nadać ponowny sygnał dwie godziny później i umieć się z tego wytłumaczyć na spotkaniu miejscowego wydziału organizacji.

Kiedy Framijian nie zgłosił się do pięć po jedenastej czasu lokalnego, główny operator radiowy poinformował o tym dyrektora Dahla. Dahl zaczekał kolejną godzinę i zgodnie z przepisami zadzwonił do firmy zajmującej się takimi sprawami.

Zajęła się nią Mercedes Brannigan. Właśnie zakończyła poprzednią misję w Victorii, stolicy niezależnego królestwa Salambaku.

Rozdział 25

Tropikalną jadalnię wykończono bambusem i rattanem. Nad głowami klientów obracały się dwa wielkie wentylatory, które powoli wypychały wilgotne, ciężkie powietrze. W restauracji ustawiono efektowne kompozycje roślinne: całe bananowce, figi rosnące w ogromnych pojemnikach wyciętych z miejscowej lawy. Kelnerzy snuli się powoli między stolikami. Doświadczony podróżnik, po ich turbanach w czerwone i czarne pasy, od razu mógł stwierdzić, że należeli do Bajau, jednego z rdzennych ludów Borneo.

Zaledwie kilka lat wcześniej byli tu sami łowcy głów i ludożercy, choć krążyły pogłoski, że praktyki te odbywają się do dzisiaj. Rzecz jasna, rząd Salambaku, niedawno powstałego niezależnego królestwa surowo ich zabronił.

Wśród garstki klientów przeważali ludzie starsi. Restauracja należała do najstarszych w tej części wybrzeża i najlepszych w Borneo. Nie każdy mógł sobie pozwolić tutaj na posiłek.

Klientelę stanowiły niedobitki arystokracji, unicestwionej podczas zamieszek towarzyszących obaleniu rządu dwa miesiące temu i utworzeniu nowego pod pieczę Heetera Dyała, nowo mianowanego dożywotnio prezydenta Republiki Salambaku w Pomocnym Borneo.

Prezydent wszedł właśnie do środka. Po królewsku zdobione rękawy jego ubrania wysadzone były ogromnymi rubinami z kopalni w Altenback, znajdującej się w samym środku republiki. Salabak to dobrze rozwijające się państewko, bogate w złoża rubinów, heban i inne rzadkie gatunki drzew rosnących w dżungli, a także w mało znane przyprawy spotykane w dolinach.

Poprzedni rząd był konserwatywny. W królewskim skarbcu wciąż znajdowało się sporo pieniędzy, gdy Dyal wraz z armią szumowin z własnego plemienia złupili go doszczętnie. Rewolucja wybuchła tak szybko i niespodziewanie, że poprzedni premier nie zdążył dokonać ostatecznych transferów do szwajcarskiego banku. Grad pocisków dosięgnął go między książeczkami czekowymi, kiedy helikopter już szykował się do startu na starannie przyciętym trawniku za pałacem prezydenckim.

Biorąc pod uwagę ogólną sytuację ekonomiczną kraju, mogło się wydawać, że Salambak spłacił najpilniejsze długi. Ale tak się nie stało. Kraj nie miał ani grosza: tak przynajmniej zapewniał wierzycieli nowy prezydent. Jeden z nich, Korporacja Bahama, nie doczekawszy się wyjaśnień, wysłał swego przedstawiciela, pannę Mercedes Brannigan, by sama ustaliła powody.

Mercedes właśnie przyjechała. Była uderzająco piękna. Miała bardzo ciemne, połyskujące granatowo włosy, takie, jakie można jeszcze czasem zobaczyć u Celtów, i skórę o najjaśniejszym odcieniu oliwki, pamiątkę po kastylijskich przodkach ze strony matki. Weszła do jadalni ubrana w dobrze skrojony, bawełniany kostium.

Heeter Dyal podniósł się na powitanie. Nie był Dyakiem czystej krwi, pochodził z wysp Andamatan i Pathan, gdzie jego dzielna prababcia służyła jako gosposia u Anglików podczas drugiej wojny afgańskiej.

Dyal mówił w sposób przyjazny, uprzedzająco grzeczny:

— Moja droga panno Brannigan, Mercedes, jeśli pani pozwoli. Jestem zaszczycony tym, że mogę panią powitać w imieniu własnym i mojego rządu. Byliśmy zachwyceni, gdy nasze biuro zagraniczne otrzymało wasz telegram, zapowiadający pani wizytę. Mam nadzieję, że nie miała pani żadnych kłopotów na granicy.

— Ależ skąd — odparła Mercedes pańscy ludzie nawet nie zajrzeli do mojego bagażu.

— Oczywiście, że nie! To rozumiacie. Mówiłem waszym ludziom, że roleksy bardzo dobrze się sprzedają na czarnym rynku. Może pani powiedzieć o tym wszystkim swoim znajomym. Każdy przyjaciel Korporacji Bahama jest także moim przyjacielem.

— To miło — skwitowała, nie zdradzając rozbawienia wywołanego tą żalną próbą przekupstwa.

— Naturalnie może pani przywieźć ze sobą dowolną ilość gotówki, nieograniczony zapas narkotyków, do użytku własnego bądź na sprzedaż. U nas nieletni są świetną klientelą, jest ich i tak za dużo, więc wyświadczy nam pani przysługę, jeśli kilkoro z nich przypadkiem umrze z przedawkowania. Mam nadzieję, że nie brzmi to zbyt bezduszenie, ale tyle tu dobrego towaru...

— Wasza Ekscelencjo — przerwała mu poirytowana Mercedes — nie przyjechałam tu handlować roleksami i szmuglować narkotyki. Korporacja nie zajmuje się takimi sprawami.

— Nie to miałem na myśli, wiem jednak, że finansujecie rewolucje. W końcu to dzięki wam doszedłem do władzy... za co jestem dozgonnie wdzięczny. Pomyślałem po prostu, że jeśli pani albo pani przyjaciele chcielibyście dorobić sobie na boku...

— Wszystko, czego chcemy, Wasza Ekscelencjo, to zwrot pieniędzy, za które uzbroił pan swoich ludzi, wyposażył pałac prezydencki i opłacił armię.

— Naturalnie, proszę przesłać rachunek przy najbliższej okazji.

— Rachunek został już przesłany, Wasza Ekscelencjo.

— Doprawdy?

— Kilkakrotnie, listem poleconym, który Wasza Ekscelencja był łaskaw osobiście pokwitować. Kwity mam tutaj, w torebce.

— Musiała więc zajść jakaś pomyłka — powiedział Dyal z uśmiechem. — Wie pani, że to się zdarza.

— Niewątpliwie — odparła Mercedes — ale Korporacja Bahama ma swoje zasady. Kiedy trzecie ponaglenie nie przynosi efektu, przysyłają mnie.

— No i co robisz, moja droga?

— Zamykam rachunek.

Słaby uśmiech Dyala nadał jego płaskiej twarzy o niewyraźnych rysach wyraz posępnej wrogości, który podkreślały jeszcze słabo rozwinięte małżowiny uszne. Błyskawicznie rozejrzał się dookoła. W polu widzenia dostrzegł grupę strzelców wyborowych na górnej galerii restauracji, trzymających Mercedes na muszce.

— Mam nadzieję, że nie zamierza pani stosować wobec mnie przemocy w moim własnym kraju. Ochroniarze mają przykazane natychmiast reagować na każdy mój gest. Nigdy nie wyjdzie pani stąd żywa, jeśli coś się wydarzy.

— Niech pan nie opowiada głupstw — rzekła Mercedes. — Tym razem ureguluje pan wszystko, prawda?

— Oczywiście, gdy tylko zbiorę należność z kilku kont. Otrzymacie czek najpóźniej pod koniec tygodnia.

— Rozumiem. Więc nie ma problemu. Chętnie spróbowałabym jakiejś specjalności szefa pańskiej kuchni, co przynajmniej w połowie zdecydowało o moim przyjeździe tutaj.

— Słyszała pani o naszym kucharzu! — wykrzyknął zachwycony Dyal.

— Oczywiście. Czytałam o nim w kwartalniku „Mistrzowie Kuchni Azjatyckiej”. Od dawna już chciałam skosztować jego dań antropofagicznych.

— O tym także pani słyszała! Tak, nasza sławna kuchnia kanibalistyczna. W dzisiejszych czasach nie zjadamy już ludzi, ale istnieje wiele wspaniałych dań, które możemy przygotować z użyciem specjalnych przypraw symulujących oryginalny smak. Puder chirurgiczny, na przykład, jest świetnym substytutem paznokci Aryjczyka. Gdyby tak móc przygotować słodkiego, duszonego metatarsala... no cóż, metatarsale wyginęły. Były to małe stworzenia podobne do świń. Mniejsza z tym, znajdziemy substytut i tego. Filogenetyka kontrastywna jest niezwykle zajmująca, nie sądzi pani?

— Istotnie — odparła Mercedes — pański kucharz musi być geniuszem; przynajmniej tak piszą o nim w każdym magazynie.

— Tak, jest niezastąpiony. Jest już ostatnim człowiekiem na świecie, znającym się na kuchni antropofagicznej. Większość naszych ludzi, mimo swego pochodzenia, nigdy nie próbowała tych dań.

— Dlaczego?

— Bo kanibalizm jest zabroniony, a substytuty mięsne są bardzo drogie. Ale oto i szef kuchni we własnej osobie.

Do ich stolika podszedł niski, gruby mężczyzna w białym kitlu.

— Ekscelencjo. To zaszczyt widzieć pana dzisiaj. Wykonali kilka zawiłych ruchów rękami i grzecznie się uklonili.

— Czy ucztą już gotowa? — zapytał Dyak.

— Mamy kłopot — wyznał kucharz.

— Co się stało?

— Musi pan sam to zobaczyć.

Szef poprowadził zaintrygowanego prezydenta do kuchni. Mercedes została sama przy stole. Siedziała wyprostowana, tak jak uczono ją od dziecka. Podniosła wzrok i na galerii zobaczyła ochroniarzy, celujących do niej z karabinów.

Zwróciła się do nich w poprawnym Dyak, choć z lekkim zamboangańskim akcentem:

— Wycelujcie karabiny gdzie indziej, proszę.

Na galerii znajdowało się sześciu ściśniętych strzelców, wyposażonych w stare, ręcznie ładowane springfieldy. Mieli brązowe mundury i pasy koloru khaki. Wyglądali prawie identycznie, jak to bywa z członkami tego samego oddziału. Tylko jeden wyróżniał się wzrostem, a wypolerowana odznaka, którą nosił, świadczyła o wyższej randze.

— Gdzie szef? — zapytał niskim, monotonnym głosem. W napięciu bezwiednie zacisnął palec na spuście, co nie uszło uwagi Mercedes, która nagle zauważyła, że najlepsza w północnym Borneo restauracja zupełnie opustoszała.

— Szef zaraz wraca — odpowiedziała — on pójść do toalety. Grymas niezdecydowania wykrzywił usta ochroniarza, a szare komórki, zrujnowane przez narkotyki i nikotynę, intensywnie pracowały, żeby zrozumieć to wszystko. Nieobecność szefa mogła okazać się jak najbardziej usprawiedliwiona... ale szef, wychodząc do ubikacji, zwykle podnosił palec. Zastanawiające.

W tym momencie wyszedł szef kuchni, niosąc wysoko przed sobą dymiący półmisek przykryty srebrną pokrywą, spod której rozchodził się ostry zapach mięsa, cytryny, sosu imbirowego i jeszcze czegoś.

— Przyjaciele — zwrócił się do szóstki strzelców — dzięki cudom nowoczesnej kuchni mikrofalowej i ciśnieniowej mam zaszczyt zaprosić wasz oddział, jako pierwszych Dyaków waszej generacji, do wzięcia udziału w autentycznej uczcie kanibalistycznej.

Wskazał stolik nakryty dla sześciu osób.

— Proszę, zejście z galerii i przyłączcie się do uczy. Uściśnijcie też dłoń nowego, dożywotnio mianowanego prezydenta, mojego brata, Ernona.

Z kuchni wyszedł Ernon, wysoki, łysiejący, uśmiechał się i machał ręką. Strzelcom wystarczyło jakoś rozumu, by pojąć, że wszystko się zmieniło. Mogli oczywiście zabić w odwecie wszystkich tu obecnych i nawet przez chwilę to rozważali. Szybko jednak pojęli, że korzystniej będzie współpracować z nowym reżimem. No i zawsze chcieli popробować prawdziwej kuchni

kanibalistycznej. Wydali więc głośny okrzyk, powściągliwie, lecz z respektem, i zeszli na dół do restauracji.

Brat kucharza, Ernon, z wdzięcznością uściśnął dłoń Mercedes.

— Wszystko pani zawdzięczam, panno Brannigan. Pomogła nam pani pozbyć się tego tyrana, Dyala.

— Musiałam to zrobić — odpowiedziała. — Zasady działania Korporacji są bardzo surowe. Wszystkie pożyczki muszą być spłacone w terminie. Nie obchodzi nas, skąd biorą się pieniądze. Jest to jedyna wiarygodna podstawa, na której mogą opierać się interesy zagraniczne i nielegalne, a Dyal o rym zapomniał.

— Sądził, że we własnej restauracji nic mu nie grozi — rozmarzył się Ernon. — W sercu własnego kraju.

— Niech to będzie dla wszystkich ostrzeżeniem. Nie chcę powtarzać rzeczy oczywistych, ale Korporacja nie znosi, gdy wodzi się ją za nos.

— Oczywiście pamięta pani, że już zapłaciłem — upewnił się Ernon. — Dałem pani czek w biurze.

— Naturalnie, proszę się nie martwić.

— Może potrzeba jeszcze więcej? — Ernon wyciągnął książeczkę czekową. — Za cały ten kłopot.

— Już po kłopocie, dziękuję bardzo. Nie przyjmuję nielegalnie pieniędzy. Reprezentuję Korporację Bahama i chcę tylko tego, co się nam należy.

— Dzięki Allachowi za wasz rozsądek. Przyłączy się pani do poczęstunku?

Mercedes potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję. Jak na jeden dzień, mam już dość Dyala.

Ernon uklonił się. W tej samej chwili do jadalni wbiegł chłopak z sąsiedniego hotelu.

— Missy Blannigan! Telegram do pani!

Mercedes otworzyła go i przeczytała: „Zgłosić się w Sektorze Dwa Tango Charlie natychmiast”.

Od razu spakowała swoje rzeczy: to zlecenie już wykonała. W ciągu ostatnich dwóch lat, od kiedy zajmowała stanowisko egzekutora w Korporacji Bahama, musiała odwiedzać najróżniejsze miejsca. Teraz miała jechać na Bahama. Nie czuła jednak zbytniego podniecenia. To właśnie była zła strona jej misji. Codzienne zabijanie ludzi czyniło człowieka obojętnym.

Rozdział 26

Wodolot nadlatywał z południowego wschodu, silnik bzycał jak gigantyczny komar na tle wielkiego, pustego nieba nad wyspami Bahama.

— Outer Cay to tu, na dole — poinformował Jeffrey Blair, pilotujący loty czarterowe dla Saukie Field, jednej z prywatnych firm lotniczych Nassau. Mercedes wynajęła go do przewiezienia jej na wyspę.

Spojrzała w dół przez porysowany plastik. Ujrzała małą wyspę w kształcie krewetki, wynurzającą się z pomarszczonego oceanu, skąpaną w blasku popołudniowego, karaibskiego słońca.

— Jest szeroka na ponad dziewięć kilometrów — wyjaśniał dalej Blair. — Przystań zrobili ludzie, pogłębili ją do głębokości trzech metrów przy doku do tankowania.

Wodolot zatoczył koło nad kępami palm przy południowym krańcu wyspy. Kiedy dolecieli nad północną część, Mercedes ujrzała w palmowym gaju wielki dom należący do Korporacji. W pobliżu stały pobielone chatki, dalej szopy i budynki gospodarcze.

— Lepiej, żeby miała pani zaproszenie pod ręką — rzekł pilot. — Ci tutaj nie przyjmują gości zbyt przyjaźnie. To prywatna posiadłość.

— Wiem — odpowiedziała.

— To dziwne miejsce. Pełno tu naukowców z całego świata, podobno jakiś zespół badawczy.

— Mniej więcej — odparła Mercedes.

— Pani też się tym zajmuje?

— Czymś podobnym.

— Wymarzone zajęcie, cały dzień siedzisz sobie i myślisz — ciągnął Blair tonem, który wskazywał, że nie miał o tym pojęcia. — Przyjemny żywot dla niektórych. Daleko od przyziemnych trosk i tak dalej, no nie?

— Istna wieża z kości słoniowej — zgodziła się Mercedes. Blair wylądował i podpłynął do mola. Wszedł po nią Chardar, mikropaleolog z Nepalu, z centrum firmy w Himalajach. Wziął bagaż i poprowadził ją do głównego budynku. Z werandy śledzili start wodolotu Blaira, dopóki nie zniknął w chmurach bahamskiego nieba.

— Oto moje dokumenty — powiedziała Mercedes.

— W porządku panno Brannigan — odparł Chardar. — Oczekiwaliśmy pani. Być może Dahl zechce na nie spojrzeć.

— Gdzie on jest?

— Prowadzi spotkanie Komitetu Projektów. Mam panią tam zaprowadzić?

— Nie, nie będę mu przerywać. Czy mogłabym poczekać w jego apartamencie aż skończy?

Oczywiście, proszę tędy, panno Brannigan. Duży, nisko położony główny budynek Korporacji Bahama częściowo zajmowały biura, resztę przeznaczono na apartamenty z tarasami i widokiem na ocean. Na wyspie znajdowały się też chaty z wyjściem na plażę. Dahl mieszkał w pięciopokojowym apartamencie. Mercedes zrzuciła niewygodny służbowy kostium, który miała na sobie w samolocie, i przebrała się w skąpy kostium kąpielowy, uwydatniający jej zgrabną sylwetkę. Cieniutki, biały materiał przyciągał wszystkie spojrzenia. Basen wyglądał zachęcająco, więc odsunęła szklane drzwi i wskoczyła do wody — nigdy bowiem nie przegapiła okazji, żeby popływać między zabójstwami.

Rola egzekutora, człowieka od brudnej roboty, windykatorka czy jakkolwiek to nazwać, miała istotne, historyczne znaczenie w nielegalnych organizacjach.

Początkowo Korporacja zlecała te sprawy różnym organizacjom kryminalnym, jednak wyniki nie były satysfakcjonujące. Przestępcy, zazwyczaj podejrzani ideologicznie, nie pasowali do tak idealistycznej organizacji jak Korporacja Bahama.

Wynajmowanie ich okazało się zbędne. Tajne badania organizacji wykazały, że część szanowanych naukowców skłonna jest popełnić każdy występki, jeśli tylko miał on służyć słusznej sprawie. Tak też było w przypadku Mercedes.

Urodzona w Anglii, studiowała na Uniwersytecie w Cambridge, a magisterium zrobiła w Oksfordzie. Otrzymała stypendia w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych na prowadzenie badań nad projektem przetwarzania wizualnego. Była aktywną, wysportowaną młodą kobietą, specjalistką w strzelaniu z broni krótkiej, znawczynią wyścigów samochodowych. Tajna Centrala Naukowa przestudiowała jej dane i zdecydowano, że przy najbliższej okazji zostanie podjęta próba nawiązania z nią kontaktu.

Okazja nadarzyła się następnego lata. Mercedes przyjechała do Włoch na semestralne studium w Klubie Rzymskim. Tam spotkała Arthura Selkirka, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie astrofizyki i jednego z przedstawicieli Tajnej Centrali Naukowej. Spotkanie wyglądało na przypadkowe, lecz Selkirk starannie je zaplanował. Podczas rozmowy stwierdził, że dziewczyna jest odważna, opanowana, uczciwa, dobrze wychowana i ambitna.

W czasie kolejnego spotkania Selkirk zapoznał ją z działalnością Korporacji i wytłumaczył, na czym miała polegać jej praca, za którą początkowo mógł zaoferować sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów rocznie.

— Naturalnie, to tylko na początek — obiecał. — Płaca wyjściowa. Przykro mi, że proponuję tak mało, ale jeden z naszych lokalnych zarządców wymaga utrzymywania płac początkowych na takim poziomie przez rok, żeby sprawdzić nowo przyjętych pracowników.

— A kiedy się już sprawdzą?

— Wtedy, że się tak wyrażę, zarobki sięgają nieba. Niełatwo jest znaleźć ludzi umiejących zabijać po cichu, gdy wymaga tego sytuacja, a równocześnie dobrze wychowanych i posługujących się przyzwoitą angielszczyzną.

— Chcę pomóc w ratowaniu Ziemi — powiedziała Mercedes. — Gdzie mam podpisać?

Działo się to prawie trzy lata temu. Przeszła wszystkie szkolenia, najpierw w Genewie, następnie w filii biura londyńskiego w Knightsbridge. Jako pierwsze zadanie otrzymała dublowanie Kristal Karter, uznanej za najlepszego zamachowca tej dekady. Dzieliły razem apartament przy rue des Halles w Paryżu i towarzyszyła jej w dwóch zadaniach; nigdy jednak nie pociągnęła za spust. Kristal przybierała postawę matadora, zawsze zabijała sama.

Teraz Kristal już nie żyła, zginęła w dziwnym wypadku samochodowym w Barcelonie, gdy wracała z masakry w Maladze. Mercedes została egzekutorem na pełnym etacie. Sprawa na Borneo należała do jednego z przydzielonych jej zadań. Była to znaczna odpowiedzialność dla dwudziestoczteroletniej dziewczyny.

Dahl przyłączył się do kąpieli w basenie. Wyjaśnił, że Korporacja musi się dowiedzieć, co stało się ze współpracującym z nimi handlarzem bronią, Yitzhakiem Framijianem. Co zaszło i dlaczego, a także upewnić się, że to się już więcej nie powtórzy. Otrzymała więc informacje o Alfonsie Guzmánie i listę nazwisk ludzi, którzy mogli jej pomóc i udzielić wsparcia. Dahl sugerował, by poleciała rannym samolotem do Nassau, a następnie do Miami. Ona miała jednak inny pomysł.

— Wezmę ten mały ślizgacz, zakotwiczony w głównym doku.

— Czy to na pewno rozsądne? Prąd zatokowy może zepchnąć cię z kursu o tej porze roku.

— Nie ma się czym martwić. Jestem dobrym żeglarzem.

Po upływie dwóch godzin, gdy rzuciła cumy i obrała kurs na światła lewego falochronu, Dahl machał jej na pożegnanie. Przy korzystnym wietrze spodziewała się dotrzeć do Miami późnym rankiem.

Rozdział 27

Niewielka, szybka motorówka bez trudu pokonywała niskie fale. Wschodził właśnie Orion, fale pryskały czarną pianą, pachniało solą, a księżyc to wyglądał, to znów chował się za niewielkimi chmurami.

Mercedes skorygowała kurs i pozwoliła ponieść się prądowi zatokowemu. Przyjemnie było przebywać samotnie na wodzie. Tuż przed świtem ujrzała światła Florydy. Wkrótce zauważyła, że znajduje się na poziomie Baker's Haulover, powyżej Miami. Minęła więc Government Cut o jakieś szesnaście kilometrów. Zawróciła i popłynęła na południe wzdłuż wybrzeża. Około południa dopłynęła do Government Cut zatłoczonego przez statki transportowe z Dodge Island. Popłynęła więc dalej na południe i przez Bear Cut dotarła do Biscayne Bay, okrążyła południowy kraniec Virginia Key, przecięła zatokę i zacumowała przy doku paliwowym koło Forbes' Shipyard w Silver Bluff, na północ od Dinner Key Marina.

W biurze zarządcy portu zarezerwowała miejsce na pozostawienie łodzi. Wynajęła samochód w agencji Avis i pojechała do małego domku, utrzymywanego przez Korporację w Coconut Grove. Weszła do środka, włączyła klimatyzację, wzięła prysznic i przebrała się w przewiewną sukienkę z głębokim wycięciem na plecach. W końcu zadzwoniła do Framijiana.

— Framijian. Kto mówi? — usłyszała czyjś głos.

Mercedes zacisnęła usta i ostrożnie odłożyła słuchawkę. Przygotowała sobie słabego drinka z ginu z tonikiem.

Framijian nie przestrzegał wymaganej transmisji radiowej. Nie próbował też w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin skontaktować się z Korporacją. Był jednak w domu i odbierał telefony.

Wniosek: przy założeniu, że to Framijian podniósł słuchawkę, ktoś zapewne przystawił mu do skroni pistolet. Ktoś, kto nie miał pojęcia o transmisjach radiowych.

Transmisje miały służyć wykrywaniu takich właśnie sytuacji. Do niej należało dowiedzieć się, co tam się działo, kto za tym stał i ewentualnie coś na to poradzić.

Zerknęła na listę telefonów w południowej Florydzie, którą otrzymała od Dahla. Zdecydowała się zadzwonić do Antonia Alvareza. Przedstawiła się i krótko wyjaśniła, czego od niego oczekuje.

Rozdział 28

Antonio Alvarez mieszkał w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze przy Brickell obok parku Alice Wainwright. Interesy zaś załatwiał w klubie nocnym „Tropicabana” przy Siedemnastej ulicy. Tam też podjechał białym porsche 912, oddał kluczyki ugrzecznionemu parkingowemu, rzucił płaszcz szatniarce i pojechał windą do biura.

Alvarez nie wyglądał na typowego południowca z wielkim wąsem. Był Amerykaninem urodzonym w Miami, a jego rodzice pochodzili z Hondurasu. Wychował się w gorących slumsach Hialeah, gdzie gangi młodzieżowe wysiadują pod palmami, nie pod latarniami. W wieku szesnastu lat wstąpił do gangu Pepito Braga, Los Compañeros de Muerte, do którego należeli przeważnie Kubańczycy, hołdujący brutalnym formom samorozwoju. Kiedy Braga zakończył życie po pijackiej awanturze z przejeźdnym *machatero* z Gwatemali, Alvarez został prawą ręką Pedro Guiterrez–Floresa, tłustego, jowialnego płatnego zabójcy z Meksyku, który przez kilka lat, na zlecenie Angela Paza, terroryzował społeczeństwo środkowoamerykańskie zamieszkujące południową Florydę.

Życie po tym wszystkim toczyło się spokojnie do czasu rozpoczęcia wojny między różnymi grupami w Miami. Guiterreza znaleziono martwego w samochodzie przewróconym do góry kołami w rowie nawadniającym, biegnącym wzdłuż Tamiami Trail obok Sto Czterdziestej Czwartej Alei. Przypadkowy zgon został wykluczony, kiedy policjanci z dochodzeniówki ustalili, że zastrzelono go z dubeltówki, a następnie wepchnięto do bagażnika.

Ostatni był Angel Paz, który, po nieudanym wypadzie do Hawany, zakończył swą krótką karierę zdrajcy przez powieszenie do góry nogami na żelaznej bramie lochów w El Malecón. Na Alvarezie zrobił wrażenie los kompanów i doszedł do wniosku, że życie stało się nazbyt emocjonujące. Nagle zaczął odczuwać potrzebę zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Kiedy Korporacja Bahama zaproponowała mu objęcie programem miejscowych gangsterów, z łatwością poświęcił niezależność dla bezpieczeństwa, które mogła mu zaoferować tylko duża i dobrze zorganizowana korporacja. Alvarez był szczupłym i ciemnoskórym człowieczkiem z długimi bokobrodami, przyciętymi przez fryzjera na kształt szabli wygiętej w kierunku doskonale utrzymanego wąsa.

Odsunął mały panel i zerknął na scenę „Tropicabany”. Grupa dziewcząt śpiewała refren „Flyin’ down to Rio”, więc zanucił razem z nimi. Wyjął z kieszeni platynowe pudełko i przez pustą kość strusia, której używał jako lufki, wciągnął za jednym razem długą prawie na ćwierć metra działkę. Nacisnął dzwonek.

W drzwiach stanął Manitas de Córdoba, ponury, niski mężczyzna w wykrochmalonej na sztywno białej koszuli z guayabery. W przerwach między zleceniami otrzymywanymi od Alvareza pracował jako bramkarz w „Tropicabanie”.

Antonio wytłumaczył mu, co należało zrobić. Córdoba odparł, że jest gotów od razu. Pozostało im tylko przebrać się w ubrania robocze.

Rozdział 29

Tuż po pierwszej zdezelowana ciężarówka remontowa Southern Bell zatrzymała się niedaleko domu Framijiana. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn obładowanych sprzętem i narzędziami. Jeden z nich przypiął do butów kolce i wspiął się na słup telefoniczny. Podczas gdy pierwszy z nich obserwował uważnie drogę, drugi wyjął lornetkę i zaczął lustrować salon, który dobrze widział z tej wysokości. Obraz przysłaniała spuszczone do połowy żaluzja. Mężczyzna przyglądał się uważnie salonowi przez kilka minut, kiedy usłyszał ostrzegawczy gwizd od partnera na dole. Wtedy schował lornetkę i zaczął udawać, że coś reperuje, aż furgonetka UPS zniknęła za rogiem. Znowu wyciągnął lornetkę, tym razem obserwacja trwała piętnaście minut, po czym zszedł na dół.

— Co widziałeś? — zapytał Alvarez.

— Niewiele — odrzekł Córdoba — ale może to wystarczy. Widziałem Framijiana.

— Jesteś pewny, że to był on?

— Tak.

— Kogo jeszcze widziałeś?

— Nikogo.

— No to świetnie, spisałeś się na medal.

— Ale widziałem, że Framijian z kimś rozmawia.

— Widziałeś z kim?

— Nie.

— Jesteś pewien, że był tam ktoś jeszcze?

— Chyba że Framijian ćwiczył przemowę przed lustrem.

Alvarez rozważał to przez chwilę, po czym potrząsnął głową:

— Nie, on nigdy nie wygłasza żadnych przemówień. Dobrze się spisałeś Manitas. Poszukajmy telefonu.

Część czwarta

Przygotowane

Rozdział 30

Do podziemnej windy w Centrum Łowów w New Jersey wsiadł rumiany, dość przystojny mężczyzna, ubrany w nienagannie skrojony, granatowy garnitur w prążki. Najbardziej jednak w jego wyglądzie zwracała uwagę niespotykanych rozmiarów siwa czupryna oraz dziesięciocentymetrowej długości broda, przypominająca łopatę. Widocznie nie miało to większego znaczenia, ponieważ nieznajomy po wejściu do budynku ściągnął brodę i schował ją do aktówki.

Właśnie zatrząskiwał zamki skórzanej teczki, gdy do recepcji wszedł Simmons.

— Senator Barenger! — wykrzyknął. — Jakże miło znowu pana powitać! Proszę do mojego biura.

Poprowadził Barengera korytarzem do gabinetu gustownie umeblowanego w zielonej i jasnobrązowej tonacji.

— Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? — zapytał Simmons.

Barenger jeszcze drapał się po twarzy, podrażnionej przez klej spirytusowy, którym przymocował sztuczną brodę.

— Będę szczęśliwy, gdy ta maskarada nie będzie już konieczna — zauważył.

— Na razie jednak jest to niezbędne, nikt bowiem nie powinien zobaczyć naszego słynnego senatora z Illinois w samym sercu nielegalnej organizacji. Drinka, panie senatorze?

— Kropelka irlandzkiej byłaby w sam raz — rzekł Barenger. — Nielegalnej? Tak, Łowy wciąż są nielegalne przez tych liberalnych mięczaków z Waszyngtonu. Ale to wszystko się skończy, Simmons, zapamiętaj moje słowa. Najnowsze ankiety wykazują, że ludzie w całym kraju mają już dosyć sytuacji, pozwalającej oprychom w wojskowych mundurach bezkarnie rozwalać niewinnych obywateli. Ludzie chcą odwrotnej sytuacji. Sami chcą rozwalać. Niedługo nadejdzie czas zalegalizowanego zabójstwa.

— Pracujemy tutaj nad tym — poinformował Simmons. — Tymczasem Łowy trwają, legalne czy nie.

— Przyjechałem sprawdzić, jakie poczyniliście postępy. Moi koledzy i przyjaciele, kongresmani popierający wolne zabójstwo, chcą być pewni, że nawet jeśli nielegalnie, Łowy przebiegają według ustalonych wcześniej zasad.

— Mogę pana zapewnić, że wszystko odbywa się zgodnie z pańskimi wytycznymi. Proszę pójść do centrum koordynacji i przekonać się osobiście.

Simmons poprowadził Barengera korytarzem prowadzącym z jego biura do dużego pomieszczenia, w którym stało kilka rzędów komputerów. Na dużych ekranach na ścianach wyświetlano

najróżniejsze informacje. Mapa świata mieniła się od migoczących świateł.

— To jest mapa Łowów na całym świecie — rzekł Simmons. — Początkowo jedna lampka oznaczała pojedyncze Łowy. Wszystko pasowało, dopóki ogólna ich liczba nie przekroczyła pięciuset. Teraz każdą serię dziesięciu Łowów w mieście oznaczamy natężeniem oświetlenia, stopniowanym rozjaśnieniem lampki. Tu mamy relację Ofiara–Łowca, zmienianą i uogólnianą, gdy nadchodzą nowe informacje. Tam znajduje się lista Łowów przeprowadzanych przez nas w ramach usług dla społeczeństwa, bez zawiadamiania Ofiary, skierowanych przeciwko terrorystom i przywódcom szwadronów śmierci.

Senator Barenger popatrzył z zainteresowaniem na tablicę. Jego spojrzenie powędrowało do Miami, gdzie paliła się pojedyncza zielona lampka.

— Co z tą tutaj?

— Jeden z naszych ludzi ściga znanego zamachowca Alfonsa Guzmána.

— Cieszę się, że dobieracie się draniowi do skóry. Ale co oznacza to żółte światełko, które właśnie pojawiło się obok?

Simmons wlepił w nie wzrok i powiedział bezbarwnym tonem:

— Żółte światełko oznacza, że Ofiara otrzymała zawiadomienie.

— Mówiłeś, że zamachowcy nie otrzymują takich zawiadomień.

— Nie otrzymują. Ktoś popełnił błąd. Przepraszam na moment, panie senatorze.

Simmons wyszedł tak szybko, jak tylko się dało, starając się zachować poczucie godności. Podeszedł do stanowiska łączności w rogu pomieszczenia. Podniósł mikrofon:

— Dajcie mi Stevensa. Połączono go błyskawicznie:

— Tu Stevens.

— Sprawdź dane Łowów 32224A.

— Zaraz, już mam. Wszystko w porządku... och, rozumiem.

— Powiadomiono Ofiarę.

— Tak. Widzę.

— Jak mógłbyś to wyjaśnić? Wydałem co do tego wyraźne polecenia. Wiesz jacy groźni są profesjonalni zabójcy. W zaistniałej sytuacji nasi Łowcy nie mają z nimi żadnych szans.

— Wiem o tym. To musi być sabotaż lub pomyłka człowieka.

— Kto planował te Łowy?

— Bwithins. Mam do niego zadzwonić?

— Ja się nim zajmę. Sprawdź pozostałe Łowy; sprawdź dwukrotnie. Może jeszcze da się uratować tę operację. — Przerwał połączenie i zwrócił się do operatora: — Dajcie mi Bwithinsa z Systemów Nadawczych Łowów.

Połączono go w ciągu kilku sekund.

— Czy została już wysłana wiadomość 32241B? — zapytał Simmons.

— Myślę, że tak.

— Doręczona?

— Nie sędzę. Jeszcze nie.

— Posłuchaj teraz uważnie. Chcę wysłać unieważnienie tego sygnału.

— Unieważnienie? Ale list jest już w drodze.

— Chodzi tu o życie jednego z naszych Łowców — powiedział cicho Simmons. — Musisz zatrzymać ten list, zanim dojdzie do adresata.

— W porządku — odparł Bwithins. — Zrobię co w mojej mocy. Do jakiego stopnia mogę się posunąć w tym odwołaniu?

— Do poziomu trzeciego, nieoczekiwanej anomalii.

Głos Bwithinsa zabrzmiał ponuro:

— Zrozumiałem. Bez odbioru.

Simmons odwrócił się do Barengera.

— Panie senatorze, cieszę się, że pan to zauważył. Mam nadzieję, że zatrzymamy to pismo.

— Muszę już wracać do Senatu — odparł Barenger. — Chciałbym spędzać więcej czasu na pracy z wami, dobrzy ludzie. Według mnie, to tu znajduje się prawdziwa kolebka wolności.

— Robimy, co w naszej mocy, żeby tak było.

Po wyjściu Barengera, Simmons pospieszył do Mistrza Łowów. Zapominając o formalnościach, wpadł do pokoju.

— Dlaczego? — zapytał.

Niewzruszona zazwyczaj twarz Mistrza promieniowała rozbawieniem.

— Filizankę herbaty?

— Przestań, wiem, że to twoja sprawa. Kazałeś Bwithinsowi wysłać list do Guzmána. Dlaczego?

— To było konieczne. Żeby trochę przyspieszyć sprawę.

— Konieczne dla kogo? Z pewnością nie dla Blackwella!

Mistrz zachichotał.

— Pewnie. Blackwell będzie miał pełne ręce roboty. Ale jest z nim Minska.

— Dlaczego sprawę należało przyspieszyć?

— Wkrótce się przekonasz. Czy nasz samolot jest gotów do drogi?

— Oczywiście, ale dokąd lecimy?

— Nie zadawaj tylu pytań. Po prostu bądź czujny. Wyruszamy za moment. A co z herbatą?

Rozdział 31

O piątej po południu, w głównym urzędzie pocztowym w Newark, jakiś pijany lub szalony osobnik zdołał wdrzeć się do pomieszczeń socjalnych w sektorze pięćset dwanaście. Wywołał tam pożar, którym musiały zająć się aż dwie brygady straży pożarnej. Dopiero później odkryto, że ktoś ukradł worek z pocztą z północno–środkowego New Jersey.

Bwithins szybko sprawdził zawartość worka za pomocą skanera na podczerwień. Maszyna sortująca głośno warkotała, gdy listy przesuwwały się pod czujnikiem. Po zakończeniu pracy zakłął. Nie znalazł bowiem listu, który miał rozpoznać kodem magnetycznym. Zadzwoił do agenta w Miami.

Albert Geers już od trzech lat pracował jako listonosz w południowym Miami. Lubił jeździć czewono–biało–niebieskim dżipem należącym do poczty Stanów Zjednoczonych. Cechował go typowy dla doręczyciela uraz do gazet i czasopism, a znany był z tego, że zawsze nosił ze sobą gaz do obrony przed okolicznymi psami. Nie należał jednak do ludzi wadzących komukolwiek, więc jego zniknięcie z workiem poczty wydawało się jeszcze bardziej tajemnicze.

Snuto najrozmaitsze teorie, lecz nikt nie zauważył najważniejszego: Geers zniknął zaraz po doręczeniu poczty do rezydencji Guzmána.

Nawet gdyby ktoś się nad tym zastanawiał, niewiele pomogłoby to w całym rozumowaniu. Wśród skąpych poszlak znaczenie miała tylko jedna wskazówka: listonoszowi próbowano przeszkodzić w doręczeniu poczty Guzmánowi i spóźniono się zaledwie o pięć minut.

Rozdział 52

Miłego dnia, proszę pana!

Przy wyjściu z hotelu Blackwell wręczył obsługującemu go pracownikowi napiwek i wsiadł do samochodu. Kierownica parzyła ręce, ale klimatyzacja wewnątrz działała prawidłowo. Zapiął pas, wyprowadził auto z podjazdu i, mijając wysokie budynki ze szkła i aluminium w otoczeniu palm, udał się na południe przez Brickel Avenue. Bez problemu dojechał do autostrady South Dixie, starając się trzymać w pobliżu nadziemnego metra po prawej stronie. Autostrada prowadziła obok Coconut Grove i Coral Gables. Kiedy wjechał na Siedemdziesiątą Drugą, znalazł się w południowym Miami. Odnalazł Pięćdziesiątą Piątą Aleję i skręcił w prawo, w Twin Lakes Drive. Na końcu ślepego zaułka, za wysokim, kamiennym płotem ujrzał rozległy, beładnie zbudowany dom. Przedstawił się wartownikowi przy bramie, który, po uzyskaniu telefonicznego pozwolenia, wpuścił go do środka. Jechał długim, ocienionym palmami podjazdem. Powitał go duży mężczyzna o nijakiej twarzy i wskazał, gdzie zaparkować samochód.

Dom Guzmána, różowokoralowe monstrum, wybudowano na przestrzeni dwóch hektarów otoczonych płotem z drutu kolczastego, dodatkowo strzeżonych przez dobermanów. Latynosi nazywali go Różowym Pałacem don Alfonsa. Znajdował się w południowym Miami, tuż obok Coral Gables. Stanowił połączenie europejskich stylów: greckiej klasyki, francuskich zamków, angielskich rezydencji, późnego średniowiecza i hiszpańskich kolonii. W różowy tynk wpisano całą historię architektury.

Tito otworzył frontowe drzwi, szybko, lecz dokładnie obszukał Blackwella i wprowadził go do środka, gdzie czekała mała pokojówka w czarno-białym uniformie. Poszedł za nią długim korytarzem, którego wystrój zapożyczono od Borgiasa, i wyszedł na drugą stronę domu, z dużym basenem w kształcie fasoli.

Na betonowej płycie obok basenu siedział na leżaku korpulentny mężczyzna. Twarz miał pociągłą, o delikatnych rysach, a włosy błyszczące od olejku i potu. Przeciwsłoneczne okulary firmy Gucci upodabniały go do indiańskiej ryciny.

Alfonso Guzmán był człowiekiem niskim, krępy, mocno opalonym, z kępką skręconych siwych włosów na klatce piersiowej, wysmarowanej olejkiem do opalania o mdławym zapachu. Obok niego siedzieli trzej mężczyźni: jeden szczupły, o surowej twarzy, ubrany w białe spodnie i rozpiętą koszulę, drugi duży, tęgi, w średnim wieku, o zmęczonej, sflaczałej twarzy z wąsem bandyty, miał na sobie jedwabny szlafrok z indiańskim ptakiem, oraz trzeci, młody o kręconych włosach i nieśmiałym uśmiechu. Po drugiej stronie siedziała Mercedes, świeża i śliczna w jasnożółtym kostiumie.

— Miło pana widzieć, panie Blackwell. To są moi przyjaciele Diego Garcia i Chaco. A to Mercedes Brannigan, przyjaciółka rodziny.

Uśmiechnęła się do niego.

— Napije się pan czegoś? — zapytał Guzmán.

— Wody sodowej z mnóstwem lodu — odparł Blackwell.

Guzmán strzelił palcami.

— Juanito, mógłbyś?

Szczupły młodzieniec wstał i podszedł do baru pod okapem domu.

— Chodźmy, oprowadzę pana — zaproponował Guzmán, który kochał swoją rezydencję, pasjonował go bowiem przepych, zaspokajał potrzebę wywierania wrażenia na sobie i innych. Jego dumą był pokój wyłożony różową boazerią, gdzie przyjaciele mogli podziwiać kolekcję broni i słuchać historii o niej. Obok znajdowała się strzelnica, w której Guzmán chętnie prezentował umiejętność w posługiwaniu się wszystkim, co strzela pociskami. Najbardziej jednak lubił swój basen, wygodne krzesła i leżaki, gdzie wraz z przyjaciółmi popijali rum, palili kubańskie cygara (bo, jak mawiał, tytoń nie uprawia polityki) i rozmawiali o starych, dobrych czasach, które minęły, i wspaniałych nowych czasach, które miały wkrótce nadejść.

Wrócili do basenu.

— Lunch będzie za parę minut — powiedział Guzmán. — Chcesz się trochę odprężyć? Hej, Juanito, rusz tyłek, *cabrón*, i przynieś podwójną działkę błękitnej Imperiał Inca, a do tego potwierdzony czek na milion dolarów. Widzisz amigo, my tu mamy swój styl.

— Nie dla mnie — odparł Blackwell. — Nie przed lunchem.

— Zjemy w środku — rzekł Guzmán — w miejscu, które nazywają *lanai*. Chętnie poznam twoją opinię o moim kucharzu. A oto i moja żona, pozwól, że cię przedstawię.

Caterina Guzmán, wysoka, sztywna kobieta, miała bladą, nieładną twarz o ostrych rysach. Nosiła szarą suknię zapiętą pod samą szyję i hebanowy krzyżyk. Jej delikatna jak pergamin biała skóra świadczyła o niechęci do przebywania na słońcu, a także do tych, którzy się nim rozkoszują. Z chwilą, gdy się pojawiła, jak gdyby rzuciła cień na symbole beztroskiego, latynoskiego życia, przypominając o nadchodzącej prędzej czy później śmierci. Zimną dłonią uściśnęła rękę Franka, obrzuciła go chłodnym, fanatycznym spojrzeniem i wymamrotała:

— *Timor mortis conturbat me.*

— Jest bardzo religijna — powiedział Guzmán. — Ale chodźmy już coś zjeść.

— Czy seniora zje z nami? — zapytał Blackwell.

— Nie, właśnie przestrzega jednego ze swoich postów — potrząsnął głową Guzmán.

Do *lanai* poprowadził ich gospodarz, który przypominał Frankowi legwana, a także przystojnego, ale tchórzliwego generała ze środkowoamerykańskiej komedii. Po chwili dopiero uświadomił sobie,

że ten ciemnoskóry człowiek z głupawym wąsem i starannie ułożonymi siwymi włosami dowodził budzącą postrach czterysta trzydziestą drugą brygadą, nazywaną Sinverguenzas po złupieniu Tunbuncii. On prowadził również szwadron śmierci Gringitos de Soledades w Tegucigalpie i przez trzy lata zarządzał słynnym więzieniem w Managua, które Komisja Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych uznała za zbyt okropne, by móc je obiektywnie ocenić.

Mimo zabawnego wyglądu Guzmán nie należał do osób, które można by lekceważyć. Prowadził twarde życie i zapewne nie podziałby się bez walki. Blackwell dotknął mapy w kieszeni bawełnianej kurtki.

Lanai okazało się długim pomieszczeniem osłoniętym żaluzjami, do którego prowadziło kręte, wykończone sosnowym drewnem przejście. Guzmán usiadł na wielkim krześle u szczytu stołu, Blackwell zaś po jego prawej, a Mercedes po lewej stronie. Pozostałe miejsca zajęli Emilio i Juanito, paragwajski profesor ekonomii, brodaty mężczyzna niewielkiego wzrostu w okularach w ciężkiej, rogowej oprawie i jego żona, szczupła, ciemnowłosa kobieta z kręconymi włosami. Przy końcu stołu siedzieli Emilio, Diego Garcia i Chaco.

Podano delikatną zupę z krabów wzmocnioną sherry, langustę po kreolsku z czosnkiem, czerwoną papryką i sosem piri-piri, garniowaną mango, jambalayę, z ziemniakami po nowoorleańsku i świeżą kukurydzą, a do tego lekką sałatkę z krewetkami w sosie remoulade. Blackwella zmuszono do zjedzenia drugiej porcji placka Key. Następnie kawa, brandy, cygara. Profesor z Paragwaju wraz z żoną udał się na spoczynek. Za chwilę wyszli Emilio i Juanito, a po nich Garcia i Chaco. Przy stole został tylko gospodarz, Blackwell i Mercedes. Frank czuł się nie najlepiej z przepełnionym żołądkiem, ale wciąż był gotów wykonać zadanie. Po odebraniu czeku, rzecz jasna.

Guzmán zwrócił się do Franka:

— Przejdźmy się trochę po ogrodzie. Wybaczysz nam chwilową nieobecność, moja droga?

Przez kilka minut przechadzali się po ozdobnym ogrodzie za basenem, w porze parnego i dusznego, typowego dla Florydy popołudnia. Słońce prażyło tak mocno, że niebo wydawało się wyblakłe. Zatrzymali się przy sadzawce na małym moście w stylu japońskim. Niżej pływały leniwie tam i z powrotem duże złote rybki.

— Teraz możemy rozmawiać — powiedział Guzmán. — Kiedy dostanę broń?

— Jutro wieczorem — odparł Blackwell.

— Gdzie?

— Masz zdaje się wolny transportowiec?

— Tak, „El Espiritu de Guanojuato”, właśnie tankuje w porcie Everglades.

— Dostarczymy broń na pokład jutro wieczorem.

— Skąd pochodzi ta broń?

— To już nasz interes, panie Guzmán.

— Nigdy przedtem nie prowadziłem z panem interesów, panie Blackwell. Chcę, żebyś wiedział, że ten transport jest dla mnie bardzo ważny. Cena została ustalona i muszę dostać towar.

— To chyba oczywiste.

— Może nie do końca. W tym mieście jest mnóstwo ludzi bez skrupułów. Najpierw obiecują wszystko, co zechcesz, ale czy pozwolą ci pożyczyć, żebyś mógł wydać pieniądze, to już całkiem inna sprawa.

— Czy to ma być groźba?

— Skąd. Ostrzegam tylko przed pewnymi ludźmi, których można tutaj spotkać. Teraz zapewne chcesz otrzymać pieniądze?

— Framijian powiedział, że zwykle tak to załatwiacie. Guzmán sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął potwierdzony czek na okaziciela, wystawiony na dziewięć milionów dolarów.

— Miało być dwadzieścia — zwrócił uwagę Frank.

— To połowa tej sumy. Resztę otrzymasz jutro. Dziewięć milionów to nie połowa dwudziestu.

— Oczywiście, odliczyłem sobie prowizję. Czyż robotnik nie zasługuje na swoją zapłatę?

Blackwell nie miał pojęcia o żadnej prowizji ani o umowie przewidującej połowę zapłaty teraz, a resztę później. Czy już powinien zabić Guzmána? Cóż, czas naglił. Schował czek do wewnętrznej kieszeni kurtki.

— Muszę już lecieć — powiedział. — Przykro mi, że tak szybko, ale mam sporo roboty.

— Oczywiście, rozumiem. Przyjdź jutro wieczorem, wydaję duże przyjęcie: mnóstwo jedzenia, narkotyków, kobiet, muzyki i zabawy. Będę miał resztę pieniędzy.

— W porządku — odparł Blackwell. — Może mógłbyś mi pomóc w znalezieniu pewnego miejsca.

Wyjął mapę z trucizną z kieszeni.

— Jasne. Dokąd chcesz się dostać? — zapytał Guzmán, sięgając po mapę.

— Seaquarium. Słyszałem, że mają tam delfiny; przepadam za nimi.

Zanim Guzmán zdołał sięgnąć po mapę, chwyciła ją czyjaś ręka w białej rękawiczce. Dłoń należała do Mercedes.

— Seaquarium? Musiał je pan mijać podczas jazdy tutaj z Miami. O, w tym miejscu. Naprawdę interesują pana ryby, panie Blackwell?

— Tak — pospiesznie odparł Blackwell — głównie jednak delfiny.

— Sama się tam wybierałam. Może pan jechać za mną.

— Hej, to świetnie — powiedział Frank. Poczł ulgę, że nie musiał zabijać Ofiary w tym momencie. Minska mógłby mieć pretensję, że nie poczekał na odebranie drugiej połowy zapłaty.

Zgrabnie odebrał Mercedes mapę i razem poszli do samochodów.

Rozdział 33

Pokojówka wyniosła resztki lunchu i posprzątała ze stołu. Emilio przyglądał się temu przez chwilę, po czym poszedł odebrać pocztę leżącą w holu wejściowym na małym, mahoniowym stoliku obok wydrążonej nogi słonia, w której trzymano parasole. Przerzucił listy wzrokiem.

Zwykła porcja rachunków. To dla Juanita. Apele od kandydatów politycznych i reklamy nowo otwartych restauracji. Reklamy. Wśród tego wyróżniał się list w ciężkiej, kremowej, welinowej kopercie. Wyglądał oficjalnie, lecz nie miał adresu zwrotnego. Emilio, porucznik jednego ze szwadronów Guzmána, obecnie jego goryl, chwycił kopertę twardą dłonią. Doznał dziwnego przeczucia bliskiego niebezpieczeństwa. Otrząsnął się jak mokry pies i wydał dolną wargę. Natychmiast zaniósł list Guzmánowi.

Zastał go w wielkim fotelu w pokoju, leżącego kaca, z opuchniętym nosem i zapaleniem zatok. Na widok kremowej koperty zmarszczył brwi. Otworzył ją za pomocą noża, wyjął list i przeczytał.

To jest oficjalne zawiadomienie o nadaniu statusu Ofiary w Łowach 23441 A.

Powodzenia

Komitet Łowów

— Emilio! — zagrzmiął Guzmán.

Emilio przybiegł z holu, gdzie czekał na wezwanie.

— Przeczytaj to — zażądał don Alfonso — i powiedz, co z tego rozumiesz.

Rozdział 34

Alvarez z telefonu w samochodzie zapytał: — Skąd dzwonisz?

— Z Seaquarium — odparła Mercedes. — Nie mogłam wcześniej się wyrwać. Co się dzieje?

— Wciąż nic. Framijian jest w domu. Widziałem go parę razy i jestem zupełnie pewien, że ktoś z nim jest, ale jeszcze nie wiem kto. Manitas sterczy na słupie telefonicznym i próbuje zajrzeć do środka. Zmieniamy się. Słuchaj, kończą mi się papierosy, a w obrębie mili nie ma żadnego sklepu. Jak długo mam tu zostać?

— Dopóki nie wywąchasz, co się dzieje.

— Ile to może potrwać? Mam dzisiaj randkę.

— Zapomnij o randce. Korporacja Bahama płaci ci kupę forsy, choć ma z ciebie niewielki pożytek. Zostań dotąd, aż ten ktoś się pokaże.

Alvarez odłożył słuchawkę i zaklął. Jak mógł zapomnieć o włożeniu do skrytki zapasowego kartonu papierosów? No i ta randka z Lolą Montez.

Zaczął obserwować ruch uliczny. Jego uwagę zwróciła kobieta idącą w kierunku domu Framijiana. Był pewien, że przejdzie obok, ale ona skręciła i podeszła do drzwi.

Kim, do diabła, mogła być?

Rozdział 35

Załatwiłem cię ósemką — powiedział Framijian. Odłożył karty z głośnym brzękiem łańcucha, który łączył kajdanki z nogą stolika. — Sukinsyn! — zaklął Minska. — Jak ci się to udaje za każdym razem?

— Daj spokój — odparł Framijian — jestem z Miami; mieszkają tu najlepsi gracze w remika na świecie. Ale ty też jesteś niezły.

— Wielkie dzięki. Jestem ci winien czterysta dolarów.

— Sześćset. Podwajaliśmy od ostatniego rozdania, pamiętasz?

— Robię się śpiący odparł Minska. — Jak długo nie spałem? Dwadzieścia godzin?

— Ten twój kumpel, można na nim polegać?

— Pewnie, ale jest nowy. Nie to co my, starzy profesjoniści.

— No cóż, mam nadzieję. Czemu nie zadzwonił? Twoje życie wisi na włosku tak samo jak moje. Nie sądzisz chyba, że moi przyjaciele dadzą sobie zbyt długo wciskać kit o chorobie stopy?

— Właśnie w taki kit przyjaciele wierzą najłatwiej. Wierz mi, jestem ekspertem od przetrzymywania ludzi.

— Jeśli tak twierdzisz. Może jednak dasz się przekupić, dalibyśmy sobie z tym spokój i zajęli się czymś bardziej interesującym. Milion sto dla ciebie plus wieczna przyjaźń Yitzhaka Framijiana. Sam wiesz, że mogę być hojniejszy.

— To rzeczywiście przyzwoita oferta i wiem, że ją doceniam. Jednak nie mogę jej przyjąć.

— Dlaczego?

— Bo jestem staroświeckim człowiekiem z zasadami — odparł z godnością Minska.

— Mój pech. Zagramy jeszcze?

— Pewnie. Twoje rozdanie.

— Nie potrafię rozdawać ze skutymi rękami.

— Radzisz sobie doskonale.

Framijian sięgnął po karty, lecz zatrzymał się w połowie ruchu. Obaj znieruchomieli. Usłyszeli złowieszczy dźwięk klucza obracającego się w zamku.

— Kto ma klucze do domu? — zapytał Minska.

— Nikt. Chyba, że...

Drzwi otworzyły się, do środka weszła mała, piersiasta, rudowłosa kobieta w rażąco zielonych szortach, bluzce i w butach na co najmniej siedmiocentymetrowych szpilkach.

— Rosalie! — krzyknął Framijian.

— Po prostu nie mogłam już bez ciebie dłużej wytrzymać — rzekła Rosalie. — Wiesz, że cię kocham, stary capie. Co to za gość?

— Po prostu przyjaciel — odpowiedział Framijian.

— Jeśli przyjaciel, to po co ci kajdanki?

— Gramy w taką grę.

— Rozumiem — rzekła Rosalie. — Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

— Rosalie, kochanie, nie posiadam się z radości. Przecież błagałem cię, żebyś wróciła. Chodzi o to, że w tej chwili jest mi trochę niezręcznie. Wolałbym być uprzedzony telefonicznie. Muszę ubić pewien interes.

— W kajdanach?

— Nie przejmuj się kajdankami, gramy w taką grę. Gdzie jest Hannah?

— Z moimi rodzicami.

— Ucałuj ją ode mnie. Skończę ten interes, kochanie, i znów będziemy razem.

— Obiecałeś, że po moim powrocie zaczniemy nowe życie!

— Tak zrobimy, ale muszę zakończyć tę sprawę.

— Zawsze tak mówiłeś!

— Rosalie, czy mogłabyś się stąd wynieść?

Rosalie była zdezorientowana. Framijian nigdy tak się nie zachowywał. Zawsze pozwalał jej zostać, gdy omawiał interesy. Zmierzyła obcego wzrokiem. Duży, zwalisty, niezbyt przystojny. Wyglądał niebezpiecznie. Zaczęła też niepokoić się z powodu kajdanek. Cóż to za gra, w którą dorośli grają w kajdankach?

Coś się tutaj działo i Rosalie nagle zdała sobie sprawę, że powinna na to wpaść już pięć minut wcześniej. Lepiej jednak późno niż wcale.

— Miło pana poznać, panie jak-się-tam-pan-nazywa — powiedziała. — Przykro mi, że przyszedłam nie w porę. Wrócę później.

Minska zdecydował się:

— Daj spokój Rosalie, nie sędzę, żebyśmy mogli zagrać w remika, ale może pamiętasz serca. Świetna dla trzech graczy.

— O czym ty mówisz? — zapytała Rosalie i wtedy zobaczyła w jego dłoni pistolet. Nastąpiła chwila złowróznej ciszy. W końcu odezwała się: — Jesteś pewny, że nie wolisz zapomnieć o moim pobycie tutaj? Byłoby prościej, a ja nigdy nie powiem ani nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić Framijianowi.

— Siadaj — powiedział Minska.

Rosalie spojrzała na Framijiana, który bezradnie wzruszył ramionami i nieśmiało się uśmiechnął. Potem przyjrzała się Minsce. Wyglądał na takiego, który zastrzeliłby damę.

Weszła do salonu i usiadła.

— Powinnam posłuchać mamy — zwróciła się do Miński — Trzymaj się od tego faceta z daleka, mówiła, czeka go wczesna śmierć

w niecodziennych okolicznościach. Ale nie, ja musiałam zrobić się sentymentalna.

— Rosalie, wszystko się ułoży — uspokajał ją Framijian.

— Grasz w serca? — zapytał Minska.

— Nie — odpowiedziała i westchnęła. Po chwili uśmiechnęła się blado. — Ale mogę się jeszcze nauczyć.

Mimo zbytnej pobudliwości była dobrym kumplem.

Rozdział 36

Zadzwoił telefon. Zgodnie ze wskazówkami odebrał go Framijian.

— Tu Framijian.

— Chcę rozmawiać z tym drugim gościem — rzekł Blackwell.

— Co?

— Ten drugi, który jest teraz z tobą.

— Kto mówi?

— Człowiek, który był z nim u ciebie zeszłego wieczoru.

— Ach, ten. Twój kumpel wyskoczył tylko po pizzę, powiedział, że zaraz wróci.

Blackwellowi aż pociemniało w oczach. Czy Minska zwariował? Po chwili usłyszał tępy odgłos, jakby ktoś dostał w głowę, i głos Miński:

— Jak leci, mały? Nie udało się, co?

— Nie miałem możliwości. Jutro będę miał kolejną szansę na przyjęciu, które wydaje Guzmán.

— Gdzie teraz jesteś?

— W Coconut Grove z kobietą o imieniu Mercedes. Myślę, że jest w to wszystko wplątana, więc lepiej ją sprawdzę.

— Czemu nie, do jutra nie masz nic do roboty. Ja będę dalej grał w karty z Framijianem i Rosalie.

— Kim jest Rosalie?

— To żona Framijiana. Kretyńską porę sobie wybrała na powrót, nie?

— Jaki mamy plan?

— Spotkamy się o ósmej w moim pokoju w „Nemo”. Omówimy końcowe posunięcia.

Rozdział 37

Blake i Coelli weszli do siedziby władz federalnych, gdzie zajmowano się sprawami Piątego Okręgu i skierowali się do pokoju trzysta czterdzieści sześć, z umieszczonym na drzwiach nazwiskiem W. Flager.

Panna Eustachio w recepcji nacisnęła guzik interkomu:

— Są już tutaj, proszę pana.

— Przyślij ich — odparł Dickerson zirytowany, że musiał zachować neutralne brzmienie głosu. Schował nowy egzemplarz „Southern Antiquæ Collector” do górnej szuflady biurka. Sprawa była poważna.

Dickerson, nowy dyrektor okręgu zarządzający Operacjami Polowymi CIA w południowej Florydzie, od Fortu Lauderdale do Key West, był wysokim mężczyzną, zawsze ubranym w biały garnitur i kapelusz panama. Podlegli mu agenci założyli się o to, w jakim grał filmie. Blake stawiał na rolę Waltera Hustona w „Skarbach Sierra Madre”, gdzie do faceta, któremu czyszczą buty, a jest nim właśnie Huston, podchodzi Humphrey Bogart. Huston daje mu srebrnego dolara i grzecznie prosi, żeby zebrał gdzie indziej. Za te pieniądze Bogart kupuje kupon loteryjny i następnego dnia wygrywa niewielką nagrodę. Wyjeżdża w góry na poszukiwanie złota z Timem Holtem i Walterem Hustonem i tam kończy życie zasiekany maczetami.

Dickerson nosił przy sobie srebrnego dolara i czasem przez podrzucanie go próbował podjąć jakąś decyzję, na przykład, gdzie zjeść lunch.

Nikt nigdy nie dowiedział się, czy fantazjował na temat roli Waltera Hustona, ponieważ nikt nie był w zażyłych stosunkach z dyrektorem okręgu. Nie należał on bowiem do ludzi budzących sympatię.

Teraz zapytał:

— Co wiecie o Alfonsie Guzmánie?

Kierował tym okręgiem od niedawna. Przeniesiono go z Phoenix, gdzie, by móc trzymać rękę na pulsie, musiał przyswoić sobie długą listę nazw hiszpańskich. W Miami przyszło mu zapoznać się z kolejną listą, do której dodano nazwy pochodzące z Haiti.

— Guzmán jest jednym z naszych przyjaciół. Ze starej Gwardii Narodowej Somozy. Wciąż ma kontakty z grupą partyzancką antysandinistów i kupuje dla nich broń.

— Z naszą pomocą?

— Ma się rozumieć — rzekł Blake. — To była metoda pańskiego poprzednika, Bradforda, który, jak sądzę, otrzymywał rozkazy od kogoś bezpośrednio z Białego Domu. Chciałbym zapytać, czy coś

jest nie w porządku z Guzmánem?

— To właśnie próbujemy ustalić — odparł Dickerson. — Przed chwilą otrzymałem telefon z jego rezydencji.

— Dzwonił osobiście?

— Nie, telefonował jakiś dzieciak, podobno z budki telefonicznej. Oczywiście miałem go na podsłuchu, to znaczy mój poprzednik założył podsłuch, a ja nie spieszyłem się z jego likwidacją.

— Co powiedział ten dzieciak?

— Chciał rozmawiać z tobą, Blake. Bez wątpienia to jeden z naszych informatorów, więc powiedziałem mu, że podczas twojej nieobecności może rozmawiać ze mną.

— Nie chcę pana krytykować, ale nikomu, poza samym agentem, nie wolno rozmawiać z jego informatorem.

— Jeśli ten agent chciałby być w pobliżu, żeby odebrać telefon. Nie możesz nosić beepera?

— Noszę, ale właśnie zmieniam operatora. Phoneswift przekręcał moje wiadomości, więc przenieśliem się do PhonoTel. Juanito musiał dzwonić, nim zdążyli uaktywnić mój numer.

— Nie przedstawił się — rzekł Dickerson.

— To musiał być Juanito, siostrzeniec Guzmána. Jest naszym jedynym informatorem, jakiego tam mamy. Co powiedział, jeśli wolno spytać?

— Powiedział, że jego wuj właśnie otrzymał bardzo dziwny list od grupy o nazwie Komitet Łowów, który zawiadamia Guzmána, że jest Ofiarą w jakichś Łowach. Wiesz coś o tym, Blake?

— Słyszałem o Korporacji Łowów, sir.

— To jakaś banda mścicieli?

— Niezupełnie, sir. Określa się ich jako legalizatorów morderstwa. Reprezentują ekstremalnie lewicowo — anarchistyczno-liberalne podejście do zabójstwa; przynajmniej tak mi powiedziano. O ile rzeczywiście istnieją, sir.

— No więc, istnieją czy nie?

— Może nie, sir. Ta ich idea jest nieco śmieszna. Ale z drugiej strony wydawałoby się, że mafia to też głupi pomysł. Kto podczas pobytu na Sycylii podejrzewałby tamtejszych wieśniaków o kierowanie najważniejszymi związkami w Stanach, kontrolowanie portów, transportu, prostytucji i hazardu, a nawet o prowadzenie tajnych interesów z rządem Stanów Zjednoczonych.

— Uważasz więc, że powinniśmy traktować tych Łowców poważnie?

— Myślę, że tak, sir. Urzędnicy, którzy nie liczyli się z mafią, stracili pracę. Okazali się zbędni z powodu skostniałych poglądów.

— Jak dodo — wtrącił Coelli.

— Co? — zapytał Dickerson.

— Wymarły ptak — odparł zmieszany Coelli, jak człowiek przyłapany na tym, że śni na jawie. — To znaczy, widzę tu pewną analogię, sir.

Dickerson spojrzał na Blake'a, który pospiesznie wyjaśnił:

— Analogie nie są najmocniejszą stroną Coellego, choć to nasz najlepszy człowiek.

— Nie wątpię — powiedział Dickerson. — Dobrze, założmy więc, że Łowy istnieją, choć nielegalnie, a Łowcy, kimkolwiek są, wysłali człowieka, żeby zabił Guzmána. Nie chcemy jednak jego śmierci, prawda Blake?

— Raczej nie, sir. Musimy dobrze zaopatrywać rebeliantów. To kupa sukinsynów, ale to nasza kupa sukinsynów. Najwygodniej, gdy zaopatruje ich Guzmán, bo odpadają koszty wysyłania naszego przedstawiciela i kwestia zrzutów. Zresztą zaniechaliśmy tego po porażce w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, jeśli pan pamięta.

— Jasne, że pamiętam — rzekł Dickerson. — Byłem temu przeciwny od samego początku.

— Ja również, sir — powiedział Blake. — Odpowiedzialny za to był pański poprzednik, który musiał mylnie zinterpretować polecenia z Białego Domu. Nie chcemy, żeby coś takiego się powtórzyło. Dzisiaj przyszłość polityczna Nikaragui, a może nawet całej Ameryki Środkowej, zależy od naszego kandydata. Byłoby niezręcznie, gdyby nie znalazł się między nimi w dniu zwycięstwa.

— Nikt mnie o tym nie poinformował — stwierdził Dickerson. — Wolałbym być zorientowany w sytuacji wcześniej.

— Nie zaistniała taka potrzeba — rzekł Blake.

— Ale w końcu jestem dyrektorem okręgu!

— Wie pan, ilu dyrektorów okazało się podwójnymi agentami w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

— Blake, czy pan sugeruje...

— Ależ skąd, sir! Chciałem tylko przypomnieć, że ostatnimi czasy mieliśmy mnóstwo przecieków i każdy z nas został poproszony o maksymalną dyskrecję w udzielaniu informacji.

— Rozumiem. Sytuacja zaczyna się powoli wyjaśniać. Więc broń dostarczana jest rebeliantom przez Guzmána.

Blake niewyraźnie skinął głową, co można było interpretować jako przytaknięcie.

— Ta dostawa miała być naprawdę duża.

Tym razem Blake mrugnął dwukrotnie, prawdopodobnie znów przytakując, i wtrącił:

— Ale w to wszystko wmieszał się jakiś Łowca.

— Na to wygląda — zgodził się Dickerson.

— Ponieważ niedawno przyjechał pan z Waszyngtonu, wie pan zapewne, jak wygląda nasza nowa polityka względem Łowów? — zapytał Blake.

— Może i wiem — odparł Dickerson. Nie chciał się przyznać, że nie spotkał się z nowym szefem, nie znał nawet jego nazwiska, a porozumiewać się z nim mógł wyłącznie przez telefon, po wymianie kodów rozpoznawczych. Popatrzył na Blake'a, który poczuł się niezręcznie. W końcu powiedział:

— Posłuchaj, Blake, jesteś jednym z idealistów, prawda? To znaczy od czasu ostatniego Kongresu, kiedy typy ze służb specjalnych miały do pracy jeszcze jakieś przekonanie. Czy tak to wygląda?

— Sądzę, że można nazwać mnie idealistą — odrzekł Blake. — Miałem swoich faworytów, jestem jednak elastyczny. Względy praktyczne, to moje motto.

— Tak właśnie sądziłem. Dlatego uważam, że wciąż możesz się przydać. Wiele się ostatnio zmieniło.

— Tak, sir.

— Teraz ja rozdaję stanowiska. Mogę zatrzymać albo wyrzucić kogo zechcę w tym departamencie.

— Tak, sir.

— Pamiętaj o jednym, Blake, nie przerabiamy już więcej ideologii. Nie pod obecną administracją. Przypuszczam, że to, co robiłeś dotychczas, było w porządku. Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Zapewne wszystko podporządkowano ideologii, a tego właśnie nie będziemy już więcej praktykować. Nas to nie interesuje.

— Tak, sir. Jakie więc są nasze nowe wytyczne?

— Nowa administracja chce rozwijać pragmatyzm i kontrolę dochodów.

— Słucham?

— Cokolwiek będziemy robić my lub każda inna agencja rządowa, musi przynosić dochód.

— To bardzo rozsądne.

— Oznacza jednak, że największy wysiłek włożymy w coś, co przyniesie największy zysk.

— Oczywiście, sir. Bardzo mi się to podoba. Zawsze wierzyłem, że odpowiedzialność fiskalna jest jedyną drogą do szczęścia.

— Nasza agencja musi dawać dochody.

— Zrozumiałe. To nasza nowa tajna dyrektywa, prawda sir? Po prostu chcę się upewnić, że wszystko zrozumiałem. Potrafię tak pracować, sir. Szczerze mówiąc, w poprzedniej administracji też pracowaliśmy dla zysku, przynajmniej przez jakiś czas.

— Może i tak — rzekł Dickerson — na pewno jednak nie w takim rozmiarze, w jakim będzie się to teraz odbywać. Nikt jeszcze nie sprowadził koncepcji zysku do takiego uproszczenia.

— Co mam zrobić z tym Łowcą?

— Dowiedzieć się, kim jest, śledzić go, ale nie ruszać. Przynajmniej na razie, dopóki nie otrzymam dalszych rozkazów.

Rozdział 38

Mercedes przeniosła się do małego domku, własności Korporacji, w środku miniaturowej dżungli, gdzie rosły drzewa bananowe, palmy, kilka gatunków epifitów i stare, majestatyczne drzewo figowe. Domek otaczała osłonięta weranda, w oknach wisiały bawełniane zasłony. Na werandzie stały dwa krzesła na biegunach i staromodny bujak. Tropikalne drzewa rzucały cień, a ciszę zakłócało jedynie głośnie brzęczenie owadów.

— Usiądź sobie w fotelu — powiedziała Mercedes. — Przyniosę coś zimnego, może być poncz z rumu?

Blackwell usiadł wygodnie w fotelu, który zaskrzypiał pod jego ciężarem, a stopy oparł o opasującą pokój poręcz. Założył ręce za głowę i westchnął.

Upał wyczerpywał go, a jednak czuł się dobrze i bezpiecznie, co nie zdarzało się zbyt często. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i czegoś gnijącego. Wydawało się, że Floryda swoim wyglądem grozi uruchomieniem jakiegoś wehikułu czasu, który przeniesie wszystko z powrotem do paleozoiku. Przez ażurowy mur zieleni sączyło się złote światło słoneczne.

Mercedes wróciła po kilku minutach z dwiema matowymi szklankami pełnymi czerwonawożółtego ponczu z rumu, zimnego i cierpkiego, trochę jak ona sama. Blackwell zaczął popijać. Złote popołudnie powoli przekształcało się w fioletowe odcienie wieczoru.

Kilka godzin później zapytała Franka:

— Co robisz, kiedy nie sprzedajesz broni?

Blackwell poprawił jej głowę na swoim ramieniu. Leżeli wsparci na poduszkach, w dużym, podwójnym łóżku. W pokoju świeciła się tylko mała lampka. Właśnie minęła pomoc. Za zasłoniętym oknem ciemne sylwetki palm pochylały się jedna ku drugiej.

— Potrafisz dotrzymać tajemnicy?

— Pewnie.

— Uczę karate w Nowym Jorku.

Rozdział 39

Z telewizora rozległ się głos Clinta Eastwooda: — „No dalej, zabawimy się.”

— To dopiero kwestia — rzekł Framijian. — Zawsze ją uwielbiałem. „Zabawimy się”. Prawdziwy twardziel, prawda, kochanie?

Rosalie siedziała w wielkim fotelu i walczyła z sennością:

— Tak, kochanie, to cudowna kwestia, ale słyszałam ją już dzisiaj ze trzy razy.

— I tak jest dobra — odrzekł Framijian. — A ty, nieznajomy? Podoba ci się?

Minska siedział na krześle i także walczył z sennością. Było dwadzieścia po trzeciej nad ranem, nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał. Wstał, przeciągnął się i ziewnął.

— Tak, to niezła kwestia — odparł — ale wystarczy tych filmów.

— Chcesz jeszcze pograć w remika?

Minska potrząsnął głową.

— Musimy się trochę przespać.

— To świetny pomysł, stary. Zajmiesz pokój gościnny? Mam tam japońskie maty, nigdy jeszcze tak nie spałeś. Ja i Rosy klapniemy sobie w sypialni. Co ty na to?

— Zdaje ci się chyba, że jestem kretynek — odparł Minska.

Framijian uniósł ręce w geście poddania.

— Zaczekaj, źle mnie zrozumiałeś. Nigdy nie posądziłbym faceta ze spluwą o głupotę. Mam respekt dla broni, w końcu pracuję w tym interesie.

— On nie miał nic na myśli — potwierdziła Rosalie. Była już śpiąca i nie chciała, żeby Framijian czegokolwiek próbował. Ten olbrzym zachowywał się tak, jak gdyby planował wszystko z uprzedzeniem. Czowała, że nie ma zamiaru ich zabić, jeśli będą robić, co każe. Tak jej się przynajmniej wydawało. Lepsze to niż próbować załatwić go tu, w domu. Tylko co planował Framijian?

— Więc co proponujesz? — zapytał Framijian, ziewając. To był ciężki dzień dla wszystkich.

— Wy prześpicie się razem na kanapie — odparł Minska. — Tam będę mógł was widzieć. — Wyjął klucz do kajdanek. — Teraz stójcie spokojnie. Rozkuję was jedną ręką, w drugiej mam pistolet. Nie róbcie nic, co mogłoby sugerować, że sięgacie po niego.

Palec trzymał delikatnie na spuście MAG-a 50 i najpierw zdjął kajdanki Framijianowi, który nie śmiał nawet odetchnąć, gdy skuwał ich razem.

— Wygodnie?

— No cóż, przytulnie, prawda kochanie?

— Chciałabym się położyć — powiedziała Rosalie.

— Przykro mi — odparł Minska — ale nie w tej chwili. Muszę jeszcze coś zrobić.

Wyjął torbę, poszperał w niej i wydobyl urządzenie przypominające budzik. Przycisnął kilka guzików, nastawił je i położył z boku kanapy obok Framijiana, który zapytał z zaciekawieniem:

— Co to takiego?

— Niewielka bomba — pułapka. Rozbroi się za dwanaście godzin.

— Ach, tak. Więc po co ją tu postawiłeś?

— W środku jest urządzenie wrażliwe na wstrząsy. Uruchamia się, kiedy zostanie przewrócone lub zachybotane. Żeby nie przyszło wam do głowy ruszać się stąd i szukać ukrytej broni albo granatu.

— Nie mam żadnej ukrytej broni — zaprotestował Framijian.

— Może tak, może nie. Nie mam czasu na dokładne przeszukanie pokoju. To daje mi pewność, że nigdzie się nie ruszycie.

Nie zwracając uwagi na protesty, Minska przeszedł w drugi koniec pokoju. Nastawił zegarek i położył się na dywanie z pistoletem koło policzka. Zasnął natychmiast.

Po chwili Framijian zapytał:

— Myślisz, że blefuje?

— Z czym?

— Mówię o tej bombie — pułapce. Nigdy jeszcze takiej nie widziałem, a chyba powinienem.

— Czy warto ryzykować życie, żeby się dowiedzieć?

— Prawie. Chętnie dołożyłbym temu skurwielowi.

— Ale nie ze mną na tej kanapie — poprosiła Rosy głosem zdradzającym objawy paniki.

— Nie martw się. Nic nie mam zamiaru robić.

Z drugiego końca pokoju, gdzie leżał Minska, usłyszeli przerywany dźwięk. Brzmiało to jak

śmiercionośny ton wydawany przez grzechotnika, nieco tylko niższy i w krótszych odstępach.

— Ten sukinsyn w dodatku chrapie — powiedział Framijian. — Cholera, jak my teraz zaśniemy? Słyszysz, Rosy?

Zamiast odpowiedzi usłyszał tylko ciche pochrapywanie śpiącej żony.

— Chryste — westchnął. Usiadł z powrotem na kanapie, starając się poruszać cicho i płynnie. Ciągle martwił się, że nie zaśnie w takich warunkach i wtedy zapadł w głęboki sen.

Część piąta

Wielki pościg

Rozdział 40

Emilio nie miał pojęcia, co sądzić o liście Łowców, ale wiedział przynajmniej, co w związku z tym zrobić. Zadzwoił do Zrzeszenia Barnesa przy Lincoln Mali w Miami Beach. To oni zajmowali się legalnymi interesami Guzmána, który był dla nich cennym klientem. Odpowiedzieli mu, że to w zasadzie nie należy do ich obowiązków, ale zorientują się w sprawie i oddzwonią następnego dnia rano. Telefon zadzwonił punktualnie o dziewiątej. Po skończonej rozmowie Emilio poszedł zobaczyć się z Guzmánem.

— No więc — zapytał Guzmán — czego się dowiedziałeś?

— Ludzie ze zrzeszenia twierdzą, że istnieje gra zwana „Zabójca”, w którą grywało się w większości kampusów uniwersyteckich. Wywodzi się z krótkiego opowiadania Roberta Sheckleya pod tytułem „Siódma Ofiara”, na podstawie którego nakręcono film „Dziesiąta Ofiara”.

— Widziałem ten film — odparł Guzmán. — Nadawali go późną porą w telewizji. Głupawa historyjka o kobiecie polującej w Rzymie na mężczyznę, co przerodziło się w związek. Czysta fantazja, Emilio.

— Nie — zaprzeczył Emilio — ta gra toczy się naprawdę. Studenci w całych Stanach już prawie od dwudziestu lat grają w to pistoletami na wodę i workami z mąką.

— No i co z tego?

— Istnieje więc całe pokolenie, które w to grało. Przypuśćmy, że kilku z nich przyszło do głowy robić to na serio?

— Przecież to szaleństwo!

— Z całym szacunkiem, muszę jednak przypomnieć, że to, co robiliśmy w Encantado, też było szaleństwem, jak Santa Inez albo Numer sześćdziesiąt jeden.

— Nie przypominaj mi o tych zwariowanych czasach.

— A dzisiaj? Sytuacja jest dość podobna. Biorąc pod uwagę to, co robiłeś, don Alfonso, czy uwierzyłbyś, że będziesz zabijał dysydentów politycznych z dala od domu?

— Nie podjąłbym się tego z własnej woli, ale człowiek musi robić to, co ześle mu opatrzność. Ja zawsze odwalałem dobrą robotę.

— Jako dowódca wzorowego więzienia torturował pan ludzi.

— Oczywiście, że to robiłem. Tortury wchodziły w zakres obowiązków dyrektora takiego więzienia w Ameryce Środkowej. Należało to robić czysto, co w tym wypadku znaczyło dokładnie.

— A jednak niektórzy uznaliby to za szaleństwo.

— Bo ich tam nie było — odpowiedział pewnym siebie głosem Guzmán.

— Chcę tylko powiedzieć, don Alfonso, że uwzględniając nasze życie i doświadczenie, te Łowy wcale nie są takie dziwne. Tyle grup i organizacji zajmuje się mordowaniem ludzi, czemu więc nie miałyby robić tego Korporacja Łowów? Nie są bardziej szaleni od całej reszty. Właściwie to wyglądają na dość przytomnych, jeśli wziąć pod uwagę wzrastającą radykalizację nastrojów całej populacji ziemskiej.

Guzmán podniósł rękę.

— Daruj sobie powtórkę twoich poglądów, Emilio. Za katastrofizm i negatywizm wyrzucono cię z CPN.

— To prawda, ale zaklinam cię, *mi comandante*, potraktuj to ostrzeżenie poważnie, nawet jeśli uważasz tych ludzi za wariatów. Od czasu wynalezienia prochu wariaci przynoszą złe wieści.

Emilio nie musiał tego mówić Guzmánowi, który ciągle jeszcze o tym rozmyślał, gdy zadzwonił doktor Machado–Ropas, przypominając mu o półrocznych badaniach kontrolnych.

Doktor Machado–Ropas był niskim, pulchnym mężczyzną około sześćdziesiątki, nosił małą, krótko przystrzyżoną bródkę i kolorowe szkła kontaktowe.

Po skończonym badaniu zamknął torbę i zapytał bez ogródek:

— Co pana tak martwi, don Alfonso?

— Nic, nic. Jak tam moje testy?

— Zakładając, że raporty z laboratorium są prawdziwe, nic panu nie jest. Jednak ma pan zbyt wysokie ciśnienie, co u człowieka pańskiego pokroju jest niedobrym znakiem. Niechże mi pan powie, co się dzieje. Jestem pańskim lekarzem domowym, chciałbym pomóc.

— Nic pan na to nie poradzi. Mały kłopot, nic, z czym nie potrafiłbym sobie sam poradzić.

— Czy w pańskim życiu nastąpiły ostatnio jakieś poważne zmiany?

— Właściwie nie, chociaż robię interes z kimś nowym.

— Nowym? Można na nim polegać?

— Nie jestem pewien. Jest w nim coś dziwnego.

— I to nie daje panu spokoju?

— Myślę, że tak.

— Błagam więc, don Alfonso, niech pan go zabije i uwolni swój umysł od niepokoju.

— Dla pana to takie proste? Po prostu zabić kogoś, kto nie daje mi spokoju?

— Wcale nie powiedziałem, że proste. Stopień trudności takiego przedsięwzięcia nie należy do mojej oceny. Ja tylko, jako pański lekarz, zalecam usunięcie źródła niepokoju.

— Nie potrzeba mi lekarza do radzenia sobie z własnymi wrogami. To tak, jakbym prosił mojego prawnika o pomoc przy stryżeniu włosów.

— Nie widzę zbieżności w tym rozumowaniu — odparł Machado—Ropas.

— Jest pan rzeczowy, co podoba mi się w panu jako medyku. Dla pana, stan mojego zdrowia powinien być czymś oczywistym, a nie metaforą. Niech pan mi daruje tę przemowę, stary przyjacielu. Zapewniam pana, że zajmę się tą osobą, gdy tylko nadejdzie odpowiednia chwila i znajdę na to czas.

— To samo mówi pan o paleniu — odparł lekarz z pobłażliwym uśmiechem. Znał Guzmána od wielu lat, prawie od dzieciństwa. Wszystkich wrogów i przyjaciół mamy od dzieciństwa, podobnie jak klientów.

Alfonso Guzmán wybrał cygaro, starannie je przyciął, zapalił i na chwilę pogrążył się w rozważaniach. „Dokonałem wyboru, którego musiałem dokonać w tamtych czasach. Niczego nie muszę się wstydzić. Ale zbytnio się tłumaczę, sam sobie nie dowierzam. Znam te oznaki, bo mam zbyt duże doświadczenie w udowadnianiu komuś winy. Oni wszyscy w końcu się przyznawali, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Jednak uczciwość wymaga od człowieka, żeby stawił czoło trudnościom, coś z nimi zrobił i żył dalej. O to przecież chodzi w życiu. No właśnie, o to chodzi. Musiałem zrobić to, co zrobiłem. Potem nadszedł czas, gdy mogłem już tego nie robić, a nawet, jak to mówią, zawiesić broń na kołku. Ale nic innego nie potrafiłem. Gdybym przestał zabijać wrogów, straciłbym poparcie przyjaciół, którzy pomyśleliby, że żałuję tego, co robiliśmy przez tyle lat. I nie sądzę, że to było złe, chociaż zbyt skomplikowane, nie potrafię tego wytłumaczyć. Historia nas osądzi, choć uważam, że nie myliliśmy się. To nie takie proste; rodzi się w określonym środowisku, masz przyjaciół i wrogów, więc co masz robić — zadeklarować się jako ktoś o niejasnych poglądach i moralności? Pozostałby wtedy tylko areszt domowy na biegunie północnym”.

Guzmán zapoznał ze sprawą Emilia, który zapytał:

— Co mam zrobić szefie? Chcesz, żebym znalazł tego Blackwella i zdmuchnął go jak świeczkę?

— Nie tak od razu — rzekł Guzmán. — Znasz stare, chińskie przysłowie: „Powoli, powoli polująca małpko”?

Emilio pomyślał i po chwili błysnęła mu myśl:

— Mam użyć tłumika?

— Nie, nie — odparł Guzmán.

— Czy potrzebna będzie małpa? — zapytał Emilio.

— Zapomnij o starym chińskim przysłowiu. Zrobimy dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy.

— Ale szefie! Ten gość chce pana zabić. Nie wiem, co pan ma na tym zyskać.

— Powiem ci, kto na tym zyska — powiedział Guzmán. — Miguelito jest sukcesem naszej sprawy i gwarantem przyzwoitego dochodu z całej transakcji.

— Myśli pan, że on załatwi całą dostawę?

— Tak myślę.

— Dlaczego?

— Bo bierze w tym udział Framijian. On zawsze wszystko załatwia.

— Może oni dobrali się do Framijiana.

— Nieważne. To nie mój interes. Chroni go Korporacja Bahama. Ich przedstawicielka, panna Brannigan, jest już tutaj. To oni gwarantują powodzenie tej operacji. Nie wypadłbym dobrze, gdybym wycofał się teraz tylko dlatego, że jakiś wariat przysłał mi list. Powiedzieliby: „Guzmán zachowuje się jak stara baba, lepiej już nie robić z nim interesów”. To by nam nie odpowiadało, prawda?

— Prawda — zgodził się po chwili Emilio — ale dać się zabić też nie jest najlepszym wyjściem.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Czy to następne chińskie przysłowie, szefie?

— Chcę powiedzieć, Emilio, że zrobimy wszystko według planu. Z jedną niewielką różnicą. Zanim Blackwell wykona jakikolwiek ruch, jeśli w ogóle ma taki zamiar, dobierzemy mu się do tyłka.

— To rozumiem — entuzjasmował się Emilio. — Jak za starych dobrych czasów.

Oczy Guzmána zwilgotniały na moment.

— Stare dobre czasy w Ameryce Środkowej, kiedy ja byłem El Terror Blanco, a ty sierżantem Muerte Tarde!

— Wspaniałe czasy, szefie.

— Nigdy nie będzie już tak jak kiedyś, stary przyjacielu. Chociaż dzisiejszy wieczór również zapowiada się interesująco.

Rozdział 41

Po wyjściu z biura dyrektora Okręgu Blake udał się prosto do budki telefonicznej i zadzwonił do Johnny'ego Romera; swego głównego tajnego agenta w latynoskiej społeczności Miami. Opisał mu pokrótce Blackwella, uwzględniając, że Romero powinien wiedzieć, gdzie można go znaleźć. Przypomniawszy też, że informacja jest potrzebna natychmiast. Poleciał mu zadzwonić do budki przy „Rexallu” na rogu Ósmej i Siedemnastej.

Romero rozpuścił wieść we wszystkich dzielnicach hiszpańskojęzycznych, pokrywających Greater Miami jak środkowoamerykańskie wrzody — choroby, od której bładzi brązowieją, frijole zastępują ziemniaki, wołowina ustępuje wieprzowinie, a policjanci zaczynają dziedziczyć ziemię. „Znaleźć Blackwella” powtarzali różni mieszkańcy błotnistych terenów południowej Florydy. Kolumbijczycy, popijający czarną kawę w wąskiej, oświetlonej neonami kafejce przy Dwudziestej Pierwszej Alei przekazali wiadomość Gwatemalczykom, pijącym pulque i słuchającym andyjskiej muzyki harfowej w miejscu, gdzie autostrada South Dixie łączy się z Bird Avenue. Jeden z Gwatemalczyków znał Nikaraguańczyka, znajomego Isabelli la Vieja; byli faktycznie kuzynami. Nikaraguańczyk, Danillo Tomasillo, który pracował jako nocny stróż w hotelu „Turfrider”, zastanowił się chwilę, po czym poszedł do salonu bolita przebrany za sprzedawcę warzyw i zadzwonił do Johnny'ego Romera, a ten z kolei zadzwonił do Blake'a i poprosił o natychmiastowe spotkanie.

— Ty coś wiesz o tych Łowcach, prawda? — zapytał Coelli Blake'a, kiedy ten wyszedł z budki telefonicznej.

Znajdowali się przed „Rexallem” na rogu Ósmej ulicy i Siedemnastej Alei. Przed nimi Latynosi tańczyli, podskakiwali, dreptali i kuśtykali w rytm hi-fi salsy, dochodzącej niczym grzmot z ulicznych głośników konkurujących ze sobą sklepów radiowo-telewizyjnych. Efekt przypominał scenę z filmu „Spellbound”, w którym wyobraźnię zastępują chaotyczne grzmoty i trąbienia, aż w pewnym momencie wydaje się, że lada chwila wszystko umknie w inną rzeczywistość. Choć na Ósmej ulicy istniejąca rzeczywistość napięta była do granic wytrzymałości, nigdy jeszcze nie wybuchła.

— Owszem, wiem — odparł Blake. — Nie wspomniałem o nich Dickersonowi, ale odbyła się na ten temat specjalna narada w Tallahassee, tuż przed twoim przybyciem. — Przez chwilę się zawahał. — Masz podwójny priorytet bezpieczeństwa A, prawda?

Coelli skinął głową.

— Może jednak powinienem zdobyć dla ciebie potrójne A. Te dane nie powinny być dostępne poniżej tego poziomu.

— Na litość boską! — krzyknął Coelli. — Jestem twoim partnerem! Muszę to wiedzieć na wypadek, gdyby zabito cię podczas operacji, a ja musiałbym wszystko przejąć.

— W porządku — rzekł Blake. — Będę musiał ci zaufać. Sam widzisz, nie przyszło mi to łatwo. Łowy istnieją naprawdę. Mamy powody, by przypuszczać, że sporo kolejnych Łowów, tak nazywają

swoje zamachy, będzie wykonanych.

Coelli żuł właśnie jasnożółte cuchifrito, gdy Johnny Romero zatrzymał przed nim żółty kabriolet marki Ford, z czerwonym paskiem wyścigowym po bokach.

— Co słychać? — zapytał Blake.

— Będzie impreza — powiedział Romero. — Ma przyjść Blackwell.

— Jedziemy.

Rozdział 42

Blackwell rozejrzał się po nie znanej mu sypialni. Na podłodze wały się porozrzucone ubrania, z których większość należała do kobiety, a pozostałe do niego. Leżał więc nago w czyimś łóżku. Długie cienie, które słońce rzucało na zewnątrz, wskazywały na późne popołudnie.

Z sąsiedniego pokoju usłyszał głos Mercedes:

— Hej, zbudziłeś się wreszcie? Kawy?

— Tak, proszę — odparł Blackwell. Podeszła do łóżka z parującym dzbankiem. Miała na sobie jasnozielony dres z gładkiego materiału. Wyglądała tak, że wprost marzyło się spędzenie z nią dłuższego czasu na pustyni lub w gdzieś w górach, gdzie trwają dni bezustannych godów, a noce są pełne westchnień do księżyca.

Podczas gdy Blackwell ubierał się w pokoju, Mercedes szybko uprzątnęła kuchnię. W ciągu długiej nocy i poranka zdołała sprawdzić każdy centymetr jego ciała i ubrania. Charakterystyczna metka od Bambergera w Newark potwierdzała, że w New Jersey był tymczasowo lub też niedawno przyjechał. Broń miał doskonałą, szczególnie tę ukrytą w zegarku Rolex. Miała zamiar poprosić Korporację Bahama o podobną. Ale dla kogo mógł pracować?

Blackwell spojrział na zegarek.

— Czas już wracać do hotelu. Mam jeszcze coś do załatwienia przed przyjęciem.

— Ja też jestem zajęta. Spotkamy się później.

Frank okazał się bardziej interesujący, niż się tego spodziewała. Bez wątpienia miało to coś wspólnego z chemią ciała. Jedno z tych osobliwych uczuć, o których czytała w romansach, ale sama nigdy jeszcze tego nie doświadczyła, a nawet się nie spodziewała. Dobrze, że nie wypaplała mu wszystkiego o sobie podczas wzniosłych chwil miłosnych zapasów. Rumieniła się teraz na samą myśl o dziwactwach z ośmiornicami i sushi.

Wciąż nie wiedziała, dla kogo pracował. W szczytowym momencie raczej nie pytasz: „Kochanie, kim ty, do cholery, naprawdę jesteś?”.

Zaczekała aż usłyszy dźwięk odjeżdżającego samochodu, po czym nałała sobie kawy i zadzwoniła do Alvareza.

Rozdział 43

Zapadał zmierzch. Złote promienie zachodzącego słońca przenikały przez żaluzje w oknach salonu Framijiana. Ubrany w lekkie spodnie i sportową hawajską koszulę Minska kończył właśnie pakować swój strój podwodny do taniej, plastikowej torby. Framijian i Rosalie, wciąż spięci razem, obserwowali z kanapy jego przygotowania. Oboje doskonale wiedzieli, że zbliża się najgroźniejszy moment. Co ma zamiar z nimi zrobić przed odejściem?

— Pewnie się zastanawiacie, co z wami zrobię? — zapytał Minska.

— Nie, skąd — odparł Framijian, starając się nadać głosowi pewność, której wcale nie czuł. — Współpracowaliśmy z wami, tak jak chcieliście. Obiecaliśmy, że przez dwadzieścia cztery godziny nie ruszymy się z miejsca. Siedzimy tu skuci na kanapie, nie możemy się nawet poruszyć. Więc chyba wszystko w porządku, co?

Minska wyjął nóż z ostrzem jak brzytwa:

— Hej, zaczekaj! — zawołała Rosalie.

— Przykro mi, ale muszę to zrobić. — Minska przeszedł przez pokój i przeciął linię telefoniczną. Przyjrzał się im uważnie.

— O co znów chodzi? — zapytał Framijian.

— Zastanawiam się, czy przypadkiem nie pochowaliście tu gdzieś spinek. Pięć minut po moim wyjściu już by was tu nie było.

— No wiesz! — szczerze oburzył się Framijian. — Dałem ci słowo, że przesiedzę jakoś te dwadzieścia cztery godziny.

— Cóż innego mógłbyś powiedzieć w takiej sytuacji — odrzekł Minska. — Sądzę, że muszę użyć pewnego zabezpieczenia.

Otworzył torbę, chwilę w niej pogrzebał i wydobyl mniejszą torbę, a z niej dwa przedmioty z czarnego metalu z dwoma pokrętłami i przyciskami. Nastawił pokrętła, podszedł do Framijiana i Rosalie, położył maszynkę na poduszce i włączył drugi przycisk.

Rosalie rozplakała się, a Framijian zaczął prychać.

— Nie martwcie, nic wam się nie stanie — zapewnił ich w końcu Minska. — To tylko zabezpieczenie. Nic wam się nie stanie, jeśli nie będziecie się ruszać.

— Co to takiego? — zapytał Framijian.

— Mała bomba. Inna niż ta, którą posłużyłem się zeszłej nocy. Tę uzbrojono za pomocą C-27. Rozbroi się sama po dwudziestu czterech godzinach, jeśli wcześniej jej nie uruchomicie.

— Co mamy robić, żeby jej nie uruchomić? — zapytał Framijian.

— Wbudowano w nią wahadełko wrażliwe na ruch, zamknięte w stożku przewodzącym. Dopóki siedzicie bez ruchu, wszystko jest w porządku. Ale kiedy się poruszycie czy zrzucicie poduszki, bomba eksploduje. Nazywamy ją „strażnikiem bezruchu”.

— Zaczekaj! — zawołał Framijian. — A jeśli jedno z nas uśnie?

— Mała drzemka nie zaszkodzi — odrzekł Minska.

— Nie możesz nas po prostu tak zostawić! — wychrypiał Framijian.

— Lepsze to niż kulka w łeb, co zapewne miałyby miejsce, gdyby nie moje zasady moralne.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 44

Kolejny raz zadzwonił dzwonek naśladowujący bicie dzwonów. Framijian już dawno planował go wymienić, ale wiadomo, jak to jest, gdy ma się bardzo dużo zajęć. Spojrzał na Rosalie, kierując w jej stronę tylko gałki oczne. Na kanapie między nimi leżała bomba–pułapka.

— Myślisz, że moglibyśmy spróbować oboje wstać jednocześnie? — zasugerowała Rosalie.

— Lepiej nie próbujemy — odrzekł Framijian. Odchrząknął i zaczął krzyczeć: — Pomocy!

Znowu usłyszeli dźwięk dzwonka, tym razem bardziej nagłący. Rosalie krzyknęła przenikliwie:

— Ktokolwiek tam jest, niech nam pomoże!

— Oni nas nie słyszą! — powiedział Framijian. — Daruj sobie.

— Czuję się lepiej, kiedy krzyczę.

Usłyszeli chrobotanie przy drzwiach.

— Co to? zapytała Rosalie.

— Próbują wylać zamek. Nie mają szans.

Po chwili usłyszeli łomot, jakby coś ciężkiego uderzyło w drzwi. Słysząc było odgłos silnika. Znowu łomot, tym razem o wiele głośniejszy. Skulili się ostrożnie na kanapie. Za chwilę drzwi wyleciały z zawiasów i upadły na dywan w salonie. Zobaczyli prostokąt światła, częściowo przysłonięty przez jeden z ostatnich modeli buicka bushmastera, solidnie wgniecionego od wyważania drzwi.

— Chyba zaraz zemdleję! — oświadczyła Rosalie.

— Zaczekaj jeszcze chwilę — poprosił Framijian. — Mamy tu pułapkę, pamiętasz?

— Dlatego też mam zamiar zemdleć!

— Wytrzymaj jeszcze trochę!

Samochód wycofał się. Do środka wbiegło dwóch mężczyzn. Jeden w białej koszuli guayabera, drugi w czerwonożółtej sportowej koszulce z krótkimi rękawami. Obydwaj uzbrojeni.

— Stop! — wrzasnął Framijian. — Bomba–pułapka!

Rozpędzeni mężczyźni omal nie wpadli na kanapę, w ostatniej chwili zdołali jakoś wyhamować. Alvarez zapytał:

— Gdzie ta bomba?

— Tu, na kanapie — odparł Framijian.

— Co mam z nią zrobić?

— Nie waż się niczego z nią teraz robić! Niech jeden z was przytrzyma ją na miejscu, a ty, Alvarez, pomóż mnie i Rosalie wstać.

Gdy schodzili z łóżka, bombę przytrzymał Manitas, pomocnik Alvareza. Wyszli na zewnątrz, oddalili się na bezpieczną odległość i zadzwonili po Gucciardiego.

— I co ja mam z tym zrobić? — zapytał Gucciardi z salonu.

— Po prostu połóż ją powolutku na ziemi i wychodź stamtąd.

— Już idę szefie. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej pułapki. Położę ją tutaj i...

Uuups! — Eksplozja zmiotła całą przednią ścianę.

Po kilki minutach upiornej ciszy, Framijian powiedział:

— No cóż, to wyjaśniło kwestię, czy bomba była prawdziwa, czy nie. Chodźmy Alvarez, ruszmy się.

Alvarez ciągle jeszcze przeżywał wybuch i nagły brak Gucciardiego, młodego człowieka wykazującego zdolności kryminalne, lecz, niestety, nie manualne.

— Musimy pozbyć się tych kajdanek — zwrócił się do Framijiana.

— Nie przejmuj się nimi teraz — odrzekł Framijian. — Masz samochód? Chodźmy, trzeba się pośpieszyć.

— Dokąd?

— Chcę odnaleźć tych sukinsynów. Koniec z panem Przyjemniaczkiem. Dorwiemy tych palantów.

— Yitzhak! — powiedziała Rosalie. — Jeśli wyjdiesz, to koniec.

— Zamelduj nas w „Fontainbleau”. Gdzieś się musimy podziać, zanim ktoś naprawi dom.

Rozdział 56

Blackwell znalazł Minskę w pokoju hotelu „Nemo”. Minska spokojny i rzeczowy, Frank spięty, nerwowy i nieco ponury.

— Masz roleksa? W porządku. Co z odłamkowym zippo? Też w porządku. Weź jeszcze to.

Otworzył bogato wyposażoną skórzaną teczkę, której Frank miał użyć, gdyby Guzmán wypłacił resztę w gotówce. Pokazał Blackwellowi, gdzie nacisnąć rączkę. Frank zrobił to i górna część odsunęła się, odsłaniając leżący w schowku mały, bardzo płaski spectre SMG, nowość włoskiej firmy Sites Sp.A., który mógł wystrzelić dziewięćset pocisków na minutę. Czterokomorowy, skopiowany z pistoletu magazynek mieścił pięćdziesiąt pocisków.

— Cóż, nie jest to broń snajperska — zauważył Minska — przydatna jednak, gdy robi się gorąco. Nie sądzę, żeby ktoś mógł go znaleźć nawet za pomocą aparatu rentgenowskiego. Z wyjątkiem lufy, reszta zrobiona jest z plastiku. Ładunki: 9 x 19 parabellum. Sinusoidalne rowki wewnątrz lufy chronią go przed zużyciem, choć w tej chwili nie ma to zbytniego znaczenia. Po naciśnięciu tutaj, pierwszy nabój zostaje wprowadzony do lufy, a kurek unosi się. Żeby opuścić go bez oddawania strzału, należy przełożyć tę dźwignię. Strzela się łatwo. Nie ma bezpiecznika, bo to jest mechanizm spustowo-uderzeniowy podwójnego działania. Nie trzeba nic oliwić, ponieważ zrobiony jest z samosmarujących się metali.

Blackwell podniósł pistolet, który okazał się lekki i dobrze wyważony. Schował go do kabury, wcisnął na miejsce i zamknął teczkę.

— Dobrze — powiedział. Uległ zmiennym nastrojom. Raz był spięty i nerwowy, a po chwili popadał w apatię.

— Coś nie tak? — zapytał Minska.

— Właściwie nie. Po prostu trudno tak zwyczajnie wyciągnąć broń i zabić człowieka, choćby nie wiem jak na to zasługiwał.

— Wiem — odparł Minska. — Coś jak etyka kowboja: dać drugiemu szansę, nawet pozwolić mu wyciągnąć broń, a potem zastrzelić go w mgnieniu oka. To są uwarunkowania kulturalne, nie pozwól, by na ciebie wpłynęły.

— Nie pozwolę — odrzekł Frank.

— Pamiętaj, chciałeś zostać najemnikiem. Oni też nikomu nie dają szans. Najemnik zawiera kontrakt na zabójstwo i robi to. To samo robi Łowca.

— Poradzę sobie — powiedział Frank. — Będiesz tam?

— W pobliżu. Jeśli wpadniesz w tarapaty, pomogę ci. Cokolwiek się zdarzy, będę cię osłaniał. W cokolwiek się wpakujesz, ja cię z tego wyciągnę. Bez obaw.

— Minska, niedobrze mi.

— Dobra, pośpiesz się i miej to z głowy.

Blackwell pobiegł do łazienki. Wrócił po kilku minutach.

— Rzygnąłeś sobie?

— Miałem tylko torsje. Już w porządku. Ale wydaje mi się, że to moje pierwsze i ostatnie Łowy.

— Pierwszy raz jest zawsze najgorszy — powiedział Minska. — Czas na ciebie.

— Wszyscy patrzą na ciebie, dzieciaku — rzekł Blackwell, bez żadnego związku, po czym wyszedł, wsiadł do wynajętego samochodu i odjechał.

Minska obserwował jego wyjście. Najlepsi zawsze mieli temperament. W głębi serca w ogóle nie byli źli. Miał tylko nadzieję, że Blackwell wykona zadanie i wszystko dobrze się skończy. Lubił go i było mu trochę przykro, że nie mógł powiedzieć Frankowi wszystkiego. Korporacja Łowów prowadziła przebiegłą grę.

Rozdział 46

Jeśli ta ciota spróbuje tego jeszcze raz, dołożę mu — rzekł Coelli. — To nie ciota — odrzekł Blake. — Wielu Latynosów nosi marszczone koszule z frędzlami.

— A szczypią cię w tyłek?

— Po prostu chciał, żebyś poczuł się jak u siebie, wyluzuj się. Blake i Coelli przyjechali na przyjęcie roczną toyotą Blake'a.

Wyglądała jak kupa złomu wśród tych wszystkich ferrari i maserati, nie mówiąc już o takich markach jak cadillac i buick. Kilku facetów zajmowało się wyłącznie parkowaniem tego wszystkiego. Przyjechało mnóstwo gości. Wielu z nich nosiło koszule z frędzlami, kobiety wyglądały jak orchidee na wysokich obcasach.

Tito sprawdzał listę gości; kiedy zobaczył Blake'a, uśmiechnął się.

— Nie ma cię na liści, ale chyba możesz wejść.

— No myślę — odparł Coelli. Spojrzeli na siebie groźnie. Dwóch osiłków z reputacją prawdziwych twardzieli, którą musieli utrzymać. Z ich wzroku można było wyczytać: „Pogadamy później”. Blake machnięciem ręki odgonił parkingowego i sam zaparkował swój złom.

— Nieźle tu sobie używają — zauważył Coelli. Znajdowali się tuż przy wejściu do salonu. W przeciwległym końcu jakaś brazylijska grupa grała do tańca. Perkusja, trąbki, gitary, saksofony trzy bębny różnych rozmiarów, muzycy poubierani jak motyle królewskie podczas linienia i wokalistka z długimi, czarnymi włosami, sterczącymi cyckami i chropawym, poruszającym głosem, który wywołał u Coellego zgrzytnięcie zębami i erekcję.

— A oto i nasz gospodarz — powiedział Blake. Guzmán podszedł do nich i uściskali sobie dłonie.

— Miło pana widzieć, Blake.

— Mnie również, wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście. Nie wiem, czy znacie tutaj wszystkich.

— Kim jest ta ładna dama w czarnym aksamicie? — zapytał Coelli.

— To Mercedes Brannigan. Pracuje dla Korporacji Bahama.

— Ciekawe, czy akurat w tej chwili... — rozmarzył się Blake.

— Ten lekko zgarbiony gość ze zmartwioną twarzą to Frank Blackwell, współpracownik naszego wspólnego znajomego, Framijiana.

Blake zamyślił się.

— Czy możemy przez chwilę porozmawiać na osobności? Coelli, zaczekaj tu na mnie.

Coelli odprowadził ich wzrokiem i wziął sobie duży rum w matowej szklance. Podeszedł do niego Juanito:

— Dzień dobry — powiedział.

Coelli skinął głową i zapytał:

— Który to Blackwell?

— Ten w drugim końcu pokoju.

Przyjrzał mu się. Nie wyglądał na kogoś, z kim mogliby mieć kłopoty.

Frank musiał przyznać, że przyjęcie rozwijało się w niesamowitym tempie. Gdy tylko stanął w drzwiach, ktoś wcisnął mu do ręki dwa skręty. Zaraz po tym podeszła młoda, śliczna dziewczyna z małymi piersiami wystającymi z czerwonej, głęboko wyciętej sukienki. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Jesteś w samą porę.

— Porę na co?

— Na to — odparła i wcisnęła mu do ust małą kapsułkę. Próbował wyjąć ją palcem, ale pękła i poczuł, że coś gorzkiego z dziwnym posmakiem rozlewa się mu po kubkach smakowych.

— Co to było? — zapytał, ale dziewczyna już zniknęła; pobiegła poczęstować kapsułką kogoś innego.

Obmacywano nie tylko Coellego. Mercedes uczestniczyła już w wielu przyjęciach, ale nigdy jeszcze w takim. Przechodziła przez różne pokoje, próbując mieć Franka na widoku. Czuła na sobie pijackie obmacywanie, pociła się i rosło w niej rozdrażnienie. Wcześniej wzięła kilka działek kokainy, po których poczuła się lepiej, ale to już minęło i teraz zaczynała się trząść.

Duży mężczyzna z czarnymi, kręconymi włosami objął ją mocno, chwycił za lewą pierś i powiedział coś w niezrozumiałym dialekcie, być może w Guarani, sądząc po lekko sepleniącej spółgłosce szczelinowej. Odwróciła się i chwyciła go za krocze. Najpierw uśmiechnął się zdumiony, później oczy mu się rozszerzyły z niewiarygodnego bólu przekraczającego granice wytrzymałości, które uwrażliwiła podejrzana mieszanina kokainy, amfetaminy i methaqualonu. Przewrócił oczami i upadł.

Wszędzie rozdawano narkotyki. Po co być bogatym kryminalistą, jeśli nie można by nimi częstować gości. Na uwagę zasługiwała już sama marihuana i wiele jej odmian. Dwa rodzaje pączków oregonu, z których jeden wzmocniono pewnym składnikiem chemicznym, wzmagającym działanie. W czarnych, plastikowych torbach na śmieci znajdowały się legendarne gatunki, takie jak Panama Red, Acapulco Gold, Michoacan Green, New Jersey Taupe. Był też kwas. W odniesieniu do pewnych spraw Guzmán pozostał tradycjonalistą, czasem wręcz odczuwał nostalgię.

Cokolwiek dała mu dziewczyna w czerwonej sukience z tafty, zaczynało działać. Blackwell nagle poczuł się bardzo dobrze. Nadażał teraz za każdą rozmową i wszystkie wydały mu się niezwykle ważne.

„...powiedział Manolo, że byk rzucił się na lewo, ale ten oczywiście nie posłuchał; patrz teraz, powiedział, i kiedy wszyscy w Plaža Mexico wrzeszczeli, on...”.

„...rozpędził ją do ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, tak że podskakiwała na falach jak jakiś pieprzony latający spodek, oni zaczęli zostawać w tyle, to znaczy gliniarze w małych łódeczkach, co nie wyciągną więcej niż siedemdziesiąt pięć na godzinę. Podpływamy już do tego wąskiego przesmyku Intracoastal Waterway w Surfside i widzę, że rząd beczek całkiem blokuje mi drogę; no to...”.

„...podszedł do mnie i mówi: hej, mała, co powiesz, żebyśmy zrobili to po kubańsku? Na to ja: co to znaczy po kubańsku? Na to on: chodź ze mną mała i zaprowadził mnie do pokoju, gdzie stała kadź z czarną fasolą i gość, co mieszał ją maczetą. Na to zaczęłam się trochę o to wszystko martwić, no wiesz, więc on...”.

„...byk nadbiega jak tona czarnego mięsa z kopytami jak młoty kowalskie i rogami jak maczety, a Manolo leży na plecach, uśmiecha się i macha muletą, którą sobie ułożył na podeszwach. Tłum szaleje, kiedy byk...”.

„...rzucić łódź w zakręt, spuściłem na nich chyba tonę wody, a gdy byliśmy po drugiej stronie mostu, widzę, że mają więcej łodzi i zaczynają strzelać z automatów z wybrzeża, tyle że nie mogli mnie dostać, bo łódź pędziła jak błyskawica...”.

„...dzięki Bogu, fasola była letnia, ale on zaczął się pakować do kadzi z tym swoim włóchatym dupskiem, a jego kumple stali dookoła i rzucali w nas gardeniami, więc myślę sobie, że to nie jest chyba najprostszy sposób na zarobienie paru stów, lecz co robić...”.

„...byk ciągle pędził jak naoliwiona śmierć na szynach kolejowych, wrzask na trybunach niczym w dniu sądu do trzeciej potęgi, ludzie niemal dostają zawału, a Manolo stoi teraz na głowie, macha muletą w zębach i...”.

„...chcecie ciężko, mówię sobie, to macie ciężko. Wycelowałem łódź w sam środek tej pieprzonej Straży Przybrzeżnej i musiałem wyskoczyć. Dobrze, że miałem na sobie ten ciśnieniowy kombinezon lotniczy, bo kiedy uderzasz w wodę z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów,

podskakujesz jak pieprzona kaczka na wodzie. Uczucie nie do podrobienia, coś wielkiego, chociaż nie chciałbyś tego robić codziennie...”.

„...skoczył na nogi, wyczuł moment i podskoczył, a i kiedy byk przebiega pod nim, przebija go szpada i niech mnie cholera, jeśli nie trafił frajera prosto w wybrane miejsce za łopatką, a szpada wchodzi jak rozgrzany nóż w masło. Publiczność eksploduje, no i właśnie wtedy generał Obregón postanowił rozpocząć tę swoją rewolucję...”.

„...wraca do mnie i mówi, wpychając kilka dodatkowych setek pod bluzkę, następnym razem spróbujemy w stylu mongolskim, w gorącym kotle...”.

— Dobrze się pan bawi, Blackwell?

— Świetnie, świetnie — odpowiedział Frank, starając się przekrzyczeć pięcioosobową grupę meksykańską, grającą podczas przerwy brazylijskie combo.

— Miłej zabawy. — Guzmán poklepał go po ramieniu i zniknął w tłumie.

Blackwell zorientował się, że nigdy nie będzie miał bardziej sprzyjającej okazji do likwidacji Ofiary. Podążył za nim do kuchni, gdzie służba krzątała się z tacami *kasha varnishka*, pieczonymi prosietami i dymiącej juki. Inni roznosili butelki ognistej *cachaza*, sprowadzonej przez osobistego szmuglera Guzmána z Bahia, mieszała kadzie czarnej fasoli i kotły ryżu, wyciągali z mikrofalówek frankfurterki, przyrządzali popcorn i zajmowali się wszystkim, czym zwykle zajmuje się służba.

Blackwell czuł się nieco oszołomiony. Nie potrafił sobie przypomnieć, co skłoniło go do wzięcia tych narkotyków. Wbijano mu do głowy podczas treningów, że Łowca musi w pełni kontrolować to, co robi podczas misji. W ludziach tkwiła naturalna zdolność do przesady, chcieć więcej, piąć się wyżej, doświadczyć boskiego, zimnego, białego kopa kokainy, rozszerzającego granice pojmowania kwasu, podróży do krainy marzeń dzięki klasycznej marihuanie.

Powinien jednak ustrzec się przed ich zażywaniem, a przynajmniej tego od niego oczekiwano. Choćby przed większością tych środków. Jak daleko sięgał pamięcią, brał tylko najmniejsze dawki, ponieważ wyglądałoby podejrzanie, gdyby nie wziął nic. Usiłował sobie przypomnieć: najpierw kapsułka, tak, potem skręt wielkości cygara Montecristo Imperator, garść wybornej kokainy z tych szklanych półmisków, no i jeszcze czarne kulki haszyszu z Afganistanu i te złote z Kaszmiru. Sporo tego, ale potrafił sobie z tym poradzić, czuł się dobrze.

Chodził po pokoju, prawie frunął. Miał uczucie, że znajduje się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, porusza się wyłącznie siłą umysłu. Słyszał teraz dwie orkiestry. Jedna grała combo, a druga z wieży stereo coś dziwnego, azjatyckiego.

Sytuację miał doskonałą: tłum, ludzie chodzący w tę i z powrotem, ochroniarze próbujący opanować zbyt duże terytorium, każdy pijany albo na haju, głośna muzyka mogąca zagłuszyć dźwięk dwu — strzałowej broni ukrytej w roleksie, który ponadto odmierzał czas nawet na głębokości

sześciuset metrów.

Podążył za Guzmánem, mając wrażenie, że unosi się nad białymi klepkami podłogi. Doznawał także innych dziwnych wrażeń. Głowa przestała mu ciążyć i poczuł, jak szyja wyciąga się w górę. Patrzył nad głowami tłumu, rozszalałym kłębowiskiem gości. Skurczył się do normalnej wielkości i zorientował się, że zgubił Guzmána. Musiał jednak gdzieś być. W tym domu liczba pokoi zdawała się nieskończona, zupełnie jak korytarze w „Ostatnim roku w Marienbadzie”. W końcu przeszedł obok basenu i otworzył drzwi prowadzące do *cabana*. Ze środka dochodził męski głos. Frank odbezpieczył roleksa i wszedł do środka.

Rozdział 47

Ależ panie Blackwell, co pan tu robi? — zapytała senora Guzmán. Przylapany niespodziewanie, Frank odparł:

— Chciałem jeszcze raz panią zobaczyć, senora.

Popatrzyła na niego przez chwilę i wybuchnęła śmiechem.

— Powinien pan być Latynosem, ma pan bowiem prawidłowy odruch: przylapany wymawia się amorami. To jest ojciec Philus, który czytał mi głośno z „Dusz i Kwiatów”, wydanej ostatnio historii życia ojca Pedro Murriety z Chihuahua. Proszę nas na chwilę zostawić, ojcie. Muszę porozmawiać z naszym gościem.

Ojciec Philus, wysoki, brodaty ksiądz powiedział:

— Ale byliśmy właśnie w momencie, gdy ojciec Murrieta zostaje wciągnięty w walkę o życie dwudziestu pięciu pojmanych zakonnicy z szefem Apaczów Chiricahua, znanym jako „Ten–który–nie–mruka”.

— Wiem, wrócimy do tego później. Ojciec Philus niechętnie wyszedł z pokoju.

— Niech pan mi powie, co zamierza pan zrobić z Alfonsem — zapytała Caterina.

Po wyrazie jej twarzy Blackwell poznał, że wiedziała o zamiarze zabicia Guzmána. Przychodziło mu do głowy wiele kłamstw, ale wszystkie okazałyby się daremne. Nie sposób było oszukać tę damę w czerni, z nosem i oczami sokoła. Spróbował coś wymyślić, żeby zyskać na czasie, lecz dziwny odruch kazał mu powiedzieć:

— Szczerze mówiąc, planowałem zabić go dziś wieczorem.

— Ach, to doskonale — odparła dona Caterina.

— Słucham?

— Nie pozwala się nam na rozwód, ale czasem możemy użyć przemocy. Nic nie mogę poradzić na to, że chce go pan zabić, jest pan zdeterminowany i jeśli spróbowałabym temu przeszkodzić, zabiłby mnie pan, a potem zajął się Alfonsem. Tak według mnie działa wyszkolony zabójca.

— Ja tylko żartowałem — wtrącił Blackwell.

— Wiem o panu wszystko.

— I co pani zamierza z tym zrobić, senora Guzmán?

— Zrobić? Nic! Bardzo mnie to cieszy. Wysłałam za Guzmána jedynie z powodu Hektora.

— Hektora?

— To syn mojego ojca z pierwszego małżeństwa, z cieszącą się złą sławą Imeldą. Hektor i ja dorastaliśmy razem. Zawsze był chorowity, szalony i inteligentny, ale i tak go kochaliśmy. Później ojciec wysłał go na uniwersytet do Paryża.

— Naprawdę?

— Tak, a kiedy Hektor wrócił do domu, głowę miał pełną szalonych idei o równości ludzi, nawet Indian Miskito. Rzucił posadę inspektora załadunku w porcie La Unión, którą znalazł dla niego ojciec, i wyjechał do Waspam, nędznej miejsciny na Rio Coco, gdzie dołączył do MISURASATA.

— Do czego? — zapytał Blackwell, któremu zaczęło robić się niedobrze. Powinien już zabrać się do wykonania zadania, lecz nie wiedział, jak pozbyć się doni Cateriny, nie obrażając jej lub nie zabijając.

— To skrót nazwy: plemiona Miskito, Sumu, Rama, Sadinista pracują razem. Kiedyś była to organizacja lewicowa, ale przejęli ją rebelianci. Cóż, Hektor wygłosił kilka przemówień w ich imieniu, został aresztowany przez Gwardię Narodową i wysłany do wzorcowego więzienia w Managua. Nie jest to miejsce dla delikatnego intelektualisty, panie Blackwell. Nawet zdrowy chłop nie pożyje tam dłużej niż sześć miesięcy.

— Mój ojciec wiedział, że komendantem więzienia jest pułkownik Guzmán, który zadurzył się we mnie, co było rzeczą powszechnie znaną jeszcze z czasów, kiedy razem chodziliśmy do szkoły w La Escuela de los Martires przy Calle 42 na przedmieściach Santiago de Ochoabamba. Nie zwracałam na niego uwagi, bo należałam do jednej z wielkich rodzin, a on był nikiem, synem armeńskiego kupca. Musieliśmy jednak ratować Hektora i dlatego wysłałam za Alfonsa.

— Niech pani posłucha — przerwał Blackwell. — Bardzo miło się z panią rozmawia, ale ja naprawdę teraz...

— Z początku nie było tak źle — kontynuowała dona Caterina. — Alfonso z pomocą przyjaciół z CIA ściągnął Hektora do Miami, dał mu przytulny domek koło Brandenton z polem golfowym po jednej stronie i obozem szkoleniowym dla rebeliantów po drugiej. Niestety, Hektor uciekł i usłyszeliśmy o nim dopiero po sześciu miesiącach. Przyłapano go podczas próby napadu na Taco Bell w Key Largo, gdy zbierał pieniądze dla Greenpeace. Teraz siedzi w więzieniu w Tallahassee i jest to wyłącznie wina Alfonsa, że w ogóle sprowadził go na Florydę. Jeśli więc naprawdę chce go pan zabić, to znaczy Alfonsa, nie mam nic przeciwko temu. O ile się to panu uda.

— Co to ma znaczyć, o ile mi się uda?

— Niełatwo jest zabić Guzmána. W przeciwieństwie do pana, Blackwell, jemu zabijanie przychodzi z dzieciłą łatwością. Może się panu wydawać, że poluje pan na niego, ale niech pan nie będzie zbyt pewny siebie. Alfonso o wiele dłużej bawi się w tę grę.

Frank wyszedł kontynuować poszukiwania. Twarze podpływały i odpływały, pulsując w łacińskim rytmie staccato trzeciej orkiestry, tym razem z Haiti: bębny, flety, misy i twarde, czarne torsy w koszulkach. Pokój kołysał się w rytmie sięgającym jeszcze odleglejszych czasów, gdy Kanał Panamski był bagnem, a Kanał Sueski rodził się dopiero w umyśle utalentowanego de Lessepsa oraz czasów pierwotnych, kiedy kanał na Wołdze wykopano kosztem życia milionów brodatych chłopów — robotników.

Nagle Blackwell znalazł się w sypialni, w której stały niskie łóżka przykryte narzutami z niedźwiedzi polarnych. Dwoje lub więcej gości leżało pod nimi w wieczorowych pelerynach, chichocząc zdejmowali z siebie ubrania, czasem tylko odsłaniając nogę w jedwabnej pończosze albo zakrytą pierś. Frank przepchał się między nimi, popędzany rodzącą się w mózgu myślą.

Znalazł się w następnym korytarzu i przez uchylone drzwi zobaczył Guzmána leżącego na łóżku.

Mercedes nie mogła go nigdzie znaleźć. Wydawało się, że Frank zapadł się pod ziemię. Poszła więc tam, gdzie, według niej, on mógł pójść. Korytarz oświetlały płonące pochodnie osadzone w ścianie na ludzkich ramionach. Przynajmniej dekorator Guzmána okazał się fanem Cocteau.

Zobaczyła go pochylonego, jak gdyby coś oglądał na łóżku przykrytym skórami niedźwiedzi polarnych. Wyciągnęła z torebki niewielką broń, która wyglądała jak mała, srebrna papierośnica. Nie należało jednak zapalać wyciągniętych z niej papierosów. Ich końcówki wypchano tytoniem po to tylko, żeby ukryć małe, stalowe strzałki uszczelnione watowaniem z wełny owczej. Przykładało się taką śmiertelną zabawkę do ust, celowało, używając nosa jako wskaźnika, dmuchało i wylatywała mała strzałka, gubiąc po drodze ochronny płaszcz tytoniu. Była to broń krótkiego zasięgu, idealna na takie przyjęcia. Tył szyi Blackwella, wymagający zresztą wizyty u fryzjera, prezentował się jako dogodny cel. Wzięła głęboki oddech i przyłożyła papierośnicę do ust.

Mężczyzna leżał twarzą do dołu, małe stopy w pantoflach z lakierowanej skóry zwisały po bokach łóżka. Bez wątplenia był to nieprzytomny Guzmán, ale Frank musiał się upewnić. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na zabicie niewłaściwego człowieka, a czasami, szczególnie w podnieceniu towarzyszącym wykonywanemu zadaniu, mogło się okazać, że tylna część karku należała do kogokolwiek innego. Trzymał jednak broń w pogotowiu, nie roleksa, lecz sprzączkę od paska, wykonaną przez firmę Smith & Wesson, wyposażoną w dwa pociski. Jeden zawierał błyskawicznie działający gaz porażający nerwy, drugi zaś pocisk kalibru dwadzieścia dwa z miękką, ołowianą końcówką, naciętą tak, że siła uderzenia powiększała obszar rany do rozmiarów uzyskiwanych przez kaliber czterdzieści pięć, wystrzelony z odległości sześciu metrów. Frank przełączył miniaturowy przełącznik na gaz, żeby nie pozostawić żadnych śladów.

Najpierw jednak musiał obrócić leżącego człowieka i sprawdzić jego tożsamość.

— Przepraszam, panie Guzmán, chciałem pana zapytać...

Odwrócił coś, co w ogóle nie było człowiekiem, tylko naturalnej wielkości manekinem, malowaną kopią Guzmána.

Oniemiały zrobił krok do tyłu i spostrzegł Mercedes z niezbyt inteligentną miną, trzymającą przy ustach papierośnicę.

— Właśnie dziękowałem naszemu gospodarzowi za uroczy wieczór — zdążył powiedzieć i osunął się na podłogę, żeby rozpocząć podróż windą czasu do samego dna świata, co jest powszechnie znanym skutkiem działania methaqualonu w połączeniu z innymi narkotykami.

Rozdział 48

Chodźmy — rzekł Blake. — Wynosimy się stąd.

— Po co ten pośpiech? — zapytał Coelli z ustami pełnymi *kasha varnishka*. — To kubańskie żarcie, czy coś tam, jest całkiem dobre.

— Weź trochę w serwetkę.

W samochodzie Coelli zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie.

— Myślałem, że mamy zająć się tym Blackwellem.

— Ktoś już się nim zajmuje — odparł Blake.

— Więc dlaczego jesteśmy tu, a nie w środku?

— Polityka agencji każe trzymać się z daleka od brudnych spraw.

— To czemu nie odjeżdżamy?

— Lubię sobie popatrzeć.

Rozdział 49

Blackwell miał bardzo przyjemny sen. Śnił o czymś niebieskim, a także o wielkim psie i o dziewczynie podobnej do Mercedes, choć to nie była ona. Czuł się dobrze i wygodnie, pragnął, żeby sen trwał wiecznie. Czasem sny są tak miłe, że nie chce się ich przerywać i wracać do rzeczywistości. Nieraz nawet zaczynamy wątpić w tak zwaną rzeczywistość. Zupełnie jak Chuang-tze, któremu śniło się, że jest motylem i po przebudzeniu zastanawiał się, kim naprawdę jest: Chuang-tze czy może motylem? Podobnie Blackwell, po ocknięciu się leżał przez chwilę z zamkniętymi oczami i rozważał możliwość nieotwierania ich w ogóle. Miał bowiem przeczucie, że kiedy je otworzy, znajdzie się w nie lada tarapatach.

Usiadł w końcu w łóżku przykrytym jasnokolorowym, meksykańskim kocem, w małym pokoju, który widział po raz pierwszy. Na ścianie wisiał kalendarz sprzed dwóch lat z *carniceria* w Hialeah, którego górną połowę zajmowało zdjęcie Plaza Mayor w Madrycie. Pokój miał tylko jedno okno zasłonięte ciężkimi okiennicami zamkniętymi na kłódkę. Pod ścianą znajdowała się toaletka, na niej zaś leżał hiszpański magazyn filmowy „Novedades”. Wstał i podszedł do drzwi. Zamknięte. Rozejrzał się dookoła, jego uwagę przyciągnęła szafa, w której po otwarciu znalazł mnóstwo dziewczęcych ubrań z falbankami. Usiadł przy stoliku i spojrzał na własne odbicie w lustrze. Nie wyglądał najlepiej. Bolało go prawe kolano, w które prawdopodobnie uderzył się, gdy stracił przytomność.

Gdzie się znajdował? Na to pytanie musiał jednak odpowiedzieć ktoś inny, bo on nie miał pojęcia. Jeśliby sądzić po kilku wskazówkach, więziła go młoda, hiszpańskojęzyczna dziewczyna, która lubiła się ubierać w cienkie bawełniane bluzki. To tyle, jeśli chodzi o wskazówki.

Przeszedł się po pokoju i usiadł na łóżku. Następny ruch nie należał już do niego.

Rozdział 50

Guzmán siedział przy biurku i przyglądał się Blackwellowi przez niewielki monitor. Kamera została zainstalowana w pomieszczeniu, w którym kiedyś mieszkała Conchita, najładniejsza pokojówka pracująca wtedy dla niego. Guzmán powiedział, że instaluje kamerę, bo podejrzewa ją o kradzież sreber. Wszyscy jednak wiedzieli, że lubił ją podglądać, gdy się przebierała. Wkrótce potem Conchita odeszła, a następna pokojówka, Francesca, spała w drugim końcu domu, w innym pomieszczeniu, nad garażem. Pokój był więc wolny i doskonale nadawał się dla więźnia. Guzmán cieszył się, że znalazł dla niego lepsze zastosowanie, niż gapienie się na sterczące piersi Conchity z dużymi, brązowymi brodawkami. Teraz mógł gapić się na Blackwella. Skręcił ogromnego papierosa z pięciu arkuszy bambu. Obficie posypał je kokainą i skleił olejem haszyszowym. Nie pobłażał sobie zbyt często, ale jeśli już to robił, lubił poczuć efekt. Zapytał:

— Zbudził się już?

Tito odwrócił się do ekranu.

— Właśnie dochodzi do siebie.

— Dobrze. Teraz chcę, żebyście dobrze mnie zrozumieli. Nie ma mowy o Łowach. Blackwell nie zdaje sobie sprawy, że wiem, dla kogo pracuje. Będziemy zachowywać się tak, jakby dalej był dealerem na naszej łasce. Udawajmy, że wierzymy, że to Framijian próbował nas wykiwać, choć, prawdę mówiąc, tak też mogło się stać. Sprawdziliśmy nasze źródła. Transporty broni opuściły magazyny rządowe w Opa-Laka. Pytanie tylko, gdzie się teraz znajdują? Kolejne pytanie, co stało się z moim zadatkiem na sumę dziewięciu milionów dolarów. Pozwólmy więc Blackwellowi uwierzyć, że wszystko jest w porządku i ma szansę wyjść z tego cało. Nie spuścimy go z oka, dopóki nie odzyskamy broni lub pieniędzy. Najlepiej i jednego, i drugiego. Potem go skasujemy.

— A jeśli nie zechce mówić?

— Sądzę, że jesteśmy w stanie go do tego zmusić. Jak pani myśli, Mercedes?

Siedziała w przeciwległym końcu pokoju, popijała wodę sodową i marszczyła brwi.

— Z punktu widzenia Korporacji Bahama — powiedziała — ważne jest, kto go zatrudnia i kto organizuje to wszystko. Warto też dowiedzieć się, czy całą tę operację kierowano przeciwko panu czy przeciwko nam.

— Czy można jeszcze mieć wątpliwości? — zapytał Guzmán. — Ten człowiek z pewnością polował na mnie!

— Nie jest to wcale takie oczywiste, miał w końcu kilka szans. Ujawnił się bardziej, niż wymagało tego polowanie tylko i wyłącznie na pana.

— Kim więc jest ten Łowca?

— Kto powiedział, że w ogóle jest jakiś Łowca! Dostał pan jeden dziwaczny list, a zachowuje się pan tak, jakby do drzwi dobijali się Kozacy.

— Kozacy? Co za Kozacy? — zapytała dona Caterina.

— Proszę, niech pani nie używa metafor przy mojej żonie — poprosił Guzmán. — Ona ich po prostu nie rozumie. Proszą posłuchać, nie życzę sobie, żeby w Korporacji pomyślano, że nie chcę współpracować. Zjemy więc spóźniony obiad z panem Blackwellem i zadamy mu grzecznie kilka pytań.

— A jeśli nie zechce odpowiedzieć?

— Wtedy przestaniemy pytać grzecznie.

Rozdział 51

Tak więc rodzina zebrała się przy stole. Nic specjalnego, mała przekąska w kuchni, wszystko zorganizowane w stylu „sami sobie poradzimy, gdyż służący z dziećmi wyjechali na parę dni do Disneylandu”. Tylko rodzina: Alfonso, Caterina, Juanito, Tito, Emilio i Chaco, jak również szacowni goście, Mercedes i Frank.

Do stołu Juanito podaje chińszczyznę, której zostało mnóstwo, podgrzaną w mikrofalówce. Żeberka po chińsku przyrządzone w czymś, co smakuje jak marmolada pomarańczowa z sosem sojowym. Reszta to zawartość kartonowych opakowań z krojonymi ukośnie plasterkami selerów w sosie. Na deser ciasteczka z wróżbą.

Mercedes je powoli, twarz ma pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

Wszyscy bardzo grzeczni, w kuchni stoi duński piec porcelanowy, mikrofalówka, zmywarka do naczyń i całe mnóstwo innych gadżetów.

Blackwell nie je zbyt dużo, spodziewa się, że niedługo ktoś może zacząć skakać mu po żołądku. Miło chwilę odetchnąć, choć wolałby wiedzieć, co go czeka.

— Nie chcemy żadnych trudności — mówi Guzmán. Wygląda teraz jak uosobienie przyjacielskiego i zatroskanego rozmówcy. — Nie wiem, co o mnie słyszałeś, ale to wszystko nieprawda. Robiłem to, co musiałem. Nie mniej, nie więcej. Jestem zwolennikiem szczerzej rozmowy i jasnych umów. Nie musimy być wrogami. Powiedz nam tylko, gdzie jest broń i czek na dziewięć milionów dolarów. Możemy to jakoś załatwić i dalej robić wspólne interesy. Taki młody, sprytny człowiek mógłby się przydać w naszej organizacji. Można zarobić dużo pieniędzy. Co ty na to, Frank?

Zrobiło się nawet dość przyjemnie, rodzinnie, gdy siedział tak z Guzmánem i Cateriną, a Mercedes naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Frankowi przyszło na myśl, czy rzeczywiście nie przyłączyć się do organizacji Guzmána. Zapomnieć o Claire, Łowcach, o Minsce, uratować życie i trwać dalej, nieważne jak. Poczul pokusę, bo wiedział, co miało być dalej, najpierw ból, potem śmierć.

Czekali na jego odpowiedź. Popatrzył na ich twarze — tacy mili ludzie. Nadeszła chwila kryzysu, moment, który przeżywa każdy Łowca, o czym mówił mu Simmons. Po długim przebywaniu z Ofiarą przychodzi taki czas, gdy zaczyna się widzieć świat z jej punktu widzenia, identyfikować się z nią, a nawet odczuwać sympatię.

Guzmán mówił rozsądnie. Cóż mogło być w tym złego?

Czuł i rozumiał to wszystko, więc Blackwell zdziwił się, gdy usłyszał swój własny głos:

— Wypchaj się i zdychaj, Guzmán.

Tito uderzył go w głowę automatem i znowu stracił przytomność.

Rozdział 52

Kiedy Franka przenoszono do pokoju w piwnicy, Mercedes i Caterina spojrzały na siebie ponad stołem kuchennym.

— No i co zamierzasz teraz zrobić? — zapytała dona Caterina. — Co łączy cię z tym człowiekiem?

Czasami daleko od domu, późną nocą w czasach niepokoju, dwie kobiety potrafią rozmawiać ze szczerością, która zdziwiłaby je o innej porze.

— Mam dowiedzieć się, kim jest i dla kogo pracuje.

— I wtedy?

Mercedes westchnęła i wzruszyła ramionami:

— *Finito.*

— Tak też sobie pomyślałam.

— Kłopot w tym, że trochę go polubiłam.

— Jak więc masz zamiar go zabić?

— To moja praca, w tym nie ma nic osobistego.

— Ale co z miłością?

— Co z nią?

— Czy miłość nie jest nic warta?

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— O uczuciu, jakie żywisz do tego człowieka. To się nazywa miłość, moje dziecko.

— To śmieszne — odparła Mercedes. — Jednorazowa przygoda, nic więcej.

— Twoje spojrzenie, gdy padał po uderzeniu przez Tita, wskazuje na większe zaangażowanie, niż się do tego przyznajesz.

Mercedes zacisnęła usta.

— On jest dość miły. Może i puściłabym go wolno, gdyby to zależało ode mnie. Jeślibym to

zrobiła, miałabym wszystkich na karku, zmarnowałabym sobie przyszłe i obecne życie, o ile wiesz coś o Korporacji Bahama.

Caterina wzruszyła ramionami, wstała i zamierzała odejść, lecz zatrzymała się na chwilę i powiedziała:

— On cię kocha, wiesz?

— Skąd niby miałabyś o tym wiedzieć?

— Wcześniej, gdy odzyskiwał przytomność, wciąż powtarzał twoje imię.

— Naprawdę?

— Tak. W kółko.

— Co mówił?

— Powtarzał: „Claire, Claire”.

— Na miłość boską... — powiedziała Mercedes.

— A może to było: „Clear, clear”. Czasem nie rozumiem angielskiego zbyt dobrze.

— Nieważne — rzekła Mercedes z nadzieją, że sama w to uwierzy.

Rozdział 53

I głównej kwaterze Łowów poniżej północnego New Jersey zadzwonił telefon. Dyżurujący przy centrali telefonicznej mężczyzna podniósł słuchawkę. Spoważniał, gdy dzwoniący przedstawił się. Błyskawicznie przełączył rozmowę do prywatnego pokoju Mistrza Łowów.

Kilka minut później, w bogato wyposażonej sypialni Simmons'a także zadzwonił telefon.

— Tak, Mistrzu... tak, rozumiem.

Zdyscyplinowany Simmons nie zadawał zbędnych pytań. Wstał, ubrał się prędko i zadzwonił na lotnisko Korporacji.

— Grigory? Przygotuj odrzutowiec. Mistrz i ja odlatujemy za godzinę.

Potem zatelefonował do tajnych europejskich kwater Łowów ulokowanych w starym magazynie w Basel w Szwajcarii. Przedstawił się i wypowiedział doniosłe słowa:

— Rano, siódma waszego czasu, rozpocząć Plan Dioscuri. Zaczekał na powtórzenie i potwierdzenie wiadomości, po czym odwiesił słuchawkę.

Twarz nie wyrażała nic, ale serce waliło mu jak młot. To było to, wielka sprawa. Mistrz grał o wszystko.

Rozdział 54

— Wiesz, że jest już czwarta nad ranem? — zapytał Coelli.

Blake zapalił kolejne cygaro.

— I co z tego?

— Siedzimy już na podjeździe Guzmána od trzech godzin.

— No i?

— No i muszę do łazienki.

— Możesz iść za samochód.

— Ktoś zobaczy, że wychodzę. Blake potrząsnął głową.

— Wyłączyłem nad nami światło. Wystarczy, że będziesz trzymał głowę nisko.

— Nie rozumiem, po co tu siedzimy — zastanawiał się Coelli. — Myślałem, że Guzmán sam zajmie się swoimi sprawami.

— Być może Guzmán sam nie wie, w czym tkwi problem. Coelli pomyślał, że jest to dość intrygujące, ale Blake nie rozwinął tematu.

Kiedy Coelli poszedł odlać się na przedni zderzak toyoty Blake'a, zobaczył spadającą gwiazdę i pomyślał życzenie, żeby móc cofnąć wszystko w czasie, odrzucić ofertę agencji i wyjechać do Baltimore, a tam grać profesjonalnie w baseball.

Za późno.

Rozdział 55

— Hej, szefie, spójrz na to — powiedział Tito, podnosząc kolorowy komiks.

Tito i Guzmán siedzieli sami w pokoju i dyskutowali o torturach. Zajęcie wyłącznie dla mężczyzn, dlatego kobiety zostały w kuchni, żeby poplotkować. Zwykle tak robią, gdy ich mężczyźni rozmawiają o torturach. Juanita także odesłano jako zbyt młodego do takiej rozmowy.

— Co to takiego? — zapytał Guzmán.

— W tym numerze „Torture Comics” mają coś zupełnie przyzwoitego. Potrzebny jest jednak sprzęt. Kanał i wahadło.

— Zapomnij o tym. Nie mamy czasu na takie przedstawienie.

— Nie moglibyśmy przynajmniej zrobić „żelaznego robaka” i „zielonego liścia”, jak w Managua?

Guzmán potrząsnął głową.

— Wiem, że to świetny numer, ale wymaga kawałków bambusa, którego nie mamy w menu.

— To może „szczur” i „tonący okręt”?

— Ten sam kłopot. Specjalny sprzęt; gdzie o tej porze znajdziemy składnik uszczelniający?

Tito myślał przez chwilę, z widocznym na twarzy wysiłkiem. Nagle krzyknął:

— Wiem! Przyniosę mojego Black & Deckera i pokażemy mu, jak bawić się w stomatologię jamy nosowej!

— Nie znoszę dźwięku wiertła przechodzącego przez przegrodę — rzekł Guzmán. — Nigdy nie zapomnę słów tego gościa z mafii, który powiedział: Wszystko, czego ci trzeba, to lampa lutownicza i kleszcze, a każdy ptaszek zacznie śpiewać.

— Do diabła, mamy to w warsztacie na dole — powiedział Tito. — Zaraz przyniosę.

Guzmán wypuścił dym z rozpoczętego właśnie cygara. Paliło się doskonale.

— Cóż, dajmy mu jeszcze parę minut. Przekonamy się, czy system tortur psychologicznych doktora Machado-Ropasa odniesie skutek.

Obrócił krzesło w stronę półki ze sprzętem hi-fi. Wybrał kasetę z napisem: „Taśmy Specjalnego Przeznaczenia”, włożył ją do magnetofonu i wcisnął guzik.

Blackwell odzyskał przytomność w pokoju o powierzchni cztery i pół na trzy metry. Ściany i sufit pokrywała warstwa metalu. Pochyła cementowa podłoga miała pośrodku mały spływ. Na ścianie zamocowano metalowe szafki. Wszystko oświetlała lampa chroniona ekranem z pleksiglasu. Na jednej ze ścian znajdował się przymocowany do kranu starannie zwinięty wąż z czerwonego plastiku.

Na innej natomiast wisiał głośnik, skąd dochodził głos z wyraźnym hiszpańskim akcentem:

— Uwaga. Znajdujesz się w pokoju tortur, gdzie zostaniesz poddany niewyobrażalnym męczarniom. Będzie to dla ciebie bardzo niemiłe. Badania medyczne potwierdzają, że tortury wpływają niekorzystnie na zdrowie, mogą spowodować stałe obrażenia lub śmierć. Byłeś wystarczająco nierozsądny, żeby znaleźć się w tej sytuacji. Zastanów się i pomóż sam sobie. Ludzie, którzy cię tu trzymają, potrzebują pewnych informacji. Jeśli chcesz je ujawnić, otwarcie i z zupełną szczerością, przyciśnij guzik pod głośnikiem, a przyjdzie ktoś, kto wysłucha twoich zeznań. Jeśli nie naciśniesz guzika, pierwsza sesja tortur rozpocznie się za około piętnaście minut.

Blackwell rozejrzał się dookoła. Nie widział nic, czego mógłby użyć jako broni, z wyjątkiem czerwonego węża. Na szkoleniu nie nauczono go, jak zamienić coś takiego w śmiertelny oręż, jeśli w ogóle było to możliwe. Żadnej kryjówki, skąd dałoby się wyskoczyć i zatrzymać wchodzącego do celi. Jedyne, co mu pozostało, to rzucić się w kierunku otwieranych drzwi i zmusić napastnika do strzału, a to przynajmniej zaoszczędziłoby mu cierpienie, choć nie stanowiło najbardziej satysfakcjonującego rozwiązania. Być może później przyjdzie mu do głowy coś lepszego.

Oparł się o ścianę, napiął mięśnie nóg i przygotował się do ostatniego biegu.

Guzmán zaciągnął się ostatni raz, zgasił cygaro i wstał.

— Czas zabrać się do dzieła — powiedział do Tita.

— Jestem gotów szefie — odparł Tito z uśmiechem, zrywając się na równe nogi. — Nie ma sprawy, wymyślę coś dobrego.

— Nie wątpię. Ale nie chcę bałaganu.

— Bez bałaganu?

— Bez. Pokojówki nie chcą potem sprzątać. Możesz nabrudzić tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne, żeby wyciągnąć z niego informacje.

Ból bez bałaganu. Tito pomyślał, że to bardzo interesujące, ale spodobało mu się. Ruszył w kierunku drzwi.

Nagle Frank usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Oparł się o ścianę, gotów do biegu po otwarciu drzwi. Otworzyły się. Blackwell pobiegł na oślep i zderzył się z senorą Guzmán.

Nawet kiedy leżała na plecach, ze spódnicą odsłaniającą białe pończochy i czarną bieliznę z wyhaftowanymi białymi krzyżykami, dona Caterina nie straciła godności. Poprawiła ubranie i wstała.

— Co pani tutaj robi? — zapytał Blackwell.

— Przyszłam panu pomóc.

— Tak? Dlaczego?

— Bóg kazał mi to uczynić.

— Ach. No to w porządku. Co robimy?

— Niech pan idzie za mną i będzie cicho.

Blackwell poszedł za nią korytarzem.

W ostrym świetle żarówek przeszli na palcach po wydeptanym linoleum. Przy wyjściu dla służby czekał na nich Juanito w białym swetrze z angory, z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi szczupłe, umięśnione, nie owłosione przedramiona.

Nagle usłyszeli za sobą kroki na schodach, a później ryki gniewu i gwar wściekłych głosów.

— Chodźmy! — powiedział Juanito i pobiegli z Blackwellem do samochodu. Przez tylne drzwi Frank zanurkował do środka, nad człowiekiem na tylnym siedzeniu. Na pełnym gazie pojechali do bramy, a Juanito wrócił do domu. Przed nimi, jak spod ziemi, wyrosło dwóch uzbrojonych w karabiny maszynowe mężczyzn. Kierowca jednak nie zбочzył z drogi, tylko jednego z nich potracił lewym zderzakiem. Blackwell usłyszał krzyk, kiedy siła uderzenia wyrzuciła go w powietrze.

Jechali ciemną drogą wzdłuż kanału znajdującego się po prawej stronie.

— Zjawiliście się w samą porę. To ty Minska, tam na przedzie? — zapytał Frank.

Kierowca odwrócił się. Ciemną twarz wykrzywił lubieżny uśmiech, a kapelusz panama, przekornie włożony na bakier, czynił ją jeszcze bardziej złowieszczą.

— Nie — odparł Alvarez. — To ja i jeszcze jeden z twoich znajomych.

Kiedy mijali latarnię, Frank spostrzegł rysy twarzy człowieka siedzącego obok. Framijian. Poczuł, że coś tępego, najpewniej z metalu, wciska mu się między żebra. Przypuszczał, że to jakaś broń.

Rozdział 56

Krwawa łuna na horyzoncie zapowiadała bliski świt. Alvarez szybko przemykał niezbyt zatłoczoną autostradą prowadzącą na południe. Framijian nucił pod nosem „Hatikvah”. Wnętrze samochodu pachniało kubańskimi cygarami z przemytu.

— Jak to się stało, że akurat tam byliście? — zapytał Blackwell.

— Z całym szacunkiem dla don Alfonsa, ale czasami go ponosi i wszystko, co mu zostaje, to zwłoki oraz brak informacji, których potrzebował. Bierzemy w tym udział, więc zdecydowaliśmy, że damy ci szansę, jeśli nam pomożesz.

— Pomóc wam? Jak?

— Ten twój kumpel, który czekał u mnie w domu, porwał dziesięciomilionowy transport — powiedział Framijian. — A mnie nikt nie zapłacił, bo Alfonso wręczył czek tobie.

Z przodu odezwał się Alvarez:

— Nie lubimy takich numerów, a ludzie, dla których pracujemy, nie lubią ich jeszcze bardziej.

— Chcemy, żebyś pomógł nam wszystko zrozumieć — rzekł Framijian. — I to szybko. Zacznij od tego, kim, do cholery, jesteś i czemu uczepiłeś się Guzmána.

— Jestem tylko rozżalonym obywatelem — odrzekł Blackwell. — Wiecie jak to jest...

— Jesteś Łowcą, tak?

— Łowcą? Co ty wygadujesz?

— Guzmán sprawdził to, kiedy ci Łowcy przysłali mu list. Wszystko wskazuje na to, że jesteś Łowcą. Przykra sprawa stary, wrobili cię twoi kolesie. Lepiej z nami porozmawiaj.

Kiedy dwóch mężczyzn w milczeniu oczekiwało na odpowiedź, klimatyzacja w samochodzie przetwarzała nieznośnie ciężkie powietrze Florydy na lżejszy, sztucznie chłodzony podmuch.

Zbliżali się do Homestead. Po obu stronach rozciągały się niskie, płaskie, bezludne Błota, czasem tylko urozmaicane reklamami Dell Ford, Holiday Inn, The Parrot Jungle, Dade Auto Parts, McDonald's, Computer Express. Poranne jasnoblękitne niebo zasnuwały gromadzące się na horyzoncie chmury. Minęli „Samurai”, gdzie jako specjalność dnia oferowano poranny stek i ucztę z kurczaka za siedem i trzy czwarte dolara, przejechali obok sklepu z bronią Tamiami, Wendy's, Famous Wall Coverings Factory Outlet, Video City oraz Dixie Ribs Barbecue z parkingiem z tyłu. Wjechali na dwupasmówkę z palmami po obu stronach i kilkoma domami. Niebo pociemniało, podmuchy wiatru zarzucały samochodem.

Na płaskim horyzoncie przed nimi pojawiła się samotnie stojąca restauracja, niska i niegościnna. Czerwony, neonowy napis głosił: „Shishkaburgery u Sallilego”.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Framijian.

Alvarez skręcił i przyhamował. Ich samochód był jedyny na parkingu.

— Wejdziemy teraz do środka i trochę porozmawiamy — rzekł Framijian. — Właściciel to nasz przyjaciel, ma to gdzieś, co z tobą zrobimy.

— Jeśli będziesz współpracował — wtrącił Alvarez — to może kupimy ci hamburgera.

— Jeśli nie — dodał Framijian — zrobimy z ciebie hamburgera.

Pod niebem, całkiem już zasnutym czarnymi chmurami, poprowadzili Blackwella do restauracji.

Rozdział 57

Blake i Coelli śledzili Alvareza i Framijana z bezpiecznej odległości.

— Zatrzymaj się tutaj — rzekł Blake.

Coelli zahamował na skraju drogi naprzeciw „Shishkaburgerów u Sallilego”. Przyglądali się z rosnącym zainteresowaniem, gdy obok białego lincolna Alvareza zaparkował niebieski BMW.

— A to ciekawe — powiedział Blake. — Zadzwoń do Działu Badań i poproś o dane samochodu z tą rejestracją.

Coelli wystukał numer:

— Myra? Jak leci? Posłuchaj kochanie, spróbuj znaleźć dla mnie coś o tym samochodzie. — Wyciągnął szerokokątną lornetkę zeiss i odczytał numer rejestracyjny. — Tylko pośpiesz się z tym, dobrze? Siedzimy tu z szesnastym kodem i jeszcze nie wiemy, kogo mamy załatwić.

— Wsiadają — przerwał mu Blake — dwóch gości. Szarpnięciem otworzył ukryty schowek pod deską rozdzielczą i wyjął L-25, parabellum z przedłużoną lufą, której używał do strzelania ze średniej odległości. Do większych dystansów miał w skrzyni na dachu winchestera 400 z dziesięciokrotnie wzmacniającym noktowizorem.

Coelli zdążył już wcześniej wyjąć swój automat, prototypowy M1911A2, nowy, ulepszony model, potajemnie opracowany po tym, jak stary dobry czterdziestopięciokalibrowy colt 1911A1 został porzucony na rzecz sprawdzającego się, ale mało interesującego dziewięćmilimetrowego modelu 9ZSB-F. Przyjaciele Coellego w Fort Ord zdobyli dla niego nowego colta, lecz wciąż nie udało mu się wyprosić drugiego dla Blake'a.

— Jasne, tak zrób, Myra, dzięki — powiedział Coelli i odłożył słuchawkę.

— Całkiem niezła z niej kobitka — zauważył. — Gdyby tylko ciągle nie nosiła tych czarnych butów.

— *De gustibus* — odparł zamyślony Blake, obserwując restaurację przez szkła Baush & Lomb.

— Chcesz tam iść i sprawdzić, co się dzieje? — zapytał Coelli.

Blake potrząsnął głową.

— Będzie straszna rozróżba. Lepiej posiedzieć i popatrzeć.

— Mnie to pasuje — odparł Coelli. — Znam to miejsce, te ich shishkaburgery są ohydne.

Rozdział 58

Sallil Bey, potężnych rozmiarów Libańczyk w średnim wieku, nigdy nie sądził — nawet w dziecinnych marzeniach o interesach na egzotycznym Zachodzie — że przyjdzie mu prowadzić brudny bar z hamburgerami obok pustej drogi między Homestead a Błotami.

Nie tego się spodziewał, kiedy przyjechał do Ameryki ze zbombardowanych ruin Souk el-Farah koło Tyre. Miał dołączyć do kuzyna Immi, spryciarza i dealera z Trypolis, żeby zbić majątek w Miami, Libanie Ameryki. Teraz musiał sterczeć w obskurnym domu na zakichanym, betonowym parkingu w połowie drogi prowadzącej znikąd donikąd. Nie dość, że sam musiał tu tkwić, to jeszcze zajmował się Jamishdem, swoim siostrzeńcem idiotą, do czego zobowiązał się zamian za podróż do Stanów. Miał też na głowie żonę Lailę. Tłustą, spokojną Lailę o leniwej twarzy z delikatnym, czarnym wąsem, która w porównaniu z długonogimi pięknosciami ze słonecznego wybrzeża o doskonałych piersiach i pośladkach, wyglądała jak inny podgatunek, pochodzący ze świata odrzucanego ze wstrętem, choć w głębi serca wciąż do niego powracającego. Na polu kempingowym w Key Largo utrzymywał teraz dziewczynę z pieniędzy otrzymywanych od takich jak Alvarez czy Framijian w zamian za bezpieczne miejsce, gdzie mogli pozbywać się niewygodnych ludzi. Ostatnio jednak Bettina Sue robiła się niecierpliwa, domagała się, żeby zamieszkał z nią i zainwestował oszczędności w przemyt narkotyków organizowany przez jej znajomego. Co miał zrobić? Musiał o tym porozmawiać z Imrakiem, lokalnym guru miejscowego Hadji Wisdom i Grupy Akcji.

Trzej mężczyźni siedzieli w czerwonej kabinie ze sztucznej skóry i sprzeczcali się. Dyskutowali tak gwałtownie, że żaden nie usłyszał BMW zatrzymującego się na parking. Sallil zastanawiał się przez chwilę, czy powinien im o tym powiedzieć, ale rozmyślił się. Nikt nie płacił mu za informacje o przyjeżdżających BMW ani śledzących je innych samochodach.

Jeden z pasażerów BMW wszedł do środka. Trzymał w rękach coś, co Sallil znał aż za dobrze: AK-47. Zanurkował pod ladę, kiedy eksplodował rząd butelek pod ścianą.

Alvarez błyskawicznie wyciągnął broń i rozwalił Chaco, stojącego w drzwiach ze swoim AK-47. Kule z MAG-a 50 Alvareza zasypały stoły, rozniosły w kawałki szafę grającą, z której dochodziły jeszcze dźwięki „Girls Just Want to Have Fun” Cyndi Lauper i rzuciły Chaco o kafelki. Upadł, a jego ciało zamieniło się w mieszaninę jedwabiu, skóry z butów, czarnej fasoli i napoju Sky-Hi.

Z automatem w dłoniach do pomieszczenia wszedł Tito, przeskoczył nad resztkami ciała Chaco i twarz wykrzywił mu grymas, ukazujący srebrne zęby trzonowe. Zdążył załatwić Alvareza, zostawiając swąd prochu i podziurawione zwłoki, kiedy dosięgły go kule z uzi Framijiana strzelającego spod stołu. Blackwell wybiegł bocznymi drzwiami na parking. Ścigano go, ktoś krzyczał, żeby się zatrzymał. Popędził do lincolna; kluczyki były w stacyjce. Gdy wyjeżdżał z parking, wciąż latały dookoła pociski.

Rozdział 59

Lincoln jechał dość szybko, ale ciemnoszary lamborghini już prawie go doganiał. Blackwell pogrzebał w schowku i znalazł niklowany trzydziestośmiokalibrowy rewolwer Smith & Wesson z pięciocentymetrową lufą. Wsunął go do kieszeni. Fale deszczu bombardowały przednią szybę, a wokół oprócz krajobrazu nie było nic. Dwupasmówka zaczęła się rozszerzać, ułatwiając wyprzedzanie. Lamborghini nadjechał z lewej strony. Kiedy jego przedni zderzak znajdował się kilka centymetrów od tyłu lincolna, Blackwell ostro zajechał mu drogę, zmuszając do hamowania, aż nim zarzuciło. Frank zakręcił z piskiem opon i znalazł się na zakurzonej, podrzędnej drodze.

Lamborghini wciąż trzymał się za nim i gdy znów go doganiał, Blackwell powtórzył manewr, który już raz się udał. Lincoln podskoczył na dwóch kołach, zakręcił tyłem, jęknął i zatrzeszczał, ale opadł z powrotem na cztery koła. Lamborghini został z tyłu i wymykając się spod kontroli prowadzącego, ledwo utrzymywał się w pozycji poziomej.

Blackwell już zaczął gratulować sobie manewrowania, kiedy stracił kontrolę nad lincolnem, ześlizgnął się z drogi i wjechał w błota.

Część szósta

Wielkie zabójstwo

Rozdział 60

Dickerson studiował tajne raporty w swoim biurze. Spędził nad nimi mnóstwo czasu, ponieważ musiał zapoznać się z wieloma dokumentami, a także ze stopniem ich utajnienia — najwyższy, zastrzeżony, tylko do wglądu osobistego, kosmiczny. Musiał również wiedzieć, które dokumenty zostały odtajnione, żeby mógł rozmawiać o nich ostrożnie z przyjaciółmi i sąsiadami. Czasem jednak trudno było zapamiętać, co wciąż stanowiło tajemnicę, a co zostało już odtajnione. Poza tym należało znać mnóstwo innych informacji, na przykład własne imię, numer ubezpieczenia, adres i numer telefonu, listę zakupów, imiona przyjaciół, żon, dzieci, program telewizyjny, przekonania polityczne, religijne i tak dalej. Dickerson zawsze obawiał się, że przeładowuje pamięć, każąc jej w dodatku odróżniać tajne od jawnego. Bał się, że któregoś dnia po prostu wszystko trafi szlag i zapomni o najważniejszych faktach albo nieumyślnie zwierzy się fryzjerowi: „Słyszałeś o tym, że jeden z naszych kretów jest teraz ministrem finansów w Somalii? Nieźle jak na miejscowego chłopca, nie sądzisz?”. Dickerson oczywiście nie zrobiłby czegoś takiego, nigdy bowiem nie rozmawiał o pracy, nie wplątał się w niepotrzebną rozmowę, nie pił i nie ćpał. Ustalił też z własną podświadomością, że nie będzie plątał mu się język. Mimo to prześladowała go możliwość katastroficznego błędu. Gdy tylko dochodziły jakieś nowe fakty, o których nie wolno było mu wspominać, czuł rosnącą potrzebę wyrzucenia ich z siebie, podzielenia się nimi z całym światem, co z wolna stawało się obsesją. Pragnął wyznać najgłębsze sekrety komukolwiek przy barze, lub — o zgrozo! — odszukać któregoś ze znanych mu agentów KGB, zaprosić na lunch i powiedzieć: „Dostaniesz nasze tajemnice w zamian za wasze”.

Rzecz jasna, coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę, nigdy nie dopuściłby do tego. Dlaczego więc ciągle na ten temat fantazjował? Jego psychiatra, doktor Mensch, określił to mianem pokusy perwersyjnej. Wystarczy więcej luzu psychicznego, jak mawiał, bo im bardziej będziesz się jej opierał, tym stanie się mocniejsza.

Zrelaksuj się; łatwo powiedzieć lekarzowi, który nie musi borykać się z prawdziwymi tajemnicami. Jego kłopotem są ludzkie dziwactwa i słabostki, a nie sprawy bezpieczeństwa narodowego.

Chociaż Dickerson rozmawiał z Menschem o tajemnicach, nigdy żadnej mu nie zdradził. Według testów bezpieczeństwa był on lojalnym i przykładowym obywatelem, co zostało dokładnie sprawdzone, zanim Dickerson rozpoczął terapię pod pretekstem przeciwdziałania alergiom psychosomatycznym. Lojalność doktora nie ulegała wątpliwości, nie miał jednak niezbędnych upoważnień; nie został nawet upoważniony do tego, żeby wiedzieć o samym istnieniu tajemnic.

Praca Dickersona stała się jeszcze trudniejsza przez nowego szefa, którego tożsamość także pozostawała zastrzeżona. Znał go jedynie z rozmów telefonicznych, po wymianie skomplikowanych, codziennie zmieniających się kodów rozpoznawczych.

Dickerson martwił się podwójnie, bo szef zadzwonił dzień wcześniej i powiedział szorstkim, zgrzytliwym głosem z chicagowskim akcentem — prawdopodobnie zresztą udawanym — aby

przygotował się na coś wielkiego i był w stanie gotowości w każdej chwili.

Wpatrywał się w telefon jak w śpiącą kobrę. Lada moment mogła podnieść jadowity łeb, zatopić w nim zęby, zalać organizm intelektualnym równoważnikiem trucizny, zmusić go do odejścia z wypróbowanej ścieżki bezpiecznej rutyny i rzucenia się w nieznane, niebezpieczne, nie dające się przewidzieć sytuacje.

W końcu udało mu się jakoś przekonać siebie, że nic się nie wydarzy, telefon nie zadzwoni, a szef tylko w ten sposób go sprawdzał. Czyż ktoś nie powiedział, że telefon nie dzwoni, gdy się na niego patrzy?

Wtedy właśnie czerwony telefon zadzwonił.

Serce omal nie wyrwało mu się z klatki piersiowej. Zamknął oczy i, chcąc się uspokoić, zaczął recytować mantrę doktora Menscha: „Om mane padme hum, czuć tutaj angielską krew”. Zabawne jak coś tak prostego mogło przynieść ulgę, nieważne na jak krótko.

Podniósł słuchawkę.

— Tu Dickerson.

Słuchał uważnie, podczas gdy zgrzytliwy głos recytował aktualne kody rozpoznawcze. Podał swoją część kodu i zaczęła się rozmowa.

— Tak, sir. To prawda, sir. Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć, sir? Tak, sir. Zrozumiałem, sir.

Wciąż jeszcze trzęsły mu się dłonie, kiedy odkładał słuchawkę. Powtórzył mantrę i nieco ochłonął. Sięgnął po słuchawkę żółtego telefonu i zadzwonił do Blake’a siedzącego w samochodzie.

— Blake? Jedźcie z Coellim natychmiast na lotnisko, wiecie na które. Po prostu zostawcie wszystko i jedźcie. Spotkamy się tam za pół godziny.

Odłożył słuchawkę i głęboko odetchnął. Nadeszła chwila, której obawiał się od dawna. Miał osobiście spotkać się z szefem i dowiedzieć się — nie był pewny, czy sobie tego życzy — co tak w ogóle się działo.

Wcisnął guzik interkomu:

— Panno Moneypenny, niech Friedrich podstawia samochód pod boczne wejście. Proszę też zablokować mój telefon. Nie, nie wiem kiedy wrócę.

W zasadzie nie był pewien, czy w ogóle wróci.

Rozdział 61

Podczas pracy dla firmy Zale już nieraz lądował w przedziwnych miejscach, ale to wydawało się jawną głupotą. Udało mu się jednak sprowadzić odrzutowiec kompanii na ziemię na małym lotnisku. Znajdowali się w najbardziej wysuniętym na południe krańcu Outer Cay. Dickerson, Blake i Coelli odpięli pasy.

— Zale, zostań w samolocie — rozkazał Dickerson. — Niech będzie gotowy do natychmiastowego startu. To spotkanie może okazać się kłopotliwe.

Zale skinął głową, ale pomyślał, że trudno będzie Dickersonowi wrócić, jeśli jego rozmówcy tego nie zechcą. Poza tym, jeden człowiek na skraju dżungli, uzbrojony w bazookę, zdołałby zatrzymać odrzutowiec na zawsze. Ponieważ był odpowiednio wyszkolony, zachował te myśli dla siebie.

Blake i Coelli sprawdzili magazynki w pistoletach maszynowych Spectre.

— Mam nadzieję, że stary wie, co robi — powiedział półgłosem Coelli do Blake'a.

— Co? — zapytał Dickerson, wychwyciwszy to za pomocą superczułego słuchu.

— Powiedziałem tylko, że ten stary jest z Nairobi — odparł pośpiesznie Coelli.

— No i co z tego? — zdziwił się Dickerson.

Coelli poczuł się głupio, opuściła go inwencja. Wtrącił się Blake:

— On mówi o karabinach, sir. Poprzednio używany model MCX produkowano w Nairobi.

— Nie ma czasu na pogawędki — uciął Dickerson. — Będę was potrzebował do osłony. Wystarczy, że będziecie mieli oczy i uszy otwarte. Nie róbcie nic, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Gdybyście jednak musieli strzelać, nie przerywajcie ognia aż do powrotu do samolotu.

Odbezpieczyli automaty i ukryli je pod kurtkami.

— Zale, otwórz drzwi — polecił Dickerson.

Pilot odsunął drzwi i rozwinął drabinkę. Na pasie przed drabinką stał doktor Dahl. Dyrektor miejscowego wydziału Korporacji Bahama miał na sobie lekką, kolorową koszulkę, która, łopocząc na wietrze, zdradzała, że nie nosił przy sobie broni, odsłaniała jedynie brązowy owłosiony brzuch.

— Witamy w Outer Cay — powiedział Dahl. — Zaprowadzę was do głównego budynku, gdzie czeka na nas mały poczęstunek.

— Taak, ciekawe co jeszcze? — wyszeptał Blake do Coellego.

Rozdział 62

Samochód Blackwella wywrócił się po zjechaniu z drogi i leżał teraz na boku, częściowo pod wodą, trzy metry poniżej poziomu jezdnii. Oszołomiony Blackwell zdołał jakoś wygrzebać się z wody. Wciąż jeszcze ścisnął trzydziestkę ósemkę znaną w skrytce, na ręce miał dwustrzałowego roleksa, choć w tej chwili dokładny czas nie miał większego znaczenia, w pobliżu zaś nie widział nikogo na odległość strzału. Zaczął wspinać się po stromym zboczu, lecz po chwili przystanął, gdy usłyszał odgłos silnika i pisk hamulców. Gdzieś nad nim zatrzymał się samochód.

Frank rozejrzał się za kryjówką. Znajdował się na skrawku ziemi, gdzie zatoka Florydy przechodzi w obszar zwany Błotami. Patrzył na wodę i widział kilka małych pagórków, wystających zaledwie kilkanaście centymetrów nad powierzchnię wysepek porośniętych krzewami tamaryndy i namorzynu. Dno było błotniste, ale wystarczająco twarde, żeby z wielkim wysiłkiem zaryzykować przejście. Zdążył dobrnąć do najbliższej wyspy namorzynów i przykucnąć za nimi, gdy usłyszał zatraskujące się drzwi samochodu.

Nad powierzchnią wody rozległo się wołanie:

— Hej, Blackwell! Jesteś tam?

Guzmán! Blackwell zwalczył pokusę, żeby zawołać: „Nie, nie ma mnie tu”. Czekał w bezruchu.

Mercedes zatrzymała porsche zaraz za pojazdem Guzmána. Zanim wyszła z samochodu, otworzyła torbę i sprawdziła magazynek w magnum 357 z przedłużoną lufą. Wyszła i dołączyła do Guzmána.

Alfonso Guzmán stał na skraju drogi wpatrzony w zatokę Florydy. W jego stroju dominował kolor khaki, nosił też pas Sam Browne i szarooliwkową kurtkę myśliwską. Uzbrojony był w mannlicera 302 o dużym zasięgu. W kaburze na piersi znajdował się uzi i dwa dodatkowe magazynki amunicji. Uśmiechał się: mały, pulchny, ciemnoskóry człowieczek o wyglądzie dzieciaka wypuszczonego wcześniej ze szkoły. Poklepał mannlicera jak ulubionego psa i zarazem najlepszego przyjaciela.

— Hej, Blackwell! — zawołał. — Wiem, że tam jesteś, hombre. Jesteś Łowcą, prawda? — Odczekał kilka chwil, a wiatr szarpał mu kurtkę i targał włosy. — Odezwij się, Blackwell! Jeśli powiesz, że nie jesteś Łowcą, dam ci spokój. A jeśli jesteś, to chyba czas się przyznać, nie?

— Tak — głos Blackwella poniósł się nad powierzchnią wody. — Jestem Łowcą! A ty jesteś Ofiarą!

Guzmán odwrócił się do Mercedes.

— Widzisz, poruszyłem jego dumę. Dzięki temu zdradził swoją kryjówkę.

Odwrócił się w kierunku, skąd dobiegał głos Blackwella, i krzyknął:

— Role się odwróciły, hombre! Teraz ja jestem Łowcą, a ty Ofiarą. Jak ci się to podoba, gringo?

Przed samochodem Guzmána zatrzymał się zakurzony BMW, wzniecając kłęby białego kurzu i żwiru. Wsiadł z niego Emilio, w rękach niósł winchestera z celownikiem myśliwskim. Na ramieniu wisiała dubeltówka z podwójną, piłowaną lufą.

— Jest tam, prawda? — zapytał Emilio. — Dobra, załatwmy go mój pułkowniku. Ja na prawo, pan na lewo. Nie może być zbyt dobrze uzbrojony po takiej wywrotce.

— Twój plan jest dobry — rzekł Guzmán — taktycznie poprawny, jak za starych czasów. Ale, stary przyjacielu, ty zostajesz tutaj. Idę sam.

— Szefie, to chyba niezbyt rozsądne — odparł Emilio.

— Nic nie rozumiesz — powiedział Guzmán. — To będzie jeden na jednego, klasyczny pojedynek na śmierć i życie. Przy okazji to największy ubaw, jaki trafia mi się od dawna.

— Posłuchaj szefie — naciskał Emilio — wiem jaki z pana tygrys, ale niech pan nie da się temu ponieść i pozwoli sobie pomóc.

— Możesz mnie osłaniać, lecz nie strzelaj do niego. On jest mój, słyszysz? Ja go zabiję!

Ześlizgnął się po zboczu, krzyząc:

— Blackwell, *yo vengo!* — I zaczął brnąć w kierunku porośniętej wyspy.

— Zawsze był nieustępliwy — wymamrotał Emilio z podziwem w głosie. Potrząsnął głową, zsunął się ze zbocza i podążył za Guzmánem.

Mercedes, po chwili wahania, podążyła za Emiliem.

Rozdział 63

Wielkie, wolno obracające się wentylatory chłodziły całe pomieszczenie. Dickerson i Dahl siedzieli przy końcu długiego stołu. Blake i Coelli opierali się o rattanową ścianę, gotowi wyciągnąć broń w razie potrzeby. Jak dotąd wszystko odbywało się w spokoju. Dahl przygotował dwa drinki z rumem, spróbował jeden i ze słowami:

— W sam raz — podał go Dickersonowi.

— Pychota — odparł Dickerson po skosztowaniu.

— Mój Boże, to ludzie jeszcze tak mówią? — zapytał Dahl.

— Nieważne, jak mówią ludzie. Przejdźmy do interesów.

— Oczywiście. Więc pan jest tym Dickersonem z CIA. O ile pamiętam, dyrektorem stacji na południowej Florydzie, drugiego wydziału odświeżonej dyrekcji CIA?

Dickerson przytaknął grzecznie.

— A pan jest Dahlem, szefem na obszarze Karaibów w Korporacji Bahama. Mamy o was sporo informacji.

Dahl uśmiechnął się:

— A my o was.

— Myślę, że powinienem od razu przestrzec — rzekł Dickerson — choćby dla określenia naszej pozycji, że większość tego, co robi Korporacja Bahama, jest nielegalna i podlega zarówno wysokim grzywnom, jak i długim pobytom w więzieniu.

— Oczywiście, że działamy nielegalnie — odparł Dahl — lecz w sprawie ważnej i szlachetnej. Nikt nas nie tknie na naszej wyspie. Myślę więc, panie Dickerson, że nie najlepsza to chwila na pogróżki.

— Ależ to nie były pogróżki, chciałem tylko jasno określić, gdzie stoimy.

— Twierdzi pan, że działamy nielegalnie — rzekł Dahl — ale w rzeczywistości jesteśmy ostatnią nadzieją gatunku ludzkiego.

— Cóż, może i tak — odpowiedział Dickerson. — Czy możemy już przejść do interesów?

Dahl spojrzał zdziwiony.

— O co panu chodzi?

— Kto zwołał to spotkanie? — zapytał Dickerson.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odrzekł Dahl. — Nie otrzymałem żadnych instrukcji od moich przełożonych. Pańskie przybycie było nie zapowiedziane i nieoczekiwane, choć oczywiście jest pan tu mile widziany.

Spojrzeni na siebie. Dahl wyglądał na zmieszanego. Niezamierzonym ruchem Dickerson wyrzucił stojącego na stole drinka. Być może stało się tak wskutek długo tłumionych pomyłek językowych. Zanim jeszcze kostki lodu uderzyły o stół, Blake i Coelli już trzymali w rękach broń. Równocześnie wysoko w ścianie odsunęła się płyta i długa lufa AK-47 skierowała się w ich stronę.

W tym samym momencie w drugim końcu pokoju otworzyły się małe drzwi i pojawił się w nich Zale, pilot Dickersona, w towarzystwie dwóch miejscowych naukowców z UCLA ubranych w podkoszulki z postacią Snoopy'ego.

— Co jest, Zale? — warknął Dickerson. — Kazałem ci zostać przy łodzi, to znaczy przy samolocie.

— Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, sir odparł Zale. — Właśnie wylądował jeszcze jeden samolot.

Dickerson i Dahl spojrzeli na siebie z konsternacją, próbując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozdział 64

Głęboka cisza zapadła nad pokrytym wysepkami obszarem wodnym, gdzie zatoka Florydy łączyła się z bagnistym wybrzeżem. Woda i ląd przenikały się wzajemnie, wilgotne, zamulone i wyniosłe pod wielkim, pulsującym, białym słońcem. Autostrada czarnym pasem wrzynała się w jasny, połyskliwy, płytki wodny świat. Na poboczu stały zaparkowane dwa samochody, trzeci leżał na boku w płytkiej wodzie. Daleko, w kierunku Zatoki Meksykańskiej, zostawiając za sobą pas białej piany, łódź rybacka kierowała się w stronę Key West. Nieco bliżej, mała, głęboko zanurzona łódka posuwała się wzdłuż wybrzeża, a siedzący w niej mężczyzna w słomkowym kapeluszu wiosłował za pomocą długiego kija.

Guzmán zawiesił mannlicera na ramieniu, bardziej polegając na małym, automatycznym uzi. Trzymając broń gotową do strzału, dotarł do wysepki i przyjrzał się jej. Niewiele widział, tylko cienie drzew i czarnego namorzynu. Zatrzymał się i zawołał:

— Hej! Blackwell! Chodź, zabawimy się!

— Załatw mnie! — krzyknął Blackwell z drugiego końca wyspy. — Jestem tutaj, ty stary, zatwardziały sukinsynu!

— Stary! Do cholery, dzieciaku, ty się nawet jeszcze nie urodziłeś! Zabiłeś już kogoś? Sądysz, że potrafisz?

Guzmán czekał. Nagle Blackwell wybiegł zza pagórka z twarzą wykrzywioną gniewem i beużyteczną trzydziestką ósemką w dłoni. Guzmán oddał serię z uzi. Frank chrząknął, prawe ramię zalała mu krew, broń wypadła z ręki. Schylił się, żeby ją podnieść, ale Guzmán znowu strzelał i musiał schronić się za kępą namorzynu.

Rozdział 65

Drzwi do pokoju konferencyjnego Korporacji Bahama stały otworem. Dickerson i Dahl równocześnie zerwali się na nogi. Stali tak blisko, że niemal się dotykali. Przy przeciwległej ścianie, jak płaskorzeźba z grobowca gangstera, tkwili nieruchomo Blake i Coelli.

W drzwiach pojawił się Simmons, a za nim mały, wyprostowany, uśmiechnięty Mistrz Łowów.

— Wiem, kim pan jest — powoli powiedział Dahl. — Nasze dane są bardzo dokładne. Sądziłem jednak, że nigdy się nie spotkamy.

— Pan i pańscy ludzie bardzo staraliście się mnie unikać — rzekł Mistrz Łowów. — Być może dlatego tak się stało.

— Dążymy do czegoś zgoła innego — stwierdził Dahl. — Nasza organizacja próbuje uratować świat przed krótkowzrocznością i głupotą. Pan i pańskie Łowy jesteście częścią tego szaleństwa.

— Zapewne sam pan nie wierzy w to, co mówi — odparł Mistrz Łowów. — My, Łowcy, stanowimy część rozwiązania. Oferujemy samowolne zabójstwo jako substytut wojny. Wie pan, że gatunek ludzki nigdy nie poczuje się zaspokojony, jeśli nie będzie zabijał. Ludzie nie potrafią cieszyć się krajobrazem, dopóki nie porusza się w nim coś, co można by zabić. Sił, które pchają nas do wojny i postępu, nie da się po prostu wyłączyć, natomiast wykrzewienie ich z naszej rasy stanowiłoby dla niej zagrożenie. My, ludzie, jesteśmy zwierzętami, które polują, doktorze Dahl, a kończy nam się zwierzyna. Nic nam nie zostało prócz nas samych. A zabijać musimy.

— Rządy prawa wciąż są możliwe! — obwieścił Dahl.

— Wie pan, że to nieprawda — odparł Mistrz Łowów. — Być może wiele wieków później, ale nie w najbliższej przyszłości. Mój drogi Dahl, pierwszym, najważniejszym zadaniem jest przywrócenie ziemi równowagi ekologicznej. To pańskie zadanie i Korporacji Bahama. W tym czasie naszą rolą jest danie ludziom czegoś bardziej ekscytującego niż wojna. Bez nas i naszych Łowów, pan i pańscy łebscy naukowcy bylibyście kolejną grupą marzycieli w wymyślanym królestwie słodkiego rozsądku, podczas gdy wokół panowałoby szaleństwo prawdziwej polityki. Niechże pan będzie praktyczny, Dahl, zróbmy to razem.

— Jest w pańskich słowach jakiś sens — przyznał Dahl. — Od pewnego czasu byłem świadomy niedostatków uprawianego przez nas, naukowców, rozsądnego, zimnego rozumowania. Ludzi to nie obchodzi. Dopóki nie zdarzy się coś takiego jak Love Canal czy Czarnobyl, idea ratowania i ochrony ziemi nie sprzedaje się najlepiej. To prawda, ludzie potrzebują zajęcia i lepiej, żeby to było bezsensowne zabijanie na ochotnika w ramach Łowów niż przymusowa śmierć milionów ludzi w standardowej wojnie dzisiejszych czasów. Gdyby to zależało ode mnie... ale tak nie jest. Jestem tylko dyrektorem regionu, jednym z dziesięciu podejmujących ostateczne decyzje w Korporacji Bahama.

— Chciałbym zasugerować — wtrącił Mistrz Łowów — że nadeszła pora, aby taki bystry gość jak pan przejął najwyższą władzę w pańskiej firmie. Z naszą pomocą, ma się rozumieć.

Dahl zaniósł się śmiechem.

— To kuszące, Mistrzu, muszę przyznać, ale zupełnie niemożliwe.

— Och, to jest w zasięgu pańskich możliwości — odrzekł Mistrz Łowów, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. — W rzeczy samej, jest to jedyna możliwość, jaka pozostała. Pozwoliłem sobie zawiadomić pana macierzystą organizację, że przechodzi pan na naszą stronę.

— Nigdy panu nie uwierzą!

— Uwierzą. Plan Dioscuri jest już w trakcie realizacji. Nasi wyszkoleni zabójcy właśnie teraz likwidują waszych najwyższych urzędników.

— Nie ośmieliłby się pan! — krzyknął Dahl.

— Ani pan, ani ja nie możemy już tego powstrzymać. Przed wieczorem pańska firma zostanie bez zarządu. Dahl, człowieku, chwytaj okazję. Czy nie rozumie pan, że razem moglibyśmy przejąć nawet rząd Stanów Zjednoczonych? Mamy w Kongresie potężnych przyjaciół, podobnie zresztą jak wy. Przyłącz się do nas i twórz z nami nowy porządek dla ludzkości.

Oczy Dahla zwężyły się, gdy przeanalizował możliwości postępowania w zaistniałej sytuacji i przekonał się, że są niewielkie.

— Cóż, prawdę mówiąc, co mnie obchodzi, że paru głupoli pozabija się w pańskich Łowach — powiedział — skoro ja i moi koledzy mamy szansę uratować świat? Zgoda, Mistrzu Łowów, jestem z panem!

Dickerson przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym zainteresowaniem. Zrobił krok do przodu i chyba z powodu niezwyklej sytuacji ten niski człowieczek wydawał się teraz o wiele wyższy.

— Jeśli sądzicie, że coś takiego ujdzie wam bezkarnie, to chyba zwariowaliście. Blake, Coelli!

Wyciągnęli broń. Ktoś, kto z ukrycia skierował na nich AK-47, trzymał ich na muszce. Lada chwila mogło zacząć się piekło.

— Zanim zrobi pan coś, czego będzie potem żałował — rzekł Mistrz Łowów — proszę mi powiedzieć, czy hasło Orange Alpha 323 Weepers Snowshoe coś panu mówi?

— To przecież dzisiejszy kod rozpoznawczy — odparł Dickerson. — Skąd, do cholery, pan go wziął?

— Nie było to zbyt trudne — odpowiedział Mistrz Łowów, zmieniając głos na znajomy, zgrzytliwy, ze znanym Dickersonowi aż za dobrze chicagowskim akcentem.

— Szef! — wychrypiał Dickerson.

— Zrobisz, co każe.

— Tak, sir. Ale dlaczego właściwie to robimy?

— Dla dobra kraju — odparł Mistrz.

Po tych słowach Dickerson uspokoił się. Miał nadzieję, że nie chodzi tu o zdradę, bo wywołałoby to u niego konflikt, a doktor Mensch stanowczo mu to odradzał.

— Teraz widzi pan — zwrócił się Mistrz Łowów do Dahla — dlaczego nasz mały plan musi zadziałać. Wszystkie istotne siły zgromadzone są po naszej stronie. W ciągu roku Łowy będą legalne w Ameryce, a wkrótce przyłączy się do nas reszta świata. Wtedy Dahl, możemy poświęcić resztę sił na naprawę Ziemi.

Dahl i Mistrz uścisnęli sobie dłonie. Simmons, Blake i Coelli uśmiechnęli się do siebie jak ludzie, którzy właśnie odkryli, że są po tej samej stronie. Ukryty człowiek z AK-47 wycofał się z okna.

Coelli zapytał:

— A co z waszym Łowcą?

— Blackwellem? — rzekł Simmons. — Myślę, że dopadł już Ofiarę.

— To nie takie proste — wtrącił Dahl. — Obawiam się, że mam złe wieści. Gdy to wszystko się zaczęło, wysłaliśmy egzekutora, żeby sprawdził, co przydarzyło się naszemu handlarzowi bronią i zajął się tym. Myślę, że to oznacza śmierć pana Blackwella.

— Czy istnieje jakiś sposób odwołania egzekutora? — zapytał Simmons.

Dahl potrząsnął głową.

— Nie mamy z nią łączności radiowej.

— W takim wypadku — powiedział Mistrz Łowów — Blackwell zdany jest na siebie. Przykro mi z tego powodu, ale żeby zapanował nowy porządek, ktoś musi się poświęcić.

Rozdział 66

Emilio usłyszał strzał Guzmána i podwoił wysiłki, żeby dostać się na miejsce strzelaniny. Kiedy wyciągał stopy z błota, stracił buty, lecz nie determinację. Mercedes, która stała kilka metrów za nim, starała się go dogonić. Mała łódka podpłynęła bliżej i człowiek w słomkowym kapeluszu wstał, żeby sprawdzić, co się dzieje. — Spływaj! — krzyknął Emilio, wymachując karabinem. Człowiek odwrócił się, lecz nagle zawrócił. Kapelusz spadł i odsłonił rysy twarzy Polaka. Minska! Uzi w jego rękach buchnęło ogniem — Emilio zwinął się wpół. Łódka zakołysała się od odrzutu i Minska zamachał rękami, próbując utrzymać równowagę. Stanowił w tym momencie idealny cel i Mercedes wpakowała w niego pocisk z magnum.

Rozdział 67

Guzmán podszedł bliżej, trzymając w tłustych łapskach gotowy do strzału uzi. Blackwell leżał w płytkiej wodzie, prawą ręką trzymał się za lewe ramię i starał się nie stracić przytomności. Szok zaczął mijać, z rozbitego ramienia promieniował narastający ból. Za sylwetką Guzmána pojawiła się Mercedes. Jej biały, bawełniany kostium cały zabrudzony był błotem, a długie, czarne włosy w nieładzie.

— No i jak teraz podoba ci się polowanie, *cono*?

Blackwell nie odpowiedział, bo co miał mówić.

— No to na razie, palancie — powiedział Guzmán, opuszczając uzi.

— Nie! — krzyknęła Mercedes i strzeliła. Pocisk z magnum trafił Guzmána w tył głowy. Upadł na twarz, ludzki koktajl dla krabów.

Mercedes uklękła obok Franka. W rękę wciąż trzymała magnum wycelowane w głowę Blackwella.

— Nie mogłam pozwolić, żeby zabił cię ten parszywiec — powiedziała. — To nie jest dobra śmierć z ręki kupy tłuszczu.

— Mercedes — rzekł Blackwell — kocham cię. To wszystko było dość zwariowane, nie uważasz? Co powiesz na wspólną ucieczkę, tylko ty i ja. Pojedziemy gdzieś, gdzie nikt nie słyszał o Łowach, na przykład do Nowej Gwinei. Pobierzemy się, będziemy się kochać i wszystko dobrze się ułoży. Co ty na to?

Po twarzy pociekły jej łzy.

— Gdybym tylko mogła! — powiedziała. — Szaleję za tobą, Frank. Jesteś taki słodki, bezbronny, miły i prostolinijny. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Ale nigdy nie udałoby się nam, kochanie. Ciekawe, że wspomniałeś o Nowej Gwinei, niedawno stamtąd wróciłam. Musiałam zdjąć człowieka, który sprzeniewierzył się zasadom Korporacji Bahama.

— Powiesz im, że Guzmán mnie zastrzelił i zniknąłem gdzieś pod wodą, szukałaś mnie, ale przypadłem. Znajdziemy jakieś miejsce daleko stąd. Spotkamy się za miesiąc w Skidmore Fountain w Port — land. Nikomu nie przyjdzie do głowy tam nas szukać.

— Chciałabym tak zrobić kochanie, ale po każdej misji przechodzimy testy na wykrywaczu kłamstw; sprawdzają, czy nie robimy się zbyt delikatni. Przykro mi, ale lepiej żeby to ja niż ktoś obcy. Zamknij oczy. Nie poczujesz nic prócz uderzenia.

— Mercedes! — krzyknął Blackwell. — Przestań się wygłupiać!

Pochyliła się nad nim czule, z morderczym zamiarem i przyłożyła mu pistolet do skroni. Blackwell uniósł lewą rękę i uruchomił broń znajdującą się w roleksie. Strzał osmalił policzek Mercedes i odciął lok czarnych włosów.

— No cóż — powiedziała — może jednak nie jesteś taki miły.

— Kochanie, porozmawiajmy o tym!

Zacisnęła usta jeszcze mocniej, palec silniej chwycił spust. Blackwell zamknął oczy. Zabrzmiał odgłos wystrzału.

Rozdzieli 68

Sześć miesięcy później Frank wszedł do budynku niedaleko New Jersey i zjechał windą na poziom operacyjny. Sekretarki wprowadziły go do środka. Z biura wyszedł Simmons i zaprowadził go do pokoju Mistrza Łowów.

— Ogromnie się cieszę, że znów cię widzę, Frank — rzekł Mistrz. — Ramię dobrze się goi, prawda?

— W porządku — odparł Frank.

— Chyba słyszałeś, że Kongres właśnie uchwalił Akt Legalizacji Morderstwa oraz Akt Czystej Wody, Ziemi i Powietrza. Wreszcie zaczął się nowy dzień dla ludzkości.

— Tak, sir — odparł Blackwell. — Bardzo mnie to cieszy.

— Wciąż się gniewamy?

— Tak, sir.

— Cóż, chowałeś urazę długo. Chcę, żebyście się pogodzili. Mistrz skinął dłonią i z cienia wyszedł Minska.

— Cześć, dzieciaku — przywitał się. — Zamierzałem odwiedzić cię w szpitalu, ale podobno nie chciałeś mnie widzieć.

Twarz Blackwella stężała.

— Teraz też nie chcę cię widzieć. Miałeś mnie wspierać, a kiedy tego potrzebowałem, ciebie tam nie było.

— Przynajmniej daj mi wytłumaczyć, dlaczego się spóźniłem.

— Nie chcę tego słuchać. Byłeś moim przyjacielem i Obserwatorem. Ufałem ci, a ty mnie zawiodłeś.

— To z powodu moich rozkazów — rzekł Mistrz Łowów i znowu skinął dłonią. Z cienia wyszło dwóch mężczyzn. Byli to Valeriano i Panfilo. Wyglądali znacznie lepiej niż w obozie rebeliantów na wzgórzach obok San Francisco de la Paz.

— Proszę przebaczyć przyjacielowi, senor — rzekł Valeriano. — Spóźnił się, bo musiał dostarczyć broń, którą dla nas porwał. Tak, ryzykował pańskie życie. Gdyby jednak nie dostarczył broni na czas, oznaczałoby to upadek rewolucji.

— Nie rozumiem — rzekł Blackwell. — Myślałem, że rebelianci przegrali.

— Oczywiście — odpowiedział Panfilo. — Ale my nigdy nie byliśmy rebeliantami. Valeriano i ja służyliśmy jako tajni agenci od czasów uniwersyteckich.

— To prawda — potwierdził Valeriano. — Nasze podziemie zdołało rozprowdzić broń między sprzymierzeńców. Prawdziwe powstanie wybuchło następnego dnia. Przychodzili do nas tłumnie ludzie z Sandinistas i rebelianci. Określaliśmy dla nich wielkie, współczesne idee: zalegalizowane zabójstwo, niezbyt proporcjonalny podział majątków i prymat ekologii. To dzięki pańskiemu przyjacielowi, senior, właśnie w tym tygodniu Łowy stały się legalne we i wszystkich zjednoczonych krajach Ameryki Środkowej.

— A poza tym — rzekł Minska — przybyłem, żeby uratować ci życie.

— Nie musiałeś jej zabijać! — powiedział Frank.

Minska potrząsnął głową.

— Musiałem, Frank. Ona chciała zabić ciebie.

— Wcale nie miała zamiaru mnie zabić. Po prostu wygłupiała się.

— Ona na pewno chciała cię zabić, Frank. Nawet gdyby tylko się wygłupiała, skąd miałem o tym wiedzieć, leżąc trzydzieści metrów dalej?

— Mogłeś ją zranić, a nie zabijać.

— Żartujesz sobie? Leżałem z odstrzeloną lewą nogą, co chwilę tracąc przytomność. Masz szczęście, że w ogóle w nią trafiłem, biorąc pod uwagę mój stan.

Blackwell pokręcił głową i powiedział drżącym głosem:

— Minska, mówię ci, ona mnie kochała.

Minska otoczył go ramieniem.

— Może i tak, może i kochała, mały. Miała jednak w sobie coś, nazwijmy to pierwiastkiem zła. Możesz być pewien, że zabiłaby cię jak diabli, nawet jeśli cię kochała, w co mocno wątpię.

Ramiona Blackwella opadły, twarz wydłużyła się, a oczy zapełniły się łzami rozczulenia nad samym sobą.

— To już koniec — wykrztusił — najpierw Claire, potem Mercedes. Dlaczego mam takiego pecha do kobiet? Ciągłe przy mnie giną. Ale najbardziej boli mnie to, że nie mam już do czego dążyć.

— A właśnie, że masz, mały — Minska uśmiechnął się.

— O czym ty mówisz?

— Zerknij na to. — Minska wyjął kartkę i podał Frankowi, który przeczytał ją dwukrotnie z rosnącym zrozumieniem.

— Łowy? Wybieramy się na kolejne Łowy? Przecież nigdzie się nie zapisywałem.

— Pozwoliłem sobie zrobić to za ciebie — odparł Minska. — Oczywiście możesz się z tego wycofać, ale wtedy będę musiał znaleźć kogoś innego do współpracy.

— Nie wiem, czy mam ochotę na kolejne Łowy — powiedział Blackwell. — Nie spisałem się najlepiej w ostatnich. To znaczy, Mercedes w końcu zabiła Ofiarę, nie ja.

— Zabiła go dla mnie, Minska! — dodał chrapliwym głosem.

— Nie zaczynaj znowu, Frank. Wiem, że nie poszło ci najlepiej, ale masz w sobie to, co potrzebne. Wierz mi, znam się na tym. Wielu ludziom pierwsze Łowy służą jako rozgrzewka. Tym razem wszystkim pokażesz, co potrafisz.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytał Frank.

— Lepiej w to uwierz, mały — odrzekł Minska. — Inaczej przecież nie ryzykowałbym własnego życia i reputacji, pracując z tobą.

— Dobrze, Minska — odpowiedział Frank opanowanym głosem. — Zrobimy to znowu, tym razem jak należy.

Panfilo wraz z Valerianem wyszli i pojechali windą na górę na przyjęcie wydawane na ich cześć. Simmons powiedział do Mistrza Łowów:

— Naprawdę cieszę się, że Blackwellowi się udało, sir. Nie powinno się podchodzić do tego osobiście, ale martwiłem się o niego.

— Nie powinienes — odparł Mistrz Łowów. — Od samego początku wiedziałem, że miał w sobie to coś. Poza tym, czy jest szczęśliwy czy nie albo czy w ogóle przeżyje jest niczym w porównaniu ze zmianami, do których się przyczynił. Łowy są teraz legalne, Simmons, a wszystkie zasady, którymi kierowała się ludzkość, uległy zmianie. Wojna skończona! Ziemia uratowana! Wreszcie nadszedł czas szczęśliwych rozwiązań!

Podziękowania

Dziękuję za pomoc Normanowi Schwarzowi z hotelu „Norman” w Miami Beach na Florydzie, Augustinowi „Augie” Enriąquezowi z Combat Coraer w Portland w stanie Oregon, sierżantowi Edowi Kirshowi w Beaverton w stanie Oregon.

Specjalne podziękowania dla N. Lee Wooda.